

UROCZYSTOŚĆ NA ZAMKU KRÓLEWSKIM

Nagrody Strażnika Pamięci 2018
trafiły w ręce laureatów



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 46/298 13-18 LISTOPADA 2018

Wielka awantura
o Marsz Niepodległości

JAK MALEŃCZUK
GRA NA
POLITYCZNYCH
EMOCJACH POLAKÓW



Bojańczyk o modzie
w rozmiarze XXL

KS. JACEK STRYCZEK
PRZERYWA MILCZENIE
W „DO RZECZY”:

Onet zrobił ze mnie potwora

CO SIĘ NAPRAWDĘ WYDARZYŁO
W „SZLACHETNEJ PACZCE”



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



Nakład: 81 tys. egzemplarzy



PKO Bank Polski
51,36 mld zł

PKN Orlen
41,27 mld zł

PZU
34,97 mld zł

Pekao
28,32 mld zł

DUMNIE WSPIERAMY ROZWÓJ POLSKI I POLAKÓW



Bank Polski

100
1919/2019

Po 100 latach od odzyskania przez Polskę niepodległości PKO Bank Polski jest najcenniejszą spółką w kraju*. Dziękujemy wszystkim, którzy nam zaufali.

*Opracowanie własne PKO Banku Polskiego na podstawie informacji publicznych Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie z 6 listopada 2018 r.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Doprawić Polakom **gębę**

Nie wiem, czy prawdziwa jest informacja, że słynne urodziny Adolfa Hitlera, które zorganizowano w lesie pod Wodzisławiem Śląskim, były opłaconą ustawką. Wiadomość podał portal wPolityce.pl i powołał się na zeznania Mateusza S., organizatora wydarzenia. Według niego organizacja „urodzin” została zamówiona i zapłacono za nią 20 tys. zł. Zleceniodawcy mieli rzekomo domagać się obecności na imprezie pewnej kobiety, jak się później okazało, dziennikarki związanej z TVN. Trudno, powtarzam, obecnie przesądzić, na

pojawił się też w zachodnich mediach przekaz mówiący o narastaniu w Polsce faszyzmu, nazizmu, antysemityzmu i ksenofobii. To od tego momentu próbuje się wrzucać do jednego worka narodowców, zwolenników ONR, Młodzieży Wszechpolskiej, niepodległościowców, konserwatystów i rasistów. Wszystkim im próbuje się nalepić łatkę i w ten sposób tworzy się opowieść o Polsce zagrożonej przez „prawicowych ekstremistów”. Z Polaków, którzy jak żaden inny naród doświadczili cierpienia i zbrodni zgotowanych przez NSDAP, coraz częściej robi się ukrytych zwolenników wodza III Rzeszy. Obrzydliwe to i podłe, ale działa.

Ten sam mechanizm na wielką skalę został zastosowany przed rokiem, w listopadzie 2017 r., podczas Marszu Niepodległości w Warszawie. Wtedy to właśnie, pokazując kilka głupich haseł i paru otepiałych osobników, udało się oczernić cały marsz, opowiadając o „100 tys. polskich faszystów”. Nic to, że była to brednia i kalumnia – właśnie takie opowieści sprzedają się najlepiej, bo doskonale pasują do stereotypów, którymi posługuje się większość liberalnych mediów. Mechanizm jest prosty jak konstrukcja cepa, ale do bólu skuteczny. Prawica ma równać się ksenofobii, patriotyzm rasizmowi, katolicyzm wrogości i agresji. Ten obraz przetaczał się przez wielkie portale i telewizje godziną po godzinie, dzień po dniu. W zderzeniu z taką propagandową machiną zwykli uczestnicy marszu, polscy patrioci, mogli tylko bezradnie wzruszać ramionami. Powszechne tłumaczenia – że pokazując margines, doprawia się gębę wszystkim, były mało skuteczne.

Powodów jest kilka. Pierwszy i najbardziej banalny to nastawienie większości zachodnich

dziennikarzy. Wyrośli w systemie, w którym „reductio ad Hitlerum” jest najbardziej powszechną i skuteczną metodą retoryczną. Dlatego z natury są ślepi na jedno oko – dostrzegają zagrożenie rasizmem i ksenofobią, w ogóle nie widząc znacznie powszechniejszej groźby lewicowego zamordyzmu feminazizmem czy homoterrorem. Po drugie, taki obraz propagandowy służy też wszystkim przeciwnikom silnej, suwerennej Polski. Wystarczy zostawić Polaków samym sobie i patrzcie, jak się to kończy – to przekaz, który skutecznie działał już w XVIII w., więc dlaczego nie używać go i obecnie? Wreszcie ten rzekomy wzrost nastrojów rasistowsko-ksenofobiczno-antysemickich staje się doskonałym sposobem mobilizacji wielkomiejskiego elektoratu w walce o władzę w Polsce. Jego większość tkwi przecież w swoistej bańce medialnej, łatwo jest zatem go nieustannie mobilizować i pobudzać, przedstawiając rzekomo straszliwe zagrożenie. Taki sądzą być też motyw prezydent Warszawy, Hanny Gronkiewicz-Waltz. Zakazując marszu, chciała podnieść napięcie.

Jak sobie z tym radzić? Można wzywać do odpowiedzialności, chociaż takie apele mają ograniczoną skuteczność. Statystycznie rzecz biorąc, w każdej społeczności znajdują się ekstremiści, problem pojawia się dopiero wtedy, kiedy zaczynają oni faktycznie dominować. Tymczasem w Polsce masowego zagrożenia rasizmem czy nazizmem po prostu nie ma. Można też dążyć do rozbicia bańki medialnej, co przyniosłoby na pewno rezultaty, tyle że jest to politycznie bardziej ryzykowne. Czy bez tego jednak można wierzyć, że obraz, który popłynie z Polski o 11 listopada 2018 r., będzie się znacząco różnił od wcześniejszego? ©©

RYSUNEK TYGODNIA



ile jest to prawda, a na ile próba samoobrony i przerzucenia odpowiedzialności za własną głupotę na innych. O ile samo istnienie grupki radykałów jest faktem, o tyle już osobliwa uroczystość mogła być sprowokowana.

Nie ulega natomiast wątpliwości, sądzę, że cała historia – polscy naziści świętują urodziny Hitlera, a prawicowa władza to toleruje – faktycznie została wówczas, w maju 2017 r., rozdmuchana do niebotycznych rozmiarów. To wtedy pierwszy raz na taką skalę



TEMAT TYGODNIA

22 ROZMOWA Z K.S. JACKIEM STRYCZKIEM
NIE WIEM, CZY SIĘ OBRONIĘ
Twórca i były szef stowarzyszenia Wiosna przerywa milczenie

STRAŻNIK PAMIĘCI

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
FUNDAMENT NASZEJ TOŻSAMOŚCI
Relacja z gali Strażnika Pamięci 2018

KRAJ

28 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
PIS PRZED WYBOREM
Władza kontra medialna niereczywistość

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SYGNAŁ OD SUWERENA

35 PIOTR GOCIEK
MŚCICIELE I SAMOBÓJCY

36 STEFAN SĘKOWSKI
LEPIEJ JEST WSPÓŁPRACOWAĆ

38 MACIEJ PIECZYŃSKI
PROFESOR HEJTER

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
GRA NA NERWACH

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WSZYSTKIE BARWY NIEPODLEGŁEJ
Krzyżując: Polska! Niepodległa 1918

45 PIOTR GOCIEK
DOMEK Z KART

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ŁUKASZ WARZECHA
NA STO LAT TO ZA MAŁO
Chaos wokół Święta Niepodległości

HISTORIA



62 MARCIN BARTNICKI
II RP – ZMARNOWANA SZANSA?
Odbudowa Rzeczypospolitej

68 ADAM ZUBEK
MAPY NIEPODLEGŁOŚCI

ŚWIAT

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
MĘCZEŃSTWO ASI BIBI TRWA
Muzułmanie chcą śmierci chrześcijanki

74 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP OBRONIŁ SENAT

78 PIOTR WŁOCZYK
PRAWICOWA SAMBA

EKONOMIA

80 MAREK BUDZISZ
NAWÓZ I POLITYKA
Gigant z Rosji ma apetyt na rolnictwo

82 ROZMOWA Z ANDRZEJEM KONIECZNYM
PATRIOTYZM JEST W LESIE

STYL

86 JOANNA BOJAŃCZYK
WIELKI PROBLEM Z XL
Od modelek anorektyczek do puszystych



O ZDROWIU

88
KONGRES 590: ZDROWIE I GOSPODARKA

Nie tylko męska sprawa



Z **prof. Piotrem Chłostą**,
prezesem Polskiego
Towarzystwa Urologicznego,
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Wczesne wykrycie oznacza życie – kobiety częściej o tym pamiętają. A mężczyźni? Badają się czy pójście do urologa jest dla nich wciąż krępujące?

Wiele się zmienia. Jeszcze niedawno urolog był lekarzem wręcz stygmatyzującym dla mężczyzny. Dziś młode pokolenie coraz częściej rozumie, że urolog jest najlepszym przyjacielem mężczyzny i kobiety w kontekście zdrowotnym. Przed wielu laty modne było to, żeby się nie badać i nie dbać o siebie. Teraz trendy jest być zdrowym, nie korzystać z używek. Z radością stwierdzam, że to się zmienia, bo zdrowe społeczeństwo to silne społeczeństwo.

„Czy to pęcherz, czy prostata, zdrowym trzeba być na lata” – śpiewa EndoPower, wyjątkowy zespół rockowy, w którym występuje trzech profesorów urologii (pan, prof. Marcin Słojewski i prof. Tomasz Szydełko). Czy warto w trochę niekonwencjonalny sposób zachęcać do tego, żeby się badać?

Uważam, że tak. Muzyki ani ruchu – w przeciwieństwie do leków – nie da się przedawkować. Staramy się przez promocję zdrowego trybu życia pokazywać, że lepiej zapobiegać chorobom niż je leczyć.

Urolog przestaje być lekarzem, do którego zgłoszenie się stygmatyzuje. Zaczyna być postrzegany jako najlepszy przyjaciel mężczyzny i kobiety, który jest

w stanie zapobiec rozwojowi agresywnych, zaawansowanych postaci wielu chorób. Warto sobie uświadomić, jakie są ich czynniki ryzyka. Najważniejszym jest palenie tytoniu, które zwiększa ryzyko nie tylko raka płuca, lecz także pęcherza moczowego, moczowodu, nerki.

Nawet jeśli nie uda się zapobiec nowotworowi, to możemy go wykryć we wczesnym stopniu zaawansowania, co w większości przypadków oznacza pełne wyleczenie.

Jak mężczyźni powinni się badać?

Przy wykonywaniu zabiegów higienicznych warto zwracać uwagę na wszelkie nieprawidłowości w budowie ciała, np. pojawienie się guzka, szybkie twardnienie jądra. Mężczyźni powinni od 45. roku życia systematycznie, raz w roku odwiedzać urologa, a jeśli w ich rodzinach wystąpił rak gruczołu krokowego – to od 40. roku życia. Warto też raz w roku wykonywać USG jamy brzusznej, które pozwoli ocenić stan górnych dróg moczowych. To badanie powinni wykonywać wszyscy, a szczególnie palacze papierosów, gdyż są bardziej niż niepalący narażeni na zachorowanie.

I fundamentalna sprawa: krwimocz może być objawem śmiertelnej choroby. Należy natychmiast udać się do urologa.

Nawet jeżeli krwimocz pojawił się tylko raz, incydentalnie?

Tak. Urolog może potwierdzić lub wykluczyć chorobę. Nie wolno zwlekać.



Jest wiele wątpliwości dotyczących wykonywania PSA. Warto to robić?

Tak, jednak trzeba pamiętać, że PSA nie jest markerem nowotworowym, tylko gruczołu krokowego, czyli prostaty. U pewnej grupy mężczyzn stężenie PSA jest nieco powyżej normy, choć nie rozwija się u nich rak prostaty. Jest też pewna grupa mężczyzn, u których wartość PSA jest prawidłowa, a mimo to rozwija się nowotwór gruczołu krokowego. Dlatego warto sprawdzać poziom PSA, można to nawet zrobić samemu po kupieniu prostego testu w aptece. Jednak interpretacja wyniku należy do lekarza. Dlatego najważniejsza jest wizyta u urologa.

Dla mężczyzny po czterdziestce urolog to trochę już lekarz pierwszego kontaktu.

Jeżeli pojawią się niepokojące objawy lub zostanie wykryta nieprawidłowość dotycząca układu moczowego lub moczowo-płciowego, to urolog staje się lekarzem pierwszego kontaktu. Rozpoznaje chorobę, odpowiada za leczenie i opiekę nad pacjentem. Nawet jeśli mężczyzna nie ma żadnych niepokojących objawów, powinien pamiętać o corocznej wizycie u urologa. 25 proc. wszystkich nowotworów to nowotwory urologiczne. Ponad 50 proc. z nich to nowotwory prostaty, 30 proc. – pęcherza i nerki. Warto dbać o swoje zdrowie, dlatego należy się badać.

Drodzy Czytelnicy!

Temat wyborów samorządowych wciąż przewija się w wielu listach wysyłanych na naszą skrzynkę listy@dorzeczy.pl, więc raz jeszcze powracamy do niego w naszej rubryce.

Z kim przegrał Patryk Jaki?

Może to będzie już temat przebrzmiały, ale chciałabym podzielić się swoimi przemyśleniami na temat przewijającego się w ostatnim numerze „Do Rzeczy” (44/2018) tematu wyborów samorządowych ze szczególnym uwzględnieniem analizy przyczyn słabych wyników kandydatów na prezydentów z obozu prawicowego w dużych miastach z naciskiem szczególnie na porażkę Patryka Jakiego w Warszawie. Odnośnie do tego ostatniego wysunięte zostały przeróżne okoliczności przyczyn porażki, od złej końcówki kampanii wyborczej (nieszczęsny spot o imigrantach) przez niepozyskanie centrowego elektoratu czy lewicowo-liberalny charakter wielkomiejskiego społeczeństwa do stwierdzenia, że Patryk Jaki to po prostu zły kandydat.

Ja osobiście podpisałam się pod tezę wysnutą przez prof. Antoniego Dudka zamieszczoną w tytule przeprowadzonego z nim wywiadu zatytułowanego „Jaki przegrał Warszawę nie ze swojej winy”. Odpowiedzi szukałabym w przewrotnym pytaniu, nie dlaczego Jaki przegrał, ale z kim przegrał, udzielając (próbując udzielać) równie przewrotnej odpowiedzi. Patryk Jaki przegrał ze współczesnym człowiekiem, a ściślej z jego hierarchią wartości i zasad. Trudno mi sobie wyobrazić, że ktokolwiek z głosujących nie wiedział, że Patryk Jaki jest przewodniczącym komisji do spraw badania nieprawidłowości w reprivatyzacji warszawskiej.

Reżysera Sarajmonowicz z ostatniego bojkotu mentalnego Podkarpacia...



ce zary 6 f j z t o p d

Trudno mi uwierzyć również w to, że ktokolwiek z głosujących nie wierzył, że do takich – delikatnie rzecz ujmując – nieprawidłowości dochodziło. Wierzę (mam przynajmniej taką nadzieję), że większość, która zdecydowała się oddać swój głos przeciw Jakiemu, a na Rafała Trzaskowskiego, potępiła takie praktyki. Chociaż może są tacy, którzy uważają, że wszystkie chwytły dozwolone. Mimo

wszystko ci pierwsi nie widzieli potrzeby zaakcentowania swojego sprzeciwu wobec mafijnych układów w swoim mieście, wobec niesprawiedliwości, wobec krzywdzenia słabszych przez silniejszych i bezwzględnych, wobec niestosowania uczciwych reguł gry. Uznali, że są rzeczy ważniejsze, może nowe ścieżki rowerowe, może opinia celebrytów i elit zachodnioeuropejskich, może jeszcze coś innego, nie wiem... Żle to wróży na przyszłość.

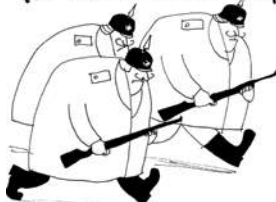
Smutne to.

„Nie płakałam po Jakim” – Kataryna, „DRz” 44/2018

Szanowna Pani, w artykule „Nie płakałam po Jakim” świetnie się Pani rozprawiła z przegranym kandydatem na prezydenta stolicy, ale dokładniejsza lektura trochę mnie zmartwiła. Odniosłem wrażenie, że Pani zastrzeżenia wobec Jakiego są sformułowane tak, iż bez szkody dla tekstu można pod nazwisko Jakiego podstawić nazwisko Trzaskowskiego, oczywiście z dwoma wyjątkami, bo Trzaskowski nie był kibicem Odry, ale Wisły, no i nie przekazałby nigdy żadnych pieniędzy fundacji o. Rydzka. Wytknęli mi to znajomi w dyskusji i musiałem im przyznać rację. Kampanię w Warszawie śledziłem wyłącznie w mediach, ale i tam „kameleonizm” Trzaskowskiego był podobny, a w sferze pomysłów nawet wtórny. [...]

Łączę pozdrowienia
S.D.

Kaukaskich wiosek ekspedycja dla ratowania demokracji w Polsce...



ce zary 6 f j z t o p d

DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batony Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godle, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoi, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela), Krzysztof Czarbasiński, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchwinska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Matthew Tyrmand, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krzyszto**
Okładka: **Bogdan Krężel/Newsweek/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batony Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polska Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 81 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

„Rachunek Wdzięczności PGNiG” – realna pomoc dla bohaterów

Bohaterowie walki o wolną Polskę zasługują na szczególny szacunek i wdzięczność. Z myślą o nich powstał program „Rachunek Wdzięczności PGNiG”. W ramach akcji Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od 2016 r. oferuje uczestnikom Powstania Warszawskiego realne wsparcie w postaci dopłat do rachunków za gaz do 900 zł rocznie. W tym roku inicjatywa została rozszerzona o bohaterskich górników – uczestników strajku w kopalni Wujek.



FOT. ANDRZEJ GRUCEL / PAP

REALNA POMOC

Program wsparcia dla górników, którzy 16 grudnia 1981 r. brali udział w strajku w kopalni Wujek, został uruchomiony 13 czerwca 2018 r. Jest realizowany przez Fundację PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza we współpracy ze Śląskim Centrum Wolności i Solidarności. Pomocą, w ramach programu, może zostać objętych nawet 3500 uczestników strajku, a także – co ważne – wdowy po bohaterach, którzy oddali życie w jego trakcie. W praktyce oznacza to, że duża część obrońców kopalni w ogóle nie będzie płaciła za gaz.

– Program cieszy się dużym zainteresowaniem – wnioski o dofinansowanie złożyło już

ponad 700 osób. Spośród złożonych wniosków aż 90 proc. pochodzi z Górnego Śląska, co oznacza, że bohaterowie tamtych lat wciąż mieszkają blisko miejsca tych dramatycznych grudniowych wydarzeń. Program stanowi dla nich realną pomoc, cieszymy się, że chcą z niej korzystać – mówi Henryk Mucha, prezes PGNiG Obrót Detaliczny.

ZACZEŁO SIĘ OD POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH

Wsparcie dla bohaterskich górników to nie jest pierwsze podziękowanie Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa za

walkę o wolność naszego kraju. Program „Rachunek wdzięczności PGNiG” został zainicjowany w 2016 r. z myślą o Powstańcach Warszawskich. Do tej pory do programu przystąpiło 529 uczestników Powstania Warszawskiego. Od rozpoczęcia przedsięwzięcia wypłacono ok. 440 tys. zł.

JAK UZYSKAĆ WSPARCIE?

– Warunki przystąpienia do programu są bardzo proste. Może to zrobić każdy, kto wykaże, że brał udział w Powstaniu Warszawskim lub uczestniczył w obronie kopalni Wujek podczas jej pacyfikacji w dniach od 13 do 16 grudnia

1981 r. Po drugie, trzeba posiadać aktualną umowę kompleksową dostarczania paliwa gazowego zawartą z PGNiG Obrót Detaliczny – wyjaśnia Henryk Mucha.

Osoby zainteresowane uczestnictwem w programie mogą się zgłosić do dowolnego Biura Obsługi Klienta PGNiG Obrót Detaliczny, zadzwonić pod numer Contact Center PGNiG OD lub odwiedzić stronę internetową www.pgnig.pl/dla-domu/oferty-specjalne/rachunek-wdzieczności. Wymagane do przystąpienia do programu dokumenty należy złożyć osobiście w Biurze Obsługi Klienta lub przesłać pocztą.



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pomnik normalności

Gdy ten felieton trafi do państwa, pomnik Lecha Kaczyńskiego będzie już oficjalnie odsłonięty na warszawskim pl. Józefa Piłsudskiego. W każdym normalnym kraju taki monument – hołd złożony prezydentowi RP, ofierze największej tragedii lotniczej, współzałożycielowi Wolnych Związków Zawodowych, działaczowi Solidarności, prezydentowi stolicy, inicjatorowi akcji wsparcia walczącej Gruzji i wreszcie warszawianinowi – stanąłby rok lub dwa lata po jego śmierci. Nie stanął. Przez osiem lat PO i osobiście Hanna Gronkiewicz-Waltz blokowały jego powstanie. Kpiarsko pytano, jakie niby zasługi, oprócz tragicznej śmierci (przez niego samego spowodowanej – dodawali niekiedy), miał zmarły. Inni już parę miesięcy po Smoleńsku zaśmiewali się, gdy dziennikarka „Gazety Wyborczej” pytała Janusza Palikota, czy nawiedza go duch zmarłego prezydenta. Arcybiskup Pieronek zadał sobie nawet trud, by zejść z ekipą francuskiej telewizji do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, aby przed grobem Kaczyńskich skrytykować pochówek prezydenta na Wawelu. Profesor Andrzej Friszke lekceważąco definiował zmarłego jako działacza

Solidarności z drugiego szeregu, a Bogdan Borusewicz „nie przypominał” sobie Lecha Kaczyńskiego w czasie strajku stoczni, czemu zaprzeczyły zdjęcia z tamtego czasu. Jeszcze teraz jeden z radnych PO zapowiada, że gdy tylko jego partia odzyska władzę, pomnik zostanie usunięty.

A jednocześnie – gdy jest to dla antykaczyistów wygodne – Lech Kaczyński przedstawiany bywa obozowi prawicy jako wzór. Gdy Zbigniew Ziobro zwrócił się do TK z pytaniem o legalność sędziowskich pytań do TSUE, grzmiano, że jest to negowanie traktatu lizbońskiego, który podpisał Lech Kaczyński. Gdy trwały spory o Sąd Najwyższy, przypominano, że to Lech Kaczyński mianował panią Gersdorf i mówił o potrzebie szacunku dla tego organu.

Jest w tej schizofrenii jakaś głębsza prawda. Wielu polityków znało i ceniło jego zalety, ale dało się opanować logice totalnej wojny politycznej, która nakazuje tę postać mieszać z błotem.

Zupełnie przypadkiem sięgnąłem niedawno po „Alfabet Kaczyńskich” Michała Karnowskiego i Piotra Zaremby z 2006 r., gdy już od roku trwała wojna totalna PO z PiS. Odszukałem pytanie o to, jak

Lech Kaczyński zapamiętał Tuska z końca lat 80. Odpowiedź była pozbawiona zajadłości, choć nie ukrywała różnic: „Sympatyczny, uśmiechnięty facet, ale chodzący innymi drogami niż ja. Człowiek z innej bajki, ale nie do końca. On jest przekonany liberałem. Ja odrzucam wszelką ortodoksję. Kiedyś drażnił mnie ich agresywny laicyzm. Nie lubię zachowań typu ostentacyjne jedzenie schabowego w Wielki Piątek”. Na tym polegał fenomen Kaczyńskiego. Był liberalnym polskim inteligentem, ale szanującym polską tradycję.

Tusk ze swoim autorytetem mógł jednym zdaniem zarządzić: „Z Kaczyńskim żywym walczyć, ale ze zmarłym już nie”. Nie zrobił tego.

Gdy piszę te słowa, nie wiem, czy szef Rady Europejskiej pojawi się na odsłonięciu pomnika. Szczególnie mówiąc, wątpię, ale zobaczymy.

To źle, że ten pomnik musiał powstać wskutek kruczków administracyjnych. Pewnie mógłby być ładniejszy. Jednak monument powstawał w epoce, gdy nienawiść zaczadziła wiele umysłów. I dlatego dobrze, że jest. Jest bowiem znakiem normalności w nienormalnych czasach. ©

MAGIEROWSKI PROMUJE POLSKĘ

Tysiące internautów obejrzało filmik z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości, na którym ambasador RP w Izraelu w zabawny sposób przedstawia, jakie gadżety wymyślił Polacy, w jakiej dziedzinie jesteśmy światowym supermocarstwem i co łączy Jana Tomaszewskiego z Fryderykiem Chopinem i Dawidem Ben-Gurionem. – I ostatnie, ale równie ważne. Znaleźliśmy formułę, aby pozbyć się paskudnego reżimu – mówi ambasador Marek Magierowski, były publicysta tygodnika „Do Rzeczy” (*jap*) ©



FOT. YOUTUBE/AMBASADA POLSKA W IZRAELU

RAZEM NAPĘDZAMY POLSKĘ



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.



ORLEN



Wojciech Wybranowski

Odchodząca prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz zakazała narodowcom organizacji Marszu Niepodległości. Wybuchła burza. Sąd decyzję miejskiej władz uchylił, ale opozycyjnej polityk udało się podgrzać emocje przed demonstracją

Zorganizowana, koordynowana akcja środowisk opozycyjnych czy po prostu decyzja odchodzącej w atmosferze kontrowersji związanych z aferą reprivatyzacyjną prezydent stolicy Hanny Gronkiewicz-Waltz?

W połowie ubiegłego tygodnia prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz wydał narodowcom zakaz organizacji w tym mieście zgromadzenia. Dzień później identyczną decyzję wydaje Hanna Gronkiewicz-Waltz. Mówi, że Marsz Niepodległości nie przejdzie ulicami Warszawy. Chodzi o organizowaną przez środowiska narodowe od lat, zawsze 11 listopada, słynną manifestację, w której regularnie bierze udział nawet do 100 tys. uczestników. W okresie rządów PO-PSL kilkakrotnie doszło w trakcie manifestacji do starć z policją i członkami lewackich organizacji, od 2015 r. marsz przebiegał w spokoju.

– Uważam z całą odpowiedzialnością, że nie tak powinno wyglądać stulecie odzyskania przez państwo polskie niepodległości. Stąd moja decyzja o zakazie marszu – mówiła Hanna Gronkiewicz-Waltz. Opowiadała też o „agresywnym nacjonalizmie”, a w decyzji zakazującej organizowania demonstracji powoływała się na rzekome informacje policji – twierdziła, że zgromadzenie może zagrażać bezpieczeństwu mieszkańców Warszawy.

Szybko okazało się, że przynajmniej w tym aspekcie minęła się z prawdą. Krótco po jej oświadczeniu swoje – na Twitterze – zamieścili przedstawiciele Komendy Stołecznej Policji w Warszawie. Napisali w nim: „Nie było żadnych rozmów ze strony Prezydent m.st. Warszawy z Komendantem Stołecznym Policji odnośnie zakazania Marszu Niepodległości. Nie było żadnych pytań odnośnie zabezpieczenia marszu z naszej strony.



Awantura Niepodległości

Informacja ta jest dla nas ogromnym zaskoczeniem”.

– Zakaz jest prewencyjny, a z Hanną Gronkiewicz-Waltz wychodzą buta, arogancja i pogarda dla wolności organizowania zgromadzeń – komentował Mateusz Marzoch, wiceprezes Stowarzyszenia Marszu Niepodległości. Narodowcy odwołali się od decyzji do sądu, zapowiedzieli też, że marsz, nawet jeśli będzie nielegalny, przejdzie ulicami stolicy. A to mogło oznaczać rzeczywiste zamieszki w Warszawie.

Sprawa wywołała olbrzymią burzę. Politycy i publicyści – nie tylko związani z prawicą, lecz także ze środowiskami lewicowo-liberalnymi – zarzucili Hannie

Gronkiewicz-Waltz łamanie podstawowej zasady demokracji – prawa do wolności zgromadzeń, a także podgrzewanie nastrojów społecznych, prowokowanie konfliktów, dzielenie Polaków, i wskazywali, że to właśnie prezydent stolicy poniesie odpowiedzialność, jeśli 11 listopada w stolicy dojdzie do zamieszek. Również opinia publiczna w mediach społecznościowych nie kryła oburzenia na decyzję Gronkiewicz-Waltz.

– „HGW kończy prezydenturę, przekraczając swoje kompetencje i dokonując bezprawnego ograniczenia wolności zgromadzeń. Mam nadzieję, że poniesie za to karę. Na faszystowskie metody działania władz nie może być przyzwolenia” – ko-



FOT. ANDRZEJ HULIKWA/FORUM

mentował na Twitterze Jacek W. Bartyzel, liberalny publicysta bliski opozycji.

A awanturę o Marsz Niepodległości wykorzystali prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki, którzy po pilnie zwołanym spotkaniu zapowiedzieli, że organizują – w miejscu i na trasie „zdelegalizowanego” Marszu Niepodległości – rządowy Marsz Biało-Czerwony. Za bezpieczeństwo na tym marszu ma odpowiadać wojsko, a prezydent objął nad nim patronat.

– Zdecydowaliśmy z premierem, że bierzemy odpowiedzialność na siebie. Pod rygorem uroczystości państwowej tworzymy pełne zabezpieczenie i wierzę, że bezpieczeństwo uda się zapewnić nie tylko politykom, lecz także innym

uczestnikom. Do Warszawy wybierają się tysiące ludzi z całej Polski – mówił Duda.

Zapowiedź rządowo-prezydenckiego marszu też nie wyciszyła jednak emocji. Narodowcy, nie bez racji, zaczęli oskarżać rząd i PiS, że nie potrafią przygotować własnej, patriotycznej demonstracji, próbując przejąć przyciągający tysiące ludzi Marsz Niepodległości. Internauci zastanawiali się – i było to bardzo często zadawane pytanie – dlaczego premier Morawiecki i prezydent Duda nie zaprosili do współorganizacji marszu środowisk narodowych.

– W ogóle nie było takiego pomysłu. Nie możemy ryzykować, że na naszym „biało-czerwonym marszu” pojawią się symbole faszystowskie. Skojarzenia z narodowcami

także nie są dla nas korzystne – mówi nam osoba z Kancelarii Prezydenta. Oliwy do ognia dołąć wicepremier Jarosław Gowin, który w wywiadach opowiadał, że narodowcy powinni podporządkować się prezydentowi.

W wyrażanej w mediach społecznościowych opinii, również wśród zwolenników Prawa i Sprawiedliwości, przeważało twierdzenie, że jeśli do stolicy na demonstrację 11 listopada się wybiorą, to raczej na Marsz Niepodległości, a nie na Marsz Biało-Czerwony.

W dodatku w piątek warszawski sąd zmiażdżył decyzję Hanny Gronkiewicz-Waltz i uznał, że zakaz organizacji Marszu Niepodległości jest bezpodstawny.

– Swoboda zgromadzenia i wolność wypowiedzi to fundament społeczeństwa demokratycznego – podkreślał sędzia Michał Jakubowski. Sąd dodał też, że prezydent Warszawy nie uprawdopodobniła twierdzenia, że dojdzie do zamieszek, a miasto i państwo dysponują odpowiednimi środkami, by demonstrację zabezpieczyć w sposób właściwy. Dzień wcześniej wrocławski sąd uchylił zakaz organizacji podobnego marszu w stolicy Dolnego Śląska.

– Oba marsze, nasz i rządowy, wyjdą z tego samego miejsca w niedługim odstępie czasu. Mam nadzieję, że rząd PiS nie będzie próbował utrudniać uczestnikom Marszu Niepodległości legalnego przejścia ulicami Warszawy – powiedział nam Krzysztof Bosak, jeden z liderów Ruchu Narodowego. Pytany jednak, czy widzi możliwość połączenia Marszu Niepodległości z marszem organizowanym przez rząd, mówił, że nie jest w stanie przewidzieć, jak rozwinie się sytuacja.

– Liczę na poczucie odpowiedzialności i patriotyzmu między innymi organizatorów Marszu Niepodległości. Wierzę, że wszyscy będziemy mogli pójść w jednym marszu 11 listopada – mówił z kolei minister Michał Dworczyk, szef KPRM.

Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” sąd rozpatrywał jeszcze apelację prezydent miasta, a organizatorzy rządowego Marszu Biało-Czerwonego i narodowcy od Marszu Niepodległości nie porozumieli się co do wspólnego świętowania rocznicy odzyskania niepodległości. W dodatku swoje kontrmanifestacje zapowiedziały lewackie bojówki z Koalicji Antyfaszystowskiej i grupy Obywatela RP. A to oznaczało zagrożenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**CZYTAJ TAKŻE „NA STO LAT TO ZA MAŁO”
NA STR. 56**



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

H.G.W. się wściekła

Perskie przysłowie powiada, że jeden głupiec potrafi rzucić kamień, do którego wyniesienia trzeba 12 mędrców. Ogłoszona w ostatniej chwili decyzja Hanny Gronkiewicz-Waltz o zdelegalizowaniu „z góry” Marszu Niepodległości była z wielu powodów bezprawna, sprzeczna z konstytucją i ze zdrowym rozsądkiem, kompromitująca

wynoszenia ciśniętego przez nią na pożegnanie kamienia rzuciły się najważniejsze osoby w państwie.

Owe konsekwencje to temat na osobny, obszerny komentarz – ale warto zatrzymać się na chwilę nad pytaniem, co popchnęło kończącą 12-letnie rządy prezydent Warszawy do tak, delikatnie mówiąc, ryzykownego kroku?

Najbliżej prawdy był prof. Antoni Dudek, który w wywiadzie udzielonym naszemu portalowi wyjaśnił to „frustracją” H.G.W. Z tym że jako przyczynę tej frustracji podał samo opuszczenie ratusza. A moim zdaniem z tym już się była wiceprezes PO pogodziła.

Krew musi ją zalewać, kiedy widzi w telewizorze Pawła Adamowicza. I gdy nachodzi ją myśl, że gdyby – jak on czy Jacek Majchrowski – miała odwagę powiedzieć partii „nie”, zaczęłyby właśnie piątą kadencję... Bo przecież gdyby jasno powiedział rzeszy swoich urzędników

i klientów: walczymy o przeżycie, spokojnie wygrałaby z kandydatem tak fircykowatym i słabym jak Trzaskowski. A w drugiej turze – ze zniechęconym w warszawskim lemingradzie „pisowcem”. Mówi się w PO, że Adamowicza zachęcił i wsparł, by przykrócić Schetnę, sam Tusk – ale zapewne wsparłby i ją.

Teraz może pani prezydent tylko tupać ze złości (bo frazeologizmu „pluć sobie w brodę” nie da się użyć w przypadku kobiety) i wyżywać się na „faszystach”, zakazując im istnienia – przy okazji rzucając gorący kartofel następcy i podkładając ogień pod swoją nie swoją partię, której obłudę w kwestii wolności i praw obywatelskich wykazała. Można powiedzieć, że na odchodne postanowiła wściekła H.G.W. podpalić i wysadzić w powietrze, co się da. Każde środowisko ma takiego Wołodyjowskiego, jakiego sobie wychowało. ©©

Co popchnęło kończącą 12-letnie rządy prezydent Warszawy do tak, delikatnie mówiąc, ryzykownego kroku?

dla obozu, który „konstytucję” wypisał sobie na sztandarach. Ale – była. I narobiła, delikatnie mówiąc, zamętu, którego konsekwencje dla polskiej sceny politycznej będą długotrwałe i z którym nikt sobie dobrze nie umiał poradzić, choć do



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Sukces homopropagandy

Latem tego roku spora część opinii publicznej w Polsce kibicowała poznańskim motorniczym, którzy odmawiali prowadzenia tramwajów „udekowanych” flagami promującymi środowiska LGBT i homoideologię. Ich gest był szczególnie, biorąc pod uwagę konsekwencje – włącznie z ryzykiem utraty pracy – które im groziły.

Tymczasem w minionym tygodniu poznańska kuria niespodziewanie zesłała na wygnanie do maleńkiej wsi w Puszczy Noteckiej popularnego w stolicy Wielkopolski kapłana ks. Daniela

Wachowiaka. Oficjalnie ma objąć swoją parafię. W mieście huczy jednak o zamykaniu ust księdzu, który naraził się wpływowym lewicowym decydem.

Rzeczywiście, ks. Wachowiak głośno mówił, gdy hierarchowie poznańskiego Kościoła milczeli. Protestował m.in. przeciwko lansowaniu ruchów LGBT; przeciwko warsztatom „domowej aborcji”; finansowaniu z publicznych pieniędzy gabinetu, w którym kobietom wydawane są „pigułki po”. Przypominał też – niepoprawnym politycznie wystrojem Grobu Pańskiego – o tym, że dziś na świecie

znów morduje się chrześcijan. Wobec niepokornego kapłana środowiska skrajnie lewicowe wsparte przez lokalną „GW” zorganizowały potężną kampanię nienawiści. Przy zachowawczości poznańskiej kurii przeciwnicy udziału Kościoła w debacie publicznej wygrali ważną bitwę, a lobbystom LGBT udało się doprowadzić do zamknięcia ust kolejnej osobie dającej dotąd odpór homopropagandzie.

A w Poznaniu niektórzy już zastanawiają się, czy kolejnym krokiem będą tęczowe flagi na tamtejszej katedrze. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Jak Tusk zgrillował komisję śledczą

Roast* Donalda Tuska miał być opus magnum komisji badającej aferę Amber Gold. Zamiast tego okazał się popisowym monodramem byłego premiera.

Nie wiem, kto wymyślił, żeby przesłuchiwać zawodnika wagi ciężkiej dzień po przegranych przez Małgorzatę Wassermann wyborach w Krakowie, bezpośrednio po zakończeniu wyczerpującej kampanii. Nietrudno było przewidzieć, jak się to skończy. Tusk, polityk inteligentny i błyskotliwy, ma ten luksus, że niczego nie musi. I to w jego postawie widać. Może powalczyć w polskiej polityce, ale też może sobie to darować. Może wrócić, a może nie wracać i też dobrze się będzie miało. Wie doskonale – przyznają to też politycy PiS – że nie sposób przypisać mu jakiegokolwiek odpowiedzialności prawną za Amber Gold. Wszystko to dało mu luz, który mógł przeciwstawić pogubieniu, słabemu przygotowaniu i chaotyczności przesłuchujących go posłów. W pojedynku wizerunkowym był niekwestionowanym zwycięzcą.

To przykre, bo nie powinno być wątpliwości, że to Tusk ponosi odpowiedzialność polityczną za to, że państwo nie poradziło

sobie z oszustami i pozwoliło, żeby ludzie, wierzący w siłę instytucji, stracili ogromne pieniądze. Tę polityczną odpowiedzialność komisja powinna była Tuskowi przyszpilić, tak jak w filmie Fritza Langa z 1931 r. zabójca oznaczony został na płaszczu kredową literą „M”. To się jednak nie udało.

Specjalne sejmowe komisje śledcze są zawsze spektaklem, dla państwa zaś mają sens tylko o tyle, o ile wynikają z nich systemowe wnioski. Oraz, oczywiście, jeśli te są następnie wykorzystywane, żeby naprawić złe działające mechanizmy i instytucje. Pod tym względem komisja, kierowana przez Małgorzatę Wassermann, ma duży potencjał. W odróżnieniu od komisji VAT-owskiej tu sprawa jest dość prosta, a wnioski dotyczą m.in. prokuratury czy systemu nadzoru nad instytucjami finansowymi. Na podstawie działań komisji można by stworzyć listę dobrych, rozsądnych, systemowych rekomendacji. Coś mi jednak mówi, że nawet gdyby ona powstała, będzie tylko zbierać kurz na półce. Nikt nie będzie zainteresowany ani chętny, żeby coś systemowo zmieniać, bo w mętnej wodzie każdej władzy łatwiej łowić ryby. ©©

*Roast – program rozrywkowy, w którym bohater jest bezlitośnie grillowany przez prowadzących, wypytujących złośliwie nawet o sprawy intymne.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Parady i petardy

W miniony tydzień Twitter zdominowały dwie petardy. Przesłuchanie Donalda Tuska przed komisją ds. Amber Gold oraz blokada Marszu Niepodległości przez Hannę Gronkiewicz-Waltz. Jak z tego politycznego sianokosu wyłuskać żdźbło prawdy? Oddajmy głos niezależnym ekspertom. „Przesłuchanie Tuska to perła w koronie zwycięskiej niedzieli opozycji” – ocenił Marcin Antosiewicz.

„Wiele sobie obiecywałam po 6. sezonie» House of Cards», ale dzisiejsze przesłuchanie przebijają każdy serial. Trudno się było oderwać” – relacjonowała na gorąco Katarzyna Kolenda-Zaleska. „Tusk od 2014 roku przebywa pośród eleganckich, inteligentnych, kulturalnych europejskich polityków. Dziś zderza się z duszną spelunką kompleksów i insynuacji, bazarem prostactwa i bezwstydu, pogadanką nieuków i dyletantów przy szynkwasie. Panie premierze, my to mamy na co dzień” – przyznał z gorącością Przemysław Szubartowicz.

Mógłbym cytować w nieskończoność, ale jako konkluzję posłużę się refleksją Bartłomieja Graczaka, który chyba trafił w sedno. „Donald Tusk w trakcie przesłuchania na uwagę, że lubi rozmawiać z mediami, odpowiedział, że nie tyle lubi, co... umie. Niektórych, gdy rządził, zaczarował na długie lata”.

Wróćmy jednak do rocznicy, która, jak widać, nikomu w pełni nie przypasowała. „To, że państwo oddało obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości narodowcom, to skandal” – przyznał szczerze Roman Giertych. „Spełnia się to, o co 3/4 życia walczyłeś i o czym marzyłeś, ale jesteś niezadowolony. Jest na to jakieś słowo?” – zauważył jednak przytomnie Tomasz Walczak, ale odpowiedzi nie znalazł.

I jeszcze taki smaczek. „Jestem wrogiem nacjonalizmu i, mówiąc delikatnie, Marsz Niepodległości nie jest z mojej bajki. Ale decyzja HGW jest bardzo kontrowersyjna. Trudna do oceny. Niejednoznaczna” – tweetował Janusz Schwertner. „Zapisuję, by wyciągnąć tweeta po zakazie Marszu Równości :)” – skontrował Patryk Słowik. „Już kilka argumentów mądrych osób przekonało mnie: rozumie chęć walki z nacjonalizmem, ale Marsz Niepodległości nie powinien zostać odwołany. Macie rację :)” – przyznał jednak na koniec dziennikarz Onetu. I tym optymistycznym akcentem w zalewie złych wiadomości życząc państwu i sobie kolejnych 100 lat Niepodległej. ©©

ŚPIEWAJĄCY MENEL

Blogger modowy Kamil Pawelski, bardziej znany jako Ekskluzywny Menel, na jakiś czas zniknął z show-biznesu. Mało kto to zauważył, co musiało zaniepokoić aspirującego celebrytę. Postanowił więc o sobie przypomnieć, opowiadając o tym, że został piosenkarzem i wydał płytę.
– Świat muzyczny zawsze był moim marzeniem – mówi Ekskluzywny Menel. – Kiedy ponad dwa lata temu podjąłem decyzję, że jednak chcę



FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/JOYNY/EAST NEWS

spróbować swoich sił jako wokalista, współkompozytor i współautor tekstów, nadarzyła się ku temu sposobność. Zakasałem więc rękawy i dałem się poznać właśnie od strony muzycznej. Jestem po szkole muzycznej w klasie saksofonu altowego, od blisko czterech lat uczęszczam na zajęcia z emisji głosu – chwali się. Należy docenić to, że jego twórczość muzyczna jest tak ekskluzywna, że mało kto w ogóle o niej słyszał. Czy nie mogłoby tak zostać?

KOGO NIE BĘDZIE W KSIĄŻCE

Kuba Wojewódzki napisał autobiografię. Ponoć więcej w niej plotek niż wątków biograficznych, toteż plotkarskie portale chętnie wyciągają co ciekawsze historie. Na przykład tę dotyczącą jego dawnej przyjaźni z Michałem Figurskim. Przy tej okazji Figurski postanowił ujawnić, że sam jest w trakcie pisania autobiografii i dawny kumpel raczej się w jego książce nie znajdzie.
– Jako twój zawistny cień i wór, który – jak zawsze powtarzałeś – dźwigałeś przez lata, też popołęnam autobiografię, w której opisuję choroby, z którymi przez lata przyszło mi się zmagać. Przykro mi, ale jestem zmuszony cię poinformować, że mimo całej mojej do ciebie ogromnej słabości, sympatii i sentymentu, nie znajdziesz się w niej pod literą „W” ani nawet pod „CH” – stwierdził Figurski. Jak widać, zemsta jest słodka. Nawet ta najbardziej groteskowa.



FOT. PAWEŁ GROMADA

TANIEC Z BOŻENKĄ

Aktorka i tancerka Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu”, niedawno wzięła ślub i teraz znów może skupić się na swojej karierze. Podobno biznesplan na najbliższy rok planowała już podczas podróży poślubnej. Myślała, myślała i wymyśliła! Chciałaby uczyć młode pary tańca. W telewizji! Razem ze swoim świeżo upieczonym małżonkiem, rzecz jasna, bo marzy jej się rodzinny biznes. „Najchętniej wraz z mężem uczyłaby w nim młode pary przygotowujące się do pierwszego tańca na weselu – ujawnia jej znajomy w rozmowie z »Faktem«”. Agnieszka przedstawiła swój pomysł jednej z niszowych telewizji – dodaje. Pozostaje mieć nadzieję, że to będzie bardzo niszowa telewizja.

SŁOMA I SŁOMKA

Edyta Górniak jest znana ze swojej wrażliwości proekologicznej, co zresztą jest ostatnio w show-biznesie bardzo modne. Ostatnia batalia czułych na ekologię celebrytów dotyczyła plastikowych słomek. W kampanię wyeliminowania ich z przestrzeni publicznej włączyli się m.in. Anja Rubik, Robert Biedroń i blogerka modowa Maffashion. W ramach akcji „Tu pijesz bez słomki” uświadamiali, że słomki to siódmy najczęściej znajdowany śmieć na plażach całego świata. To wszystko trafiło do wrażliwej duszy Edyty Górniak, która poczuła się do żywa dotknięta tym, że organizator jednego z jej koncertów umieścił w garderobie plastikowe słomki. Wybuchła niemała afeta.
– Edyta stara się zdrowo odżywiać i dba o ekologię, nie wyobraża więc sobie, by korzystać z plastikowych słomek – wyjaśnia informator „Faktu”. – Gdy ostatnio przed koncertem zobaczyła, że w szklance z jej wodą, którą pije w czasie występu, jest plastikowa słomka, wpadła w szal. Organizator musiał dostarczyć jej bambusowy zestaw słomek – relacjonuje. – Edyta domaga się ich teraz wszędzie, nawet w restauracjach – relacjonuje. Czytając o aferze słomkowej, trudno nie odnieść wrażenia, że słomka to tu chyba komuś z butów wyszła. ©



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, jak można w ogóle myśleć o maszerowaniu, kiedy w tym kraju łamana jest konstytucja? W ogóle mamy wrażenie, iż niektórzy zapominają, co się teraz w tym kraju dzieje. Przygotowaliśmy więc pierwszą część poradnika, jakie zachowania są dozwolone w czasie, kiedy konstytucja jest łamana:

podkarpacki paradygmat rodziny z dziećmi, uspokajamy: w czasie łamania konstytucji pobieranie „500+” jest moralnie uzasadnione, iż im więcej pieniędzy państwo wyda na nas, tym mniej mu zostanie na krzewienie fashysmu. of kors dotyczy to jedynie tych rodzin, gdzie „500+” jest pobierane ironicznie i przeznaczone na zakupy produktów bezglutenowych i sojowych, nie dotyczy to całej reszty Podkarpacia, które za „500+” kupuje olej napędowy, papierosy i wódkę.

pomyśleli, że świętujemy odzyskanie przez ten kraj niepodległości?

Tak w ogóle to mieliśmy w tym dniu zaplanowane calle z naszymi zagranicznymi centralami, a ostatecznie musieliśmy pisać maile, iż niestety, ale musimy je przełożyć z powodu dnia wolnego z okazji, hm, no cóż, święta niepodległości.

Wyobrażacie sobie, jakie to musiało budzić zażenowanie w naszych przyjaciółach z zachodu Europy? Pewnie, nikt z nich nie da nam wprost do zrozumienia, iż coś jest nie tak, są na to zbyt nowocześni i dobrze wychowani, ale na pewno swoje na ten temat myślą.

Myśleliśmy, iż może jeszcze osoboduda nie podpisze ustawy, ale widocznie sam zamierzał hucznie świętować także 12, to nie jest nowoczesny prezydent : (©©

Okropna sprawa z 12 listopada. Znów rząd narzucił nam, kiedy mamy świętować

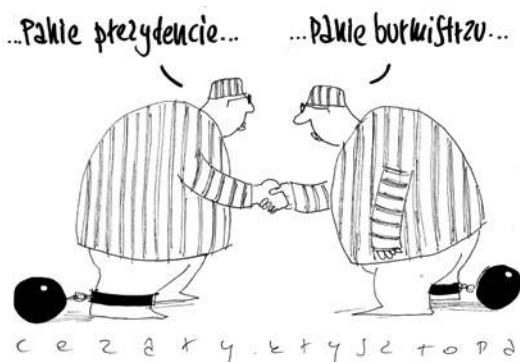
– siedzenie na fejsie; jako iż nasz ruch oporu jest nie tylko podziemny, ale również internetowy, możemy, a nawet powinniśmy poświęcać czas na fejsbukowe aktywności, np. jeden lajk na grupie zrzeszającej członków KOD i KO to jedno nastawione złamanie konstytucji, jeden wpis o Kaczorze-Dyktatorze to nastawienie z zagipsowaniem;

Okropna sprawa z tym wolnym dniem 12 listopada. Znow państwo narzuciło nam, kiedy mamy świętować, i nałożyło ten obowiązek akurat w czasie, kiedy nad tym krajem unosił się duch narodu. Jak więc moglibyśmy spokojnie obchodzić wtedy dzień wolny, skoro wszyscy nasi zagraniczni frendzi pewnie



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

REKLAMA



– pójście na mecz; oczywiście ironicznie, znacie nasze nastawienie do sportu, chodzi o możliwość przedstawienia baneru z napisem „Konstytucja” milionom widzów w całej Europie;

– oglądanie seriali; of kors zagranicznych i odpowiednio lewicowych, iżbyśmy chłonęli kulturę i obyczaje, które wprowadzimy po upadku dyktatury, of kors w zgodzie z przepisami konstytucji;

- pobieranie „500+”; tak, tak
- wszystkich członków naszego kolektywu, którzy kultywują



REHABILITACJA CHRYSTUSA BOŻEGO

Czy Kościół to chrześcijaństwo?

Bez względu na światopogląd czytelnika, fakty mówią za siebie. Zobaczmy, jak wygląda **wielowiekowy przekręt**.

Bóg jest za darmo – BÓG W NAS.

Kościelne dogmaty, daniny, kary i groźby tzw. wiecznego potępienia – to jest wolność i równość? Wykorzystywanie seksualne dzieci i malwersacje finansowe – to jest etyka i moralność? Błogosławienie broni, użycie jej przeciwko ludziom i zwierzętom. Czy tego uczy Stwórca?

Nadszedł czas na wnioski.

Komu mają ufać młode pokolenia? Zmiany klimatyczne na Ziemi to skutki. Czy potrafimy uczyć się z błędów? Perspektywa jest ukazana. Można z niej skorzystać.

cena 49 zł, 700 stron, twarda oprawa, ilustracje

Zamówienia można składać na:

www. sklep.zycie-uniwersalne.org.pl

www.rehabilitacja.de

lub listownie:

Życie Uniwersalne

skr. poczt. 22, 00-952 Warszawa 40



Wojciech Wybranowski

Już po raz szósty przyznaliśmy nagrody Strażnika Pamięci. Otrzymały je osoby i instytucje szczególnie zasłużone dla szerzenia i obrony prawdy historycznej o dziejach Polski

W ciągu najbliższych kilku miesięcy ambasador Jakub Kumoch wraz z zespołem ambasady RP w Bernie przedstawi i opublikuje tzw. listę Ładosia. Chodzi o wykaz nazwisk Żydów, których udało się uratować dzięki fałszywym paszportom paragwajskim wystawionym przez Aleksandra Ładosia i kierowaną przez niego grupę polskich dyplomatów w Szwajcarii. Ostrożnie się szacuje, że dzięki tym dokumentom polskim dyplomatom udało się uratować od śmierci w niemieckich obozach zagłady co najmniej 400 Żydów, nieoficjalnie się szacuje, że liczba ocalonych może być znacznie większa.

– Będzie to lista dłuższa niż słynna lista Schindlera – zadeklarował ambasador Jakub Kumoch w miniony wtorek podczas uroczystej gali Strażnik Pamięci 2018 organizowanej przez tygodnik „Do Rzeczy”. To spotkanie, na którym co roku honorujemy osoby, organizacje i instytucje, które w minionym roku w sposób szczególnie przyczyniły się do promocji i utrwalania wiedzy o polskiej przeszłości, umiejętnie i ciekawie opowiadały o naszych dziejach i broniły ich przed krążącymi w wielu środowiskach międzynarodowych oszczerstwami dla Polski półprawdami.

„OWOC DRZEWA PATRIOTYZMU”

Statuetki Strażnika Pamięci tygodnika „Do Rzeczy” – przyznawane w trzech kategoriach: „Twórca”, „Instytucja” i „Mecenas” – wręczyliśmy już po raz szósty. – W tym roku zdecydowaliśmy się uhonorować naszymi wyróżnieniami wszystkie osoby i instytucje wskazane przez kapitułę konkursu, a także w każdej z kategorii konkursowych jednemu laureatowi przyznać nagrodę główną – mówił Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”, otwierając galę na Zamku Królewskim w Warszawie.



Fundament

Laureaci VI edycji nagrody
Strażnik Pamięci wraz
z organizatorami

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



naszej tożsamości



– Patriotyzm jest owocem drzewa pamięci – mówił szef rządu Mateusz Morawiecki podczas uroczystej gali na Zamku Królewskim w Warszawie FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



Profesor Marek Chodakiewicz otrzymał nagrodę główną w kategorii „Twórca” FOT. DO RZECZY

– Patriotyzm jest owocem drzewa pamięci. To drzewo jest nam bardzo potrzebne. Dziękuję wszystkim, którzy podlewają to drzewo, dbają o nie – zwracał się do laureatów Strażnika Pamięci i uczestników gali premier Mateusz Morawiecki.

Szef rządu podkreślił także, że pamięć jest jedną z najważniejszych składowych budujących siłę nowoczesnego państwa. – To niezbędny element budowy tożsamości narodowej, państwowej oraz skuteczności działania na arenie międzynarodowej. Tylko na tym fundamencie możemy odbudować pamięć o naszej wielkiej historii oraz budować naszą współczesną tożsamość – mówił szef rządu.

Na uroczystości oprócz premiera obecni byli m.in. wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, wicemarszałek Senatu Adam Bielan oraz ministrowie: Andrzej Dera z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy i Henryk Kowalczyk, minister środowiska.

Specjalny list do uczestników uroczystości wystosował prezydent Andrzej Duda. Napisał w nim m.in.: „Pamięć jest fundamentem tożsamości, skarbnicą dziejowego doświadczenia, jest wreszcie inspiracją do tego, by wspólnie budować

lepszą przyszłość. Przekonujemy się o tym wspólnie w tym roku, gdy obchodzimy wielki jubileusz stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości”.

Marszałek Senatu Stanisław Karczewski, w liście skierowanym do laureatów i uczestników Strażnika Pamięci, apelował: „Myśmy, a z pewnością wielu z nas wzrastało w kraju zniewolonym, dlatego też z pełną determinacją przywołujemy do pamięci zbiorowej ważne fakty z naszych dziejów, a zwłaszcza fakty przez komunistów i ich spadkobierców oraz kontynuatorów zakłamywane lub przeinaczane. Brońmy ogółu narodowej pamięci przed barbarzyńcami [...]”.

OBROŃCY PAMIĘCI

W obronie narodowej pamięci i przenoszenia jej między kolejnymi pokoleniami młodych Polaków laureaci nagrody mają zasługi nie do przecenienia. Dlatego, jak podkreślali prowadzący uroczystość Rafał A. Ziemkiewicz i Aleksandra Ciejęk, wszystkie wyróżnienia mają docenić ich ciężką pracę dla wspólnego dobra.

W kategorii „Mecenas” wyróżnieni zostali: adwokat Waldemar Gujski, a także Art Media – Galeria Delfiny oraz Jan Białostocki, współtwórca Festiwalu

Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”.

Nagroda główna Strażnika Pamięci przypadła PGE – Polskiej Grupie Energetycznej. Odebrał ją prezes Henryk Baranowski.

– Dokładnie wczoraj, tyle że 100 lat temu, powołano spółkę Siła Światła. Jest ciągłość i tę ciągłość laureat nagrody podtrzymuje. PGE potrafi nie tylko dostarczyć prąd Polakom i wciąż być w rękach polskich. Dlatego nie musimy płacić daniny naszym przyjaciom, lepszym lub gorszym – mówił Antoni Trzmiel, szef portalu DoRzeczy.pl.

W kategorii „Instytucja”, w której tytuł Strażnika Pamięci przyznawany jest muzeom, stowarzyszeniom, fundacjom oraz organizacjom, wyróżnienie otrzymali: ambasador Jakub Kumoch i ambasada RP w Bernie – za działalność na rzecz upamiętnienia akcji ratowania Żydów podczas II wojny światowej, którą prowadzili polscy dyplomaci, a także Arkadiusz Gołębiowski – organizator Festiwalu Filmowego „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci”. Wyróżniono też Centrum Historii „Zajezdnia” – miejsce nowoczesnych wystaw historycznych, projektów edukacyjnych i kulturalnych – oraz wydawnictwo Glaukopis.

Patronat honorowy



Współorganizator



Partner strategiczny



Sponsor



Współorganizator





Oprócz premiera na gali obecni byli m.in.: wicemarszałek Sejmu Ryszard Terlecki, wicemarszałek Senatu Adam Bielan oraz ministrowie: Andrzej Dera z Kancelarii Prezydenta Andrzeja Dudy i Henryk Kowalczyk, minister środowiska FOT. ROBERT GAROZIŃSKI

Nagrodę główną Strażnika Pamięci w kategorii „Instytucja” otrzymał ks. Stanisław Wysocki wraz ze Związkiem Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej – za upamiętnianie Polaków, którzy w wyniku sowieckich represji ponieśli śmierć.

– Gdy Europa Zachodnia świętowała koniec wojny i podnosiła się z gruzów, w okupowanej przez Sowietów Polsce trwał koszmar. W lipcu 1945 r. NKWD w ramach tzw. obławy augustowskiej wprowadziło setki Polaków. Członków podziemia, przedstawicieli elit. Wszyscy zostali bestialsko zgładzeni. Bez sądu, bez winy. Metodą katyńską: pojedynczym strzałem w tył czaszki – przypominał Piotr Zychowicz, redaktor naczelny „Historii Do Rzeczy”. – Istnieją jednak ludzie, którzy starają się to zmienić. To Związek Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej. Na czele z niezastąpionym, niestrudzonego ks. Stanisławem Wysockim, który jako dziecko stracił w „obławie augustowskiej” ojca. Kochani Państwo, trudno mi wyrazić w słowach moją wdzięczność. I podziw, jakim Was darzę.

Odbierający statuetkę Strażnika Pamięci ks. Stanisław Wysocki nie krył wzruszenia. Podkreślał, że nagrodę przyjmuje w imieniu wielu życzliwych ludzi, dzięki którym ofiary sowieckiej zbrodni wracają

w narodowej pamięci. Na ręce Pawła Lisickiego, redaktora naczelnego „Do Rzeczy”, przekazał też miniaturę pomnika upamiętniającego ofiary obławy augustowskiej, który stanął w Suwałkach.

– Najtrudniejsze w naszej pracy jest odszukanie dołów śmierci, w których pochowano szczątki naszych najbliższych, a także ustalenie pełnej listy ofiar sowieckiej zbrodni – mówił nam w kuluarach uroczystości ks. Stanisław Wysocki. – Na szczęście młode pokolenie, zwłaszcza harcerze z ZHR, bardzo angażują się w nasze prace, pomagają i wspierają. Bez tych młodych ludzi niewiele moglibyśmy zdziałać. Wśród młodych ludzi budzi się prawdziwy patriotyzm, poszukują prawdy o naszej historii.

W kategorii „Twórca” wyróżnienia otrzymali: Tadeusz Płużański, autor książki opisujących komunistyczne zbrodnie na Polakach; historyk Robert Frost, autor monumentalnego dzieła analizującego znaczenie unii polsko-lubelskiej, oraz Denis Delić, reżyser filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”, i Stanisław Srokowski – pisarz, autor powieści i opowiadań opisujących zbrodnie dokonane na Polakach na Wołyniu.

Główną nagrodę w tej kategorii – statuetkę Strażnika Pamięci – przyznaliśmy

prof. Markowi Chodakiewiczowi, znanemu historykowi, autorowi wielu książek i publikacji poświęconych polskiej historii.

– Strażnik Pamięci to nie jest robota na spokojne czasy. To też nie jest robota dla laika – mówił w laudacji Piotr Gociek, publicysta „Do Rzeczy”. I wyliczał atuty profesora. – Jest cierpliwy, uparty, niestrudzony. A o prawdę walczył już w czasach, gdy nikomu do głowy nie przyszło, że dojdzie do konserwatywnej rewolucji. On nigdy poglądów nie zmienił, to czasy się zmieniły. Oświeca laików, pozyskuje nowych sojuszników. Nigdy nie używa argumentu siły, ale siły argumentu.

Profesor Chodakiewicz nie mógł być obecny na gali. Za nagrodę dziękował w specjalnie przesłanym filmie, który został odtworzony podczas uroczystości.

W trakcie uroczystości minister środowiska Henryk Kowalczyk przyznał **nagrodę specjalną**, którą otrzymały Łasy Państwowe. – To właśnie leśnicy odkrywali miejsca pamięci. Dają przykład. Bez pamięci zapomnielibyśmy, jak ważna jest Polska – mówił szef resortu środowiska.

Uroczystość uświetnił występ Iwony Leśniowskiej-Lubowicz z Zespołem Skrzypków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Patronat medialny Partnerzy



dwaj panowie g

Marsz w Warszawie swoją drogą, a marsz ku władzy w sejmikach – swoją. Bunt w Peezelu przeciw Władkowi Kosiniakowi-Kamyszowi rośnie. Najbardziej przeciw odrzuceniu propozycji PiS (zgoda na porozumienia lokalne w zamian za ocalenie posad tysięcy ludowców w odbitych województwach) gardlują baronowie z Mazowsza i Lubelszczyzny. Także pewna była minister rządu PO-Peezel namawia Władka do rozsądku. Czekamy.

Jak w ukropie uwija się marszałek mazowiecki Struzik Adam, który stał się politykiem niezwykle koncyliacyjnym i, kto wie, czy nawet nie PiS-owskim w głębi duszy. Na poważnie wziął deklarację, że zieloni bracia mają w polskiej polityce łączyć, nie dzielić. Poniżej ciekawy dowód.

Oto on: wiecie, co to Mazowiecki Serwis Prasowy? Już wyjaśniamy – od ponad roku Struzik rozsyła przez podwładnych raz w tygodniu serwis informujący o tym, co w regionie. Cechy szczególnie produktu: w każdym numerze dużo jest o tym, jak mądry i dobry jest Struzik, ale jeszcze więcej o tym, jak zła jest PiS-owska władza.

Piszemy o tym w naszej elitarnej rubryce, gdyż nagle stał się cud. W numerze rozsyłanym po drugiej turze wyborów samorządowych, a przed terminem ukonstituowania się sejmików wojewódzkich, nie ma ani słowa o Struziku i o PiS. Wiecie, jak nazywa się taki cud? Odpowiadamy: „negocjacje koalicyjne weszły w decydującą fazę”.

Lęki dopadły członków Nowoczesnej Kropki, gdyż Grzegorz Ludojad Schetyna domaga się natychmiastowej konsumpcji związku i wcielenia Nowoczesnych do Pełto

Arcyciekawie jest na Dolnym Śląsku. Tam przed Bezpartyjnymi Samorządowcami trudny wybór: odpuścić jedno z ważnych stanowisk, by dostać 10 mld zeta inwestycji w regionie, czy jednak nie. Wierzmy, że i oni wolą łączyć, nie dzielić.



Górny Śląsk? Tutaj niespodzianka. Czerwoni bracia w koalicję nie wejdą, ale większość i tak będzie. Dlatego że nie brak na Śląsku ludzi rozsądnych i praktycznych. Tak przynajmniej opowiadają wiewiórki.

Tymczasem Kaczor Dyktator wcale nie jest tak szczęśliwy z wyniku wyborów, jak próbował pokazać w telewizji. Nie tylko się wściekł, lecz także postanowił skorzystać z dorobku złego Donalda z Brukseli, który na każde kłopoty miał gotową receptę: trzeba zrobić rekonstrukcję rządu. Żeby wytypować kandydatów do rządxitu, zlecono sekretne badania opinii społecznej na temat „Kto jest najbardziej przez naród nielubiany”.

W związku z tym kotłuje się pod dywanem, bo wszyscy próbują przekonywać, że to nie ich wina. Ziobryści spinują wersję „za mało było Bełaty, którą kocha lud”, morawianie twierdzą, że to wszystko przez Zbyszka i że ziobryści sabotują negocjacje w sejmikach, bo chcą się sami połączyć z Peezelem, gdy już ich Kaczor Dyktator wyrzuci. W tym wszystkim pojawiła się ohydna plotka, że kolizje samochodu z Bełatą na pokładzie nie były przypadkiem, jeno próbą zohydzenia. Taki nasz mały polski „House of Cards”.

Apropos Bełaty. Nie uwierzcie, jak złośliwi są niektórzy ludzie. Na przykład taka sytuacja: Bełata w Radiu RMF ogłosiła w odpowiedzi na krytykę: „Znam się na wyborach samorządowych”. Potem podała dowód: w jej rodzinnych Brzeszczach były pracownik jej biura poselskiego startujący z listy stowarzyszenia, które ona sama zakładała, wygrał wybory. No i natychmiast żli ludzie pobiegli do Kaczora Dyktatora naskarżyć, że ów gość owszem, wybory wygrał, ale pokonując kandydata PiS.

Apropos wiewiórek, wracamy do marszu w Warszawie. Musimy pochwalić kolegów z Wirtualnej Polski, bo mieli dobre informacje. Na trzygodzinnym posiedzeniu na Nowogrodzkiej tydzień temu faktycznie Kaczor Dyktator podjął decyzję o przejęciu marszu. Znacząco o ogłoszeniu zniecacka w ostatniej chwili, że będzie uroczystość państwowa. Byłaby gigachryja, ale koło ratunkowe rzuciła PiS bohaterka Hanka Bufetowa, zakazując imprezy narodowców. Tak to jest: gdy ktoś kopie wroga w paroksyzmie nienawiści, często może kopnąć się w czoło.

Na trzygodzinnym posiedzeniu na Nowogrodzkiej tydzień temu faktycznie Kaczor Dyktator podjął decyzję o przejęciu marszu

Wszystko to miało być wielkim sekretem albo przynajmniej wielkim niedopowiedzeniem. Jeszcze w czwartek rano ważni PiS-owcy dementowali rewelację WP, a najważniejsi puszczali oko i mówili: „To głęboka tajemnica, nikt wam tego nigdy nie potwierdzi”. W piątek rano pewien wicepremier już mówił w radiu, że wszystko było zaplanowane od bardzo dawna. Dobrej zmianie gratulujemy spójnej polityki informacyjnej.

Jeszcze o niepodległości. Kilka dni przed marszem na ulicach Warszawy rozdawano nowy tytuł prasowy: „Ilustrowany Kurier Społeczny”. Wydawcą był resort Rafalskiej, świętujący stulecie polityki społecznej wolnej Polski. Redaktorem naczelnym też była Rafalska. A ludzie mówią, że dziennikarstwo nie ma przyszłości.

Wszystkie resorty dostały z kolei do rozdania niepodległościowe pudełka. Pudełka są białe, mają wielkość opakowania na buty rozmiar 35 i nadrukowane logo. Do pudełka wkłada się rozmaite kubki, przypinki, smycze i niepodległościowe krówki. Przyznajemy, jest dobra zmiana. Krówki PiS-owskie są bardziej miękkie od krówek z czasów PeŁo, którymi częstowało MEN. Choć w sumie dla fanów prawdziwie twardych krówek to zła zmiana.

My tu gadu-gadu o marszach i niepodległości, a tu nadchodzi sądny dzień. Chodzi oczywiście o sąd europejski, znaczy Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, i wysłuchanie stron 16 listopada w sprawie reformy sądów. Europejskie wiewiórki opowiadają, że niesłuchanie aktywny za kulisami w tej sprawie jest polski sędzia Marek Safjan. Uwaga, rzucamy ponury żart: ciekawe, po której stronie.

Wiewiórki donoszą, że niektóre działania przynoszą skutek przeciwny do zamierzonego. Na przykład odpalenie w Polsce informacji,

że syn Safjana znajdował się w notesie dilerą gwiazd od białego proszku niekoniecznie do pieczenia. Głupia sprawa, zamiast się zmytygować, sędzia Safjan stał się po tym zakulisowo jeszcze bardziej niezależny i bezstronny niż dotąd. Oczywiście wszystkie powyższe informacje podajemy z zaznaczeniem, że uważamy je za ohydne potwarze.

Zżycia Eine Totalopposition. Lęki egzystencjalne dopadły członków Nowoczesnej Kropki, gdyż Grzegorz Ludojad Schetyna domaga się natychmiastowej konsumpcji związku i wcielenia Nowoczesnych do PeŁo. W grudniu władze Kropki niby mają podsumowywać wybory samorządowe, ale tak naprawdę będą debatować, jak uniknąć pożarcia.

Grzegorz Ludojad ma jeszcze jeden powód, dla którego chciałby szybko spacyfikować i zjeść Nowoczesną Kropkę. Chodzi o to, że jej wpływowi przedstawiciele mówią głośno to, co w PeŁo powtarzane jest tylko po cichu i w sekrecie przed Grzegorzem. Że Schetyna osiągnął już swój szklany sufit

i więcej z jego przywództwa się nie wycisnie. Schetyna nie pozostaje dłużny. Rozpytuje na przykład po mieście, czy Rafcio Trzaskowski rzeczywiście musi mieć tego wiceprezydenta, co obiecał w kampanii wyborczej.

Zrynku wydawniczego. Radek Sknerus Sikorski napisał książkę. Taką jak on sam: obszerną, nudną i w twardej oprawie. Celem książki nie jest jednak naprawa dyplomacji polskiej, lecz promocja kandydata PZKO do europarlamentu. Co to PZKO? Aha, zapomnieliśmy wyjaśnić: Polska Zjednoczona Koalicja Obywatelska.

Tym samym Radek Sknerus złamał kolejną obietnicę. Obiecywał bowiem kiedyś, że jeśli napisze książkę, to będzie to thriller sensacyjny w stylu Forsytha. Jesteśmy więc rozczarowani, bo są jakieś nudy na pudy pt. „Polska może być lepsza”. Jednak we wzorowanie się na Forsycie i tak nie mogliśmy uwierzyć. Życie Radka to thriller, owszem, ale z innej parafii. Coś jak książki Remigiusza Mroza. Może i niektóre zakręty fabuły sensacyjne, ale całość raczej kiepsko napisana. ©

REKLAMA

Torii to marka dla ludzi ceniących klasyczną elegancję, jednak pragnących się wyróżnić, podkreślić swój wyjątkowy styl. Zegarki łączą w sobie tradycję i nowoczesność. Wyposażono je w niezawodny japoński mechanizm kwarcowy, szkło pokryte warstwą szafirową. Ponadto są wodoszczelne do 10 ATM i wykonane z antyalergicznego stali szlachetnej.

Odkryj moc drzemiącą w zegarkach Torii na:
toriiwatches.com



TORII



Z ks. Jackiem Stryczkiem,
twórcą i byłym szefem stowarzyszenia Wiosna
rozmawia Marcin Makowski

Nie wiem, czy się obronię



Czym jest „Szlachetna Paczka”?

To oryginalny projekt pomocy rodzinom prowadzony przez stowarzyszenie Wiosna. Opiera się na wolontariuszach, którzy docierają do domów i rozpoznają sytuację ludzi – bo do pomocy typowani są ci, którzy znaleźli się w trudnej życiowej sytuacji, ale mają ochotę i siłę do zmiany. Paczka pomocowa jest tylko impulsem, który pomaga im się wydostać z biedy. Szlachetne paczki docierają do ludzi, którzy dzięki mądrej pomocy mogą sami radzić sobie w życiu.

Projekt działa od 2001 r. i każdego roku łączy setki tysięcy ludzi. W ubiegłym roku pomoc dostarczona została do 20 tys. ludzi przez 12 tys. wolontariuszy. Pomagało innym ponad 700 tys. darczyńców. Łączna materialna wartość przekazanej pomocy sięgnęła 54 mln zł.

„Szlachetną Paczkę” wymyślił ks. Jacek Strzyżek „Wiosna”, duszpasterz akademicki, filozof i myśliciel, społecznik – do niedawna prezes stowarzyszenia Wiosna.

MARCIN MAKOWSKI: Czy chciałby książd dzisiaj, gdy opadły emocje, kogoś za coś przeprosić?

KS. JACEK STRYCZEK „WIOSNA”: Moje emocje jeszcze nie opadły. Proszę pana, Onet zrobił ze mnie potwora, którym nie jestem. Z tekstu wynika, że chodziłem do Wiosny, żeby krzywdzić ludzi, i to było moje główne zajęcie. Nie umiem się odnaleźć w tak wykreowanym obrazie, za którym – jak rozumiem – kryje się postulat wielu osób, że za coś powinienem przeprosić.

Czyli książd nie przeprosza za żadną z sytuacji i żaden z zarzutów byłych pracowników opisanych w mediach?

Problem polega na tym, że pamiętam, jak wiele z tych sytuacji wyglądało naprawdę. Trudno mi się do nich odnieść bezpośrednio ze względu na to, że byłem pracodawcą tych ludzi. Chcę i powinienem być dyskretny. Oczywiście przykro mi, że ktoś czuje się zraniony, wracam jednak do meritum. Gdyby to było moje jedyne źródło, sam bym uwierzył, że byłem najgorszą osobą na świecie. Jest np. zarzut, że jedna z naszych pracownic mdleje, a ja bagatelizuję sytuację. Próbowaliśmy prześledzić, o jaki przypadek może chodzić. Później pojawił się wpis w mediach społecznościowych, w którym ktoś nawiązał do sytuacji osoby, która była w ciąży i w tym czasie kilka razy mdlała. Przecież jesteśmy organizacją, w której pracuje wiele kobiet, pomaganie to jest ich domena. Zatrudniamy wiele młodych kobiet, niektóre w tym czasie stają się matkami, a tekst sugeruje już na samym początku, że dzieją się u nas dantejskie sceny.

Jak w takim razie rozumieć słowa nowej prezes Wiosny Joanny Sadzik, która stwierdziła po objęciu stanowiska, że „przeprosza za wszystko, co było nie tak”. Czyli za co?

Gdy pojawiły się zarzuty stosowania mobbingu, poddałem się zwykłej procedurze. Nastąpiła rezygnacja i ustalenie przebiegu opisanych sytuacji. To, że idziemy obecnie różnymi drogami, jest dla mnie oczywiste – zarząd wziął odpowiedzialność za Wiosnę, dlatego nie komentujemy naszych działań. A sam reportaż, gdyby był odpowiedzialny społecznie, powinien uwzględnić nie tylko opinie drugiej (czyli naszej) strony, lecz także inne fakty, które go obiektywizują. Tymczasem do tej pory nie mamy przestrzeni, aby opowiedzieć o naszych doświadczeniach pracy w Wiośnie.

Dalej słowa obecnej prezes: „Myślę, że zmiana prezesa jest przedstawieniem pewnej zwrotnicy. [...]

Jeśli chodzi o zmiany w samym stowarzyszeniu, to potrzebujemy trochę czasu. Musimy odbudować zaufanie”.

Na pewno po publikacji nastąpiła utrata zaufania nie tylko do mnie, lecz także do całego stowarzyszenia. Rozumiem, że ci, którzy zostali, ciężko pracują, aby je odbudować. Jest jednak jakiś powód, dla którego przez lata wiele organizacji i podmiotów garnęło się do nas. Dla mnie zmiany są czymś oczywistym. A o zmianach w Wiośnie, gdy już odejdę, rozmawialiśmy zresztą wcześniej.

Ostatni cytat. Tutaj jestem bardzo ciekaw odpowiedzi. „Mogę tylko wyrazić głęboki żal, że nie udało się pracownikom i prezesowi dogadać, ugasić pożarów, zniszczyć tego, co złe, w zarodku, a tam, gdzie to potrzebne – przeprosić i z nową energią iść dalej jasną drogą”. To słowa Anny Dymnej. Jak je książd skomentuje?

Ja też żałuję, że nie udało się ugasić pożarów, a oskarżenia medialne były na tyle sugestywne, iż zamieniły się w coś na kształt wyroku. I nie chodzi mi w tym przypadku o osąd słów Ani. Może to jest dobra okazja, by powiedzieć, że kiedyś Anna Dymna bardzo nam pomogła. Chodziło o pozyskanie biura. A co do samej sytuacji – bycie społecznikiem to trudne zadanie. Na pewnym etapie, w czasie ogromnego kryzysu od 2015 do 2017 r., struktura „Szlachetnej Paczki” zaczęła się sypać, a to sprawiło, że właściwie nie było komu zajmować się ludźmi. To prawda. Zadawałem sobie wtedy pytania podczas modlitwy. Dlaczego znowu jestem w takiej sytuacji? Gdzie tkwią źródła problemów i kto za nie odpowiada? Nie miałem jednoznacznej odpowiedzi. Po prostu tak się wydarzyło. Ostatnimi czasy, czyli mniej więcej od czerwca, wszystko zdawało się jednak wracać do normy.

Wie książd jednak, że wiele osób nie będzie się czuło usatysfakcjonowanych podobną odpowiedzią?

Tutaj wracamy do punktu wyjścia. Jak ja mam opowiedzieć swoją historię, skoro zanim ktokolwiek mógł mnie uczciwie osądzić, zostałem „skazany”? W sierpniu ubiegłego roku myślałem, że „Szlachetnej Paczki” już nie będzie. Nie było ludzi, którzy mieliby kwalifikacje, by dalej pracować na takim poziomie. Nie mieliśmy dyrektora ani kadry działu personalnego, działu komunikacji i działu projektowego. To dwie trzecie całej organizacji, a ludzie czekali na „Paczkę”. Jakoś udało nam się jednak z tym wszystkim uporać... Od lat bazujemy na

D młodych ludziach pracujących z liderami doświadczonymi w biznesie. Z czasem stworzyliśmy na tej podstawie swoją kulturę organizacyjną, z charakterystyczną stymulacją do rozwoju oraz informacji zwrotnej.

Dlaczego w takim razie osoby, które czuły się przez księdza pokrzywdzone, zarzucały, że właśnie ten element zawiódł? Nie rozmawiano z nimi?

Odpowiem panu, odwołując się do faktów: do tekstu w Onecie dołączyliśmy wyniki badań, które były przeprowadzane w stowarzyszeniu przed kryzysem, w trybie powrotu do normalności. Były tam pytania o atmosferę w pracy, informację zwrotną, współpracę z szefami. Statystyki były wyraźnie pozytywne. Dla mnie jest oczywiste, że jednym się ze mną pracuje lepiej, innym gorzej. Mam jednak wrażenie, że kolejne pana pytania zmierzają do stworzenia wrażenia, iż organizacja, która się rozwija, nie ma prawa do kryzysu.

Uważam, że przy pewnej skali rozwoju każda firma musi się zmierzyć sama ze sobą, ale w całej historii nie chodziło przecież o niewydolny dział HR.

Ja chcę jednak panu pokazać, że również u nas były pewna dynamika, wzloty i upadki. Już od 2005 r. mówiłem publicznie, że „Paczka” to raczej kryzys niż sukces. Gdy zaczynaliśmy, ludzie nie chcieli masowo pomagać i przygotowywać paczek – musieliśmy dopiero wprowadzić „modę” na pomaganie. Przetrzeć szlaki. Trzeba też było sfinansować logistykę. To dla mnie było bardzo stresujące doświadczenie – jeżeli ktoś miał nieprzespane noce z powodu problemów finansowych, to na pewno mnie zrozumie. Byłem częścią „Paczki”, razem dźwigaliśmy te same ciężary. Ta praca była moim powołaniem, dlatego konsekwentnie nie pobierałem wynagrodzenia za pracę. To, co mi się najlepszego w Wiośnie przydarzyło, to to, że przez kolejne lata umiałem znaleźć fantastyczne osoby, które razem ze mną chciały brać na siebie ten ciężar.

Może tutaj leży źródło problemu i niektórzy dostali na barki takie ciężary, których nie byli w stanie unieść?

Wiele osób śledziło polską wyprawę na K2. Każdy rozumie, że sam zamysł, aby tam być i zdobywać szczyt, wymaga przygotowania i odwagi. Słowo „szlachetny” oznacza człowieka, który poświęca swoje życie dla innych. I ja starałem się stworzyć miejsce, w którym praca będzie miała sens. A sens wypływa z dwóch rzeczy:

czuję, że utożsamiam się z ideałami oraz że gdy coś robię, to mi wychodzi. Poczucie sensu to obecnie jeden z najbardziej poszukiwanych elementów w pracy. Zresztą w wypowiedziach widać, że nasi byli pracownicy utożsamiali się z ideą „Paczki”.

Może granice między pracą a misją były momentami przekraczane? Ksiądz miał wysyłać wieczorami e-maile, dzwonić.

Pan wraca do tekstu, a sam dziennikarz stwierdził, że przeprowadził wywiad z 40 osobami, ale powołał się na 21 wypowiedzi. W tekście można rozróżnić kilka. Być może Wiosna jest trudna i wymagająca, ale są tacy, którzy podobnej pracy szukali. Wiosna od początku była organizacją przyjacielską, wyrosła z grona przyjaciół. To byli przede wszystkim moi wychowankowie z duszpasterstwa akademickiego, co przełożyło się na ogólny klimat w organizacji, bogate życie towarzyskie. W każdym z badań, które przeprowadzaliśmy, pracownicy mówili, że to jest miejsce, w którym pracuje dużo fajnych ludzi. Nato-

Prokuratura to dla mnie być może jedyna droga, aby oczyścić się z zarzutów. Nie mam przecież żadnych spraw w sądzie pracy, kontrola Państwowej Inspekcji Pracy nie wykazała nieprawidłowości

miast jeśli chodzi o wieczorne (oczywiście nie tylko wieczorne) e-maile – tę politykę świadomie wdrożyłem, ponieważ nie miałem wtedy innej możliwości przekazywania uporządkowanej informacji służbowej. Z powodu kryzysu miałem „pod opieką” może ze 100 osób. A skąd wieczór? Po prostu w ciągu dnia miałem same spotkania. W tekście pojawiły się fragmenty dwóch e-maili. W jednym była mowa o moim pozytywnym podejściu do pracownika, gdzie – choć nie było to opublikowane – opisałem warunki, jakie ta osoba musi spełnić, aby dalej pracować. W drugim e-mailu znajdowały się moje uwagi odnośnie do niewłaściwego zachowania pracownika. E-maile miały charakter służbowy. Nie bardzo rozumiem, jak możemy o nich dyskutować poza środowiskiem pracy.

Czy ludzie, którzy otrzymywali takie e-maile, wiedzieli, że w Wiośnie pracuje się właśnie na nieformalnej stopie? Czy to był dla nich jasny układ?

Tak jak staram się powiedzieć – te „wieczne e-maile” kierowałem jedynie do wąskiego grona osób. Wydaje mi się, że wieczór nie ma tu żadnego znaczenia. Gdy czasami potrzebovałem kontaktu z pracownikiem poza zwykłymi godzinami, pytałem najpierw, czy mogą i chcą. Ja akurat bardzo szanuję prywatność choćby dlatego, że sam staram się mieć swoje życie. Jednak tych sytuacji też było niewiele. Wiosna jest dużą organizacją i mój telefon po godzinach niewiele by zmienił. Wie pan, już po moim odejściu rozmawiałem z wieloma ludźmi z biznesu. Chwilę mówili o swoich sukcesach, a potem szczerze o problemach, i to podobnych do moich: braki kadrowe, niewydolność komunikacyjna, zbyt szybko rozrastająca się skala firmy. Przy okazji rozumiem, bo o tym mówiło mi wielu, że trudnością mogło być dla ludzi to, że funkcjonuję w różnych rolach: szefa, społecznika, księdza, ale też filozofa. Od zawsze w Wiośnie rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Mogę powiedzieć, że Wiosny wszyscy się uczyliśmy – również metodą prób i błędów.

Czy te „próby i błędy” odbywały się również kosztem pracowników? Zdarzało się księdzu pomyśleć: „Żle tę sprawę załatwiłem”?

To jest oczywiście, że nie ma jedynie słusznej drogi. Ja nie wierzę w banalne życie, w którym nie popełnia się błędów. Ja również je popełniałem. Gdy zatrudnialiśmy pierwszą osobę, nie wiedziałem nawet, jak wydać jej polecenie służbowe, bo byłem po prostu duszpasterzem akademickim. „Paczka” od początku wszystkim nam stawiała wymagania, wchodziliśmy w nieznane. To jest prawda o nas, o projekcie, który tworzyli pasjonaci. Niektórzy traktowali ją tak osobiście, że angażowali się kompletnie. Myślę, że wszyscy czuliśmy, iż robimy coś ważnego.

Czy już po wszystkim spotkał się ksiądz z którąś z osób, które opowiadały o swojej traumie? Na pewno tożsamości wielu mógł się ksiądz domyślić. Była próba konfrontacji i wysłuchania ich historii?

Tak, zaprosiliśmy te osoby na szczerą rozmowę do Wiosny, czyli byłego pracodawcy. Tekst był jednak tak skonstruowany, jakbyśmy stanowili dla nich zagrożenie... Ja nawet dzisiaj, choć nasze drogi się rozeszły, traktuję część tych osób w kategorii przyjaciół.

A oni?

Nie wiem, ale warto podkreślić, że z dużą częścią pracowników miałem okazjonalny kontakt. Nawet dyrektorzy działów zwykle kilka razy w roku referowali mi wyniki swojej pracy. Plus na wiosnę spotkania kreatywne, budowanie strategii. To jednak duża organizacja, a w tekście można odnieść wrażenie, jakbym zajmował się życiem prywatnym pracowników i wszystkich kontrolował. To było niemożliwe. Po co miałbym to robić? Ciekawe, czy ktoś zadał sobie takie pytanie. Co to miałyby wnosić w moje życie?

A do ludzi, których ksiądz nadal nazywa przyjaciółmi, próbował ksiądz dzwonić?

Ja się przywiązuję do ludzi. Mocno też przeżywam, gdy ktoś dla mnie coś zrobi. To nazywam przyjacielskością i tego, co dobre, nie chcę zapomnieć, ale również nie widzę powodu, aby się narzucać. Na żadnym etapie znajomości.

Gdyby jednak nadarzyła się okazja, chciałby ksiądz zapytać, dlaczego poczuli się skrzywdzeni?

Nie mam zdania. Jednak pamiętam nasz ostatni bezpośredni kontakt. Przyjąłem za sadę dyskrecji, również jako pracodawca.

Jeszcze jedna rzecz wokół całej sprawy mocno mnie zastanawia. Zawsze był ksiądz otoczony w mediach grupą ludzi, którzy księdza wspierali. Gdy pojawiły się problemy, nie było widać wielu, którzy chcieliby się wstawić, bronić. Z czego to wynika?

Mogę podzielić się jedynie swoją refleksją: siła mediów. Sam naprzeciwno dużemu koncernowi mediowemu. Mówiąc to, nie szukam jednak przeciwnika. Wręcz odwrotnie – zawsze staraliśmy się pracować ze wszystkimi mediami, budować dobre relacje. Swego czasu stworzyłem koncepcję akcji „Lubię ludzi”. Kryzysom i podziałom społecznym w Polsce chcieliśmy przeciwstawić jedność i wspólnotę. Podczas gali „Szlachetnej Pączki”, również w ramach tego projektu, nagradzaliśmy dziennikarzy wszystkich stron sceny medialnej i politycznej. Nie było poza nami takich miejsc w przestrzeni publicznej. Wśród nich był przecież Onet. Jestem osobą, która nie szuka przeciwników. Wolę budować, tworzyć. I szanuję to, że ktoś myśli inaczej niż ja.

A może nikt nie chciał być oskarżany o obronę mobbingu?

Nie wiem. Na pewno na to pytanie nie ma jednej odpowiedzi, ale nie jest też tak, że wszyscy się odcięli. Nie zostałem

sam, pracuję i współpracuję z wieloma osobami. Powstała nawet strona internetowa Lubieksiedzastryczka.pl. Już w fazie pracy nad tekstem na portalu były próby kontaktu z redakcją, moi znajomi opowiadali swoje pozytywne historie z pracy w „Pacze”, ale one się nie przebiły. Wielu z nich mówi mi dzisiaj wprost, że czują, iż dokonana się niesprawiedliwość.

Zdaje sobie ksiądz jednak sprawę, bo rozmawiamy przecież w Krakowie, że kwestia dyskusyjnych warunków pracy w stowarzyszeniu krążyła po mieście od dawna. A to w formie plotek, a to relacji osób, które czuły się wykorzystane emocjonalnie. Wielu moich znajomych, już po fakcie, mówiło mi: „Może faktycznie nie było aż tak źle, ale nawet jeśli na tysiąc osób jedna była autentycznie skrzywdzona, to 999 pozytywnych historii nie może zagłuszyć tamtej”.

Oczywiście wiedziałem o tych dyskusjach. W ostatnich latach mieliśmy dużą rotację. Kryzys oznacza, że pojawia się wiele negatywnych emocji i ja to szanuję. Proszę zwrócić jednak uwagę, że zarzuty nie polegają na opisie jakiejś konkretnej relacji, która miała charakter mobbingu. Tekst sugeruje raczej ogólną atmosferę, a przed ogólnymi zarzutami trudno się bronić szczegółowo.

A w jaki sposób powstawała ta atmosfera? To chyba nie była wina smogu.

Rozumiem, że chodzi o atmosferę tekstu i atmosferę w pracy. Jeśli chodzi o pracę, to proszę mi uwierzyć, że przez długi czas starałem się po wszystkim zrozumieć, co takiego trudnego we mnie jest, iż może przynosić takie efekty. Wydaje mi się, że znalazłem kilka odpowiedzi. Po pierwsze, pracuję przez wizję, czyli posługuję się pojęciami abstrakcyjnymi. Nie każdy jest do tego przystosowany – a często były to osoby dopiero wdrażające się do organizacji. Po drugie, daję bardzo mocną informację zwrotną. To na pewno zdradzało się w mojej postawie, szczególnie w kryzysie, żeby dawać w ogóle organizacji szansę na sukces. Po prostu nazywałem rzeczy po imieniu, niektórzy nie byli do tego przyzwyczajeni. Rzecz trzecia, u nas pieniądze publiczne wydawane były tak jak pieniądze prywatne. Uważam, że nie mogę zatrudniać osób, których praca nie przynosi efektów. To jest zwykła odpowiedzialność społeczna za powierzane mi przez ludzi środki. Co było nie tak? Na pewno jako prezes, biorąc odpowiedzialność za całą organizację, nie powinienem wchodzić w rolę dyrektora i menedżera. To

było dla mnie oczywiste. Tyle tylko, że to nie był mój wybór. Po prostu nie mieliśmy za dużo dobrej klasy menedżerów, a jeszcze kilku wychowanych u nas pracowników postanowiło zmieniać zatrudnienie. To rodzaj zmiany pokoleniowej.

Był ksiądz trudnym szefem?

Cele, które sobie postaviliśmy, były na tyle szalone, że cała Wiosna musiała mieć w swoich szeregach wiele osób wyrazistych, wybitnych, a przez to dla niektórych trudnych. W procesie rekrutacyjnym nie ukrywaliśmy, że tak to u nas działa. To był mój pomysł na Wiosnę: mocne osobowości, z którymi ja się dogadam, a one dogadują się ze sobą po jakimś czasie.

„Prokuratura zajęła się sprawą ks. Jacka Strzyżka” – donoszą media. Przesłuchano pierwszych świadków. Czy to będzie epilog historii, o której rozmawiamy? W jedną albo drugą stronę?

Prokuratura to dla mnie być może jedyna droga, aby oczyścić się z zarzutów. Nie mam przecież żadnych spraw w sądzie pracy, kontrola Państwowej Inspekcji Pracy nie wykazała nieprawidłowości. O wielu kwestiach nie mogę mówić publicznie, ale chętnie się moją wersją wydarzeń podzielę podczas przesłuchania. I teraz pytanie: Jeśli śledztwo zostanie umorzone, to co wtedy? Jak odbudować to, co straciłem? Jestem przekonany, że w żadnym miejscu nie zламаłem prawa. Na razie nie zostałem wezwany do składania zeznań.

Czy od strony kościelnej nie usłyszał ksiądz żadnych zarzutów?

Przedstawiłem kurii, jak rozumiem całą sprawę. Rozumiem, że wyjaśnienia zostały przyjęte – żadnych decyzji o zmianie mojego statusu jako kapłana w Krakowie nie usłyszałem.

Na koniec tego wątku – skoro czuje się ksiądz pokrzywdzony przez tekst Onetu, to czy przeszła księdzu przez myśl opcja wejścia na drogę prawną?

Nie ma takiego scenariusza. Po prostu nie istnieją takie opcje prawne.

A gdyby były?

To też bym z nich nie skorzystał. Ja nigdy nie mówię źle o ludziach, nie cierpię być w sporach. Nie wiem, jak proces z tak dużym medium miałby się dla mnie dobrze zakończyć. Jak miałbym udowodnić, że przez tyle lat nie byłem w stanie zakłamywać rzeczywistości? Na zewnątrz

■ prezentować sielankę, a w środku być tyranem. Przecież to jest niemożliwe.

Wypowiadając pierwsze oświadczenie w koszulce z filmu „Kler”, zdawał się ksiądz sugerować, że tekst to element szerszej kwestii, swoistego „antykościelnego klimatu” w społeczeństwie. Dobrze to rozumiałem?

Niekoniecznie w całym społeczeństwie, ale bardziej w niektórych mediach. Skąd bym miał tę koszulkę akurat wtedy? Dochodziły do nas sygnały, że tak to będzie wyglądało. Z tego, co wiem, ta kwestia była w redakcji portalu szeroko komentowana. Dzisiaj antyklerykalizm jest łatwy, bycie księdzem jest passé. Jednak to nie jest coś, co ma być usprawiedliwieniem moich kłopotów. To po prostu jeden z elementów składowych nastrojów, który przełożył się na „skuteczność” tekstu. Bo ja wbrew temu, co niektórzy mogą sądzić, czuję się odpowiedzialny za wszystkie rzeczy, które zrobiłem w Wiośnie. Rozmawiałem na ten temat z moimi kolegami, też księżmi. Nawet w późnym PRL nie było tak negatywnego nastawienia wobec nas jak dzisiaj. Ja chyba tego nie rozumiem. Znam też świat bez księży.

Jak on wygląda?

Gdy 20 lat temu pracowałem we Francji, poznałem 80-letniego kapłana, który miał pod sobą kilkanaście parafii. W Polsce każdy spotkał kiedyś fajnego księdza. Księża, parafie nie tylko zajmują się modlitwą, lecz także wykonują ogromną pracę z ludźmi. Dzieci, młodzież, rodziny, starsi, chorzy, ubodzy... W Polsce jest coraz mniej kandydatów do seminariów. W Kościele, w tak dużej grupie, zawsze będą jakieś problemy. Trzeba je rozwiązywać.

Jak w tym kontekście wygląda ogólna sytuacja polskiego Kościoła? Czy on jest już na drodze nieuchronnej sekularyzacji? A może uda się ten trend zatrzymać?

Moja odpowiedź brzmi: kocham Kościół. To stwierdzenie oznacza dla mnie, że szukając prawdy, znalazłem w Kościele i w duchowości katolickiej taką głębię oraz przestrzeń do rozwoju, które mnie zachwyciły. Może często o tym publicznie nie mówię, ale bardzo identyfikuję się z Kościołem. Czuję się za niego współodpowiedzialny. W Polsce nadal mamy tę przewagę, że pracuje wielu gorliwych księży.

W „Klerze” – choć topornie – kilka grzechów głównych Kościoła zostało jednak przedstawionych wprost: pedofilia, przywiązanie do władzy i pieniądza,

małostkowość, alkoholizm, dwulicowość. Widzi to ksiądz na co dzień?

Oglądałem film „Wesele” Smarzowskiego. Zło eskaluje, jedno zastępuje drugie. „Drogówka” – podobnie. Dla mnie ten film nie jest prawdą o Kościele, ale po prostu formą artystyczną. Jak już mówiłem, Kościół to duża społeczność i trudno, aby była ona jednorodna, a z grzechami trzeba walczyć. Mówię tu również o pomaganiu wszystkim, którzy czują się pokrzywdzeni. Jednak przecież Kościół trwa nie z powodu tych problemów, ale dobra, które się w nim dokonuje.

No właśnie. Ksiądz Strzyżek to nie tylko Wiosna.

To prawda. Liczba spraw, które miałem wtedy na głowie, była momentami przytłaczająca. Od 10 lat mieszkam i pracuję na Podgórzu. Od 1995 r. jestem duszpasterzem akademickim. Współtworzę Wspólnotę Indywidualności Otwartych. Niesamowite środowisko, które mieści ok. 300 osób. Prowadzę tzw. czwartki, czyli

„Paczka” miała zmieniać Polskę. Najpierw łączyć biednych i bogatych. Potem rozwijać ludzi, pomagać uczniom z problemami, starszym, rozwijać wolontariuszy. Z czasem bronić pracodawców. Uczyc, jak zarabiać więcej

spotkania, w których co tydzień uczestniczy 150 osób. Od studentów do 40-latków. To nasza podstawowa formacja. Poza tym Męska Strona Rzeczywistości, Perła Kobiecości – programy rozwojowe dla mężczyzn i kobiet. Komórki Mażeńskie (komórka, jak w biologii – grupa rozwojowa). Niedzielnna msza o godz. 20. Także tu mamy sporo projektów, np. Święto Singla, Rekolekcje w Mieście. Ekstremalna Droga Krzyżowa. A do tego myślę, piszę, mówię. Mam mniej spraw, ale wciąż nie jest ich mało.

Czyli nie jest tak, że ksiądz nagle zszedł do podziemia, spalił się ze wstydu, zamknął na plebanii i czyta książki?

Zapewniam pana, że to nie jest czas, kiedy miałbym głowę do czytania książek. Jak pan widzi, nie przestałem pracować, ale coraz częściej zadaję sobie pytanie, czy ja

jestem jeszcze w ogóle ludziom potrzebny. Mam do tego duży dystans. Nie czuję też, że mam coś do udowodnienia.

Jakaś odpowiedź przychodzi czy jeszcze na nią za wcześnie?

Na razie ludzie, z którymi pracuję, mówią, że mnie potrzebują. Jest w ostatnich wydarzeniach dużo ironii, bo to, że nie chcę być prezesem Wiosny, komunikowałem współpracownikom od dawna. Moje serce wyrывało się gdzie indziej, bo i moje życie składa się z dwóch części. Jedna to działalność społeczna i publiczna, a druga to samotność. Coś, co nazywam „jaskinią”. Dużo czasu spędzam samotnie, myślę i się modlę. Normalnie żyję wtedy, gdy te aktywności są rozłożone pół na pół. I tą osobą publiczną stałem się dla dobra „Paczki”, która z czasem potrzebowała w komunikacji lidera. Do 2005, może 2006 r. nikt, poza wąską grupą osób, nie wiedział, kto stoi za „Paczką”. Jednak „Paczka” jest dla mnie narzędziem: miała zmieniać Polskę. Najpierw łączyć biednych i bogatych. Potem rozwijać ludzi, pomagać uczniom z problemami, starszym, rozwijać wolontariuszy. Z czasem bronić pracodawców. Uczyc, jak zarabiać więcej. Pokazywać mentalność sportowców, którzy przez trudy i porażki zmierzają do sukcesów. Swoją drogą, jeśli przez tyle lat zajmowałem się pomaganiem ludziom, z wrażliwością odkrywałem kolejne biedy, to jak mógłbym potem przestać taki być? Dla jakiej wartości? Po co? Wciąż tego nie rozumiem.

Jak się ksiądz czuje, będąc z boku organizacji, którą stworzył?

Sytuacja jest trudna, ale – jak już mówiłem – moje rozstanie z Wiosną było nieuchronne. Mam w głowie kilkanaście książek do napisania. Ja chciałem już iść dalej. Osiemnaście lat to dużo, a ja jestem wolnym człowiekiem. Mam wiele pragnień. Potrzebowałem zmiany.

Wróci ksiądz w roli „duchowego coacha”, gdy przyjdzie spokojniejszy czas?

Spokojniejszy czas... Moja sytuacja jest nadal niestabilna. Nie zależy również tylko ode mnie, dlatego podchodzę do przyszłości z pokorą. Dzisiaj wiem, kim jestem, ale nie wiem, kim mogę się stać. Nie wiem, czy się obronię i czy ludzie uwierzą, jak wygląda ta historia z mojej strony. W tej chwili odprawiam mszę świętą, ludzie na nią przychodzą... Życie toczy się dalej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

0 Totalizatorze Sportowym

Totalizator Sportowy jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych i zasłużonych polskich spółek. Działa nieprzerwanie od ponad 63 lat. Spółka powstała by gromadzić środki, z których finansowano remonty i budowy obiektów oraz urządzeń sportowych. Później do zadań Totalizatora Sportowego doszło też przekazywanie funduszy na szeroko rozumianą kulturę narodową. Dziś spółka jest jednym z najważniejszych filarów wspierających te dwie dziedziny życia społecznego. Totalizator Sportowy dysponuje siecią ponad 17 000 punktów sprzedaży, które każdego dnia oferują szeroki wachlarz produktów loteryjnych. Nadrzędnym celem spółki jest stały rozwój, poszukiwanie nowych innowacyjnych rozwiązań, które pozwolą wyprzedzać potrzeby rynku i wpływać na rozwój polskiej gospodarki, wpisując się tym samym w Strategię na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Spółka nie tylko dba o rozwój tradycyjnych produktów spod znaku LOTTO, ale rozpoczyna również działalność w zupełnie nowych obszarach biznesowych, takich jak salony gier na automatach poza kasynami gry czy kasyno internetowe.

Totalizator Sportowy jest członkiem najważniejszych międzynarodowych organizacji loteryjnych – World Lottery Association oraz The European State Lotteries and Toto Association.



Totalizator Sportowy
– właściciel marki



Każda złotówka gracza LOTTO
to 19 groszy dla polskiego
sportu i kultury



11,3 MLD ZŁ
przekazane
dla Ministerstwa
Sportu i Turystyki
od 1994 roku

2,1 MLD ZŁ
przekazane
dla Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego
od 2003 roku

www.totalizator.pl



Z prof. Andrzejem

Nowakiem

rozmawia

Kamila Baranowska

KAMILA BARANOWSKA: Co wyniki wyborów samorządowych mówią nam o kondycji obozu rządowego rok przed wyborami parlamentarnymi?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Potwierdzają pewną filozofię polityczną, która kieruje tym obozem i którą wyznaje Jarosław Kaczyński. W praktyce chodzi o zachowanie zdolności sterowania obozem, a to – zdaniem prezesa – może zapewnić najlepiej kadrowy charakter obozu. Nie może to być ruch masowy, ruch obywatelski, oddolny. Wiąże się to, jak sądzę, z głębszą filozofią dotyczącą natury człowieka. U jej podłoża leży przekonanie, że ludzie są bardziej skłonni do zachowań złych, jak np. uleganie korupcji, niż do zachowań dobrych. Stąd bierze się nieufność do wszelkich ruchów masowych, w których te złe skłonności mogłyby wziąć górę, natomiast odgórnie powściągane twardą ręką, dobrą organizacją, są do opanowania. Być może to, co mówię, na pierwszy rzut oka wydaje się dość dalekie od pytania o wybory samorządowe, ale w istocie prowadzi do odpowiedzi na to, dlaczego wyniki PiS napotykać w nich pewną barierę. Uważam, że niemożliwe jest wygrywanie wyborów samorządowych w pełni, czyli także w dużych miastach, jeżeli nie ma woli oparcia się na szerszym niż własna partia ruchu masowym, na pewnym zaufaniu do obywateli, do samorządności. Dlatego PiS nie poszerza skokowo swojej bazy.

Jednak na poziomie sejmików, ale też powiatów i gmin, PiS wyraźnie wygrywa oraz zwiększa wpływy.

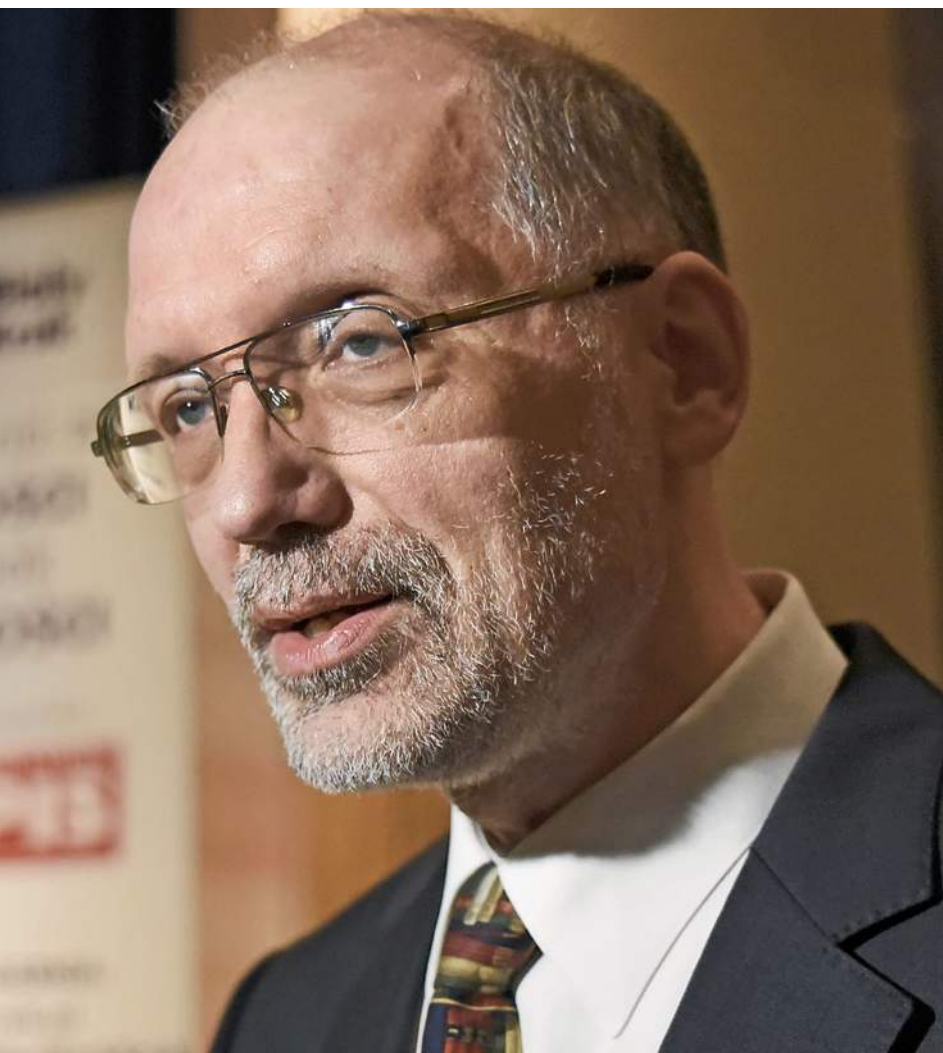
I w tym sensie plan Jarosława Kaczyńskiego, jeśli go dobrze odczytuję, został całkowicie zrealizowany. Wyobraźmy sobie, że gdyby poza wyrażonym i bezdyskusyjnym zwycięstwem PiS w sejmikach w Warszawie wygrał także Patryk Jaki, który – jak wiadomo – wywodzi się ze środowiska Zbigniewa Ziobry, to stolica w naturalny sposób stałaby się ośrodkiem wpływów tegoż środowiska przede wszystkim. To zaś znacząco narażałoby spójność i sterowność obozu władzy, dając dodatkowe zasoby polityczne potencjalnej konkurencji wewnątrzpartyjnej, która w momencie kryzysu całej formacji mogłaby

postawić na możliwość rozłamu. Nie wydaje mi się, by w planach Jarosława Kaczyńskiego było oddanie Warszawy w ręce formacji ministra Ziobry, przy całej dobrej i lojalnej współpracy w ramach Zjednoczonej Prawicy w ostatnich latach. Wydaje mi się, że prezes nie obstawiał wygranej ani w Warszawie, ani w innych dużych miastach. Oceniając tak, a nie inaczej naturę ludzką, wołał nie ryzykować, że w momencie decydującej rozgrywki, czyli kampanii wyborczej przed wyborami do parlamentu krajowego, będzie musiał tłumaczyć się z rzeczywistych afer, w które mogliby się uwikłać jego ludzie. Pouczające są przykłady kilku wódatarzy dużych miast – korupcja, i to wyjątkowo paskudna, ma w samorządach fenomenalne pole do popisu. Dlatego PiS jest ostrożny. Pamiętajmy, że z punktu widzenia prezesa Kaczyńskiego to wybory parlamentarne są najważniejsze i im trzeba podporządkować wszystko inne.

Nawet za cenę wizerunkowej klęski jak przegrana w pierwszej turze w Warszawie, Łodzi, Białymstoku czy Lublinie?

Oboz rządzący dysponuje pewną stałą grupą ludzi, którzy sprawują władzę na szczeblu centralnym i do których prezes ma zaufanie. To umożliwia sprawowanie władzy centralnej, ale jest niewystarczające, by rządzić w całej Polsce, a ściślej – w samorządach, z ich dziesiątkami tysięcy stanowisk. A skoro tak, to te siły, które ma, skupia na najważniejszym zagadnieniu, czyli utrzymaniu władzy w parlamencie. Przy czym nie chodzi o to, że PiS nie chciał wygrać w dużych miastach, a o to, że nie chciał postawić na kandydatów niepewnych z punktu widzenia centrali partyjnej. Pewnych kandydatów PiS miał mało, a w dodatku byli przeciążeni pracą na szczeblu centralnym, czego najlepszym przykładem była Małgorzata Wassermann. Pogodzenie obowiązków, przy najlepszej woli i talentach, było bardzo trudne.

PiS przed wyborem



wybory, zwłaszcza że pewnie znów pojawi się temat polexitu, którego rzekomo chce dokonać rząd.

Skoro tego rodzaju kłamliwa opowieść przyniosła pewien sukces opozycji w wyborach samorządowych, to z całą pewnością będzie powtórzona, a nawet zwielokrotniona w wyborach do Parlamentu Europejskiego, które w sposób naturalny skłaniają do dyskusji o miejscu Polski w Europie. Ta kłamliwa propaganda opierająca się na fałszywej alternatywie, że albo jesteśmy w Europie na zasadzie posłusznych uczniów, którzy zawsze mają na baczność słuchać dyrektyw płynących z Brukseli czy z Berlina, albo wychodzimy z Europy będzie traktowana jako swego rodzaju młot na PiS, który chce budować większą podmiotowość Polski w Unii Europejskiej. W Unii, a nie poza nią! Myślę, że histeria medialna wokół tej fałszywej alternatywy będzie narastała.

A czy ta histeria będzie skuteczna?

Skuteczność tego działania widać – co jest aż zdumiewające, a to jest ten sam mechanizm – w tegorocznych wyborach amerykańskich. Niesłychane powodzenie gospodarcze Stanów Zjednoczonych i realna poprawa w życiu ogromnej większości mieszkańców USA są faktem. Dokładnie tak, jak faktem jest to, że Polakom w ostatnich latach pod rządami PiS żyje się zdecydowanie lepiej. To jest niewątpliwym sukcesem rządu, oczywiście skumulowany z pracowitością Polaków i wcześniejszymi efektami zakotwiczenia Polski w Unii. Jednak zarówno w Ameryce, jak i w Polsce udało się wytworzyć sytuację, w której przedstawia się dalsze rządy jako zagrożenie, jako powód do strachu. I to przynosi efekty. Republikańscy obronili senat, ale stracili większość w Izbie Reprezentantów, mimo najlepszych wyników gospodarczych w USA od kilkudziesięciu lat. PiS również stoi wobec tak zmasowanego ataku propagandowego, że może zacząć tracić głosy. Nie wiem, czy będzie tracił, ale może zacząć je tracić. Zarówno w USA, jak i w Polsce ma miejsce analogiczna walka rzeczywistości, walka rzeczywistych sukcesów z nierzeczywistością i propagandowym, kłamliwym, wykreowanym przez potężne media obrazem, który ma służyć zniszczeniu politycznego przeciwnika. Problem mediów, ideologii, potężnych grup wpływu, nacisku na rzeczywistość za pomocą metod kreujących nierzeczywistość to kwestie, które mają duży

FOT. MAREK LASKY/REPORTER

Alternatywą było zaufać komuś innemu, spoza wąskiego kręgu ludzi sprawdzonych i zaufanych, poszukać potencjalnych liderów samorządów gdzie indziej – może wśród lokalnych aktywistów, może poza partią. Kandydat, który chce odnieść sukces, powinien zacząć przygotowywać się do wyborów samorządowych dużo wcześniej, a nie trzy miesiące przed nimi dowiedzieć się z centrali, że zostaje kandydatem. Namiastkę dobrej kampanii w terenie zrobił Kacper Płażyński, który mógł się skupić na kampanii, bo nie miał innych politycznych obowiązków. Takich kandydatów widać było jednak niewielu.

Opozycja twierdzi, że wyniki tych wyborów pokazują zmianę klimatu politycznego w Polsce. To zaklinanie rzeczywistości czy widać pewne symptomy zadyszki obozu władzy?

Filozofia Jarosława Kaczyńskiego zakłada, że ludzie są, jacy są, wobec czego bywają skłonni do bodźców negatywnych, prowadzi także do wniosku, że trzeba

ludziom pokazywać siłę i zdolność do zwycięzania, a nawet wyrobić w nich przekonanie, iż będzie się zwyciężało zawsze. Z tego punktu widzenia wynik wyborów samorządowych nie jest dla PiS satysfakcjonujący. Chociaż PiS wygrał wybory na szczeblu sejmików i przejmie władzę w sześciu, a może nawet ośmiu województwach, co jest ogromnym sukcesem, to odnotował także niewątpliwie widoczną, prestiżową i wykorzystaną przez przeciwnika porażkę w dużych miastach. To niewątpliwie dodało opozycji sił. Toczy się gra o zwycięstwo mentalne w społeczeństwie, w którym większość wyborców idzie za silniejszym, za tym, w którym widzi potencjalnego zwycięzcę. Po tych wyborach samorządowych bardziej niż przyber nimi można postawić znak zapytania – na razie mały, ale jednak – czy PiS będzie nadal zwyciężał.

Przed wyborami parlamentarnymi są wybory do Parlamentu Europejskiego. To dla PiS trudne

■ wpływ na kształt także polskiej polityki. Oceniając wyniki wyborcze, trzeba je także brać pod uwagę, obok tego, o czym mówiłem na początku.

Czy z tej „walki z nierzeczywistością” PiS ma szansę wyjść obronną ręką?

Władze PiS stoją teraz przed bardzo ważnym wyborem: jak zareagować na tę sytuację – czy zmieniając, korygując kurs własnej propagandy, choćby tej prezentowanej przez telewizję publiczną, czy też wzmacniając obecny kurs. Innymi słowy – czy jeszcze ostrzej odpowiadać na obraz nierzeczywistości i hysterii drugiej strony, stawiając na przekaz telewizji prezesa Kurskiego w jeszcze silniejszej dawce, czyli „byczo jest”, wspaniale na każdym odcinku, żyjemy w złotej epoce, a sukces goni sukces; czy jednak próbować zacząć mówić językiem, który być może pozyska niezdecydowanych, tych, którzy w ten epokowy sukces, tak przaśnie sprzedawany, niekoniecznie wierzą albo razi ich samo opakowanie.

Który scenariusz pana zdaniem byłby lepszy?

Nie wiem, która strategia jest lepsza. Nie twierdzę, że ta pierwsza jest niedobra czy nieskuteczna, widać jednak, że ma swoje ograniczenia, że trudno wyjść z tego rodzaju przekazem poza 30–40 proc. społeczeństwa. Jak dotrzeć do kolejnych 20–30 proc. – to dziś kluczowe zagadnienie, nad którym niewątpliwie zastanawiają się stratedzy PiS.

Niektórzy przy tej okazji twierdzą, że rozwiązaniem problemu byłaby repolonizacja czy dekoncentracja rynku medialnego. Myśli pan, że rząd zdecyduje się na taki krok?

Sam postulat jest słuszny, bo jest absolutną patologią to, że większość dzienników papierowych czy portali informacyjnych znajdowała się w rękach obcego kapitału i miały one swoje centrale poza Polską. Problem z pewnością istnieje, ale jest szalenie trudny do rozwiązania, bo wiadomo, że jakiegokolwiek ruch może uruchomić jeszcze bardziej histeryczną propagandę, że PiS prowadzi wojnę totalną z Europą.

W 2015 r. PiS wygrał wybory, bo postawił na pozytywny przekaz i pokazał łagodniejszy oblicze.

Na pewno był to także efekt świeżości tej alternatywy, którą PiS proponował społeczeństwu, które było już zmęczone ośmioma latami coraz bardziej skompro-

mitowanych rządów koalicji PO-PSL. Teraz sytuacja jest inna. To PiS musi bronić władzy, więc nie można łatwo przełożyć doświadczenia z 2015 r. Jeśli wtedy łagodna twarz PiS przyniosła sukces, to wcale nie znaczy, że powtórzenie dzisiaj tego samego przyniesie automatycznie dokładnie ten sam efekt. Zwłaszcza że skoncentrowany atak nienawiści skupia się teraz na premierze Morawieckim i prezydencie Dudzie, czyli tych osobach, które mogłyby stać się sympatycznymi, łagodnymi twarzami PiS. To świadczy o wyprzedzeniu strategii PiS przez jego przeciwników. PiS będzie miał bardzo ciężko w starciu z potężną machiną kreowania nierzeczywistości, która potrafi skutecznie przekonać połowę współobywateli, że Andrzej Duda jest mniej europejskim prezydentem od swojego poprzednika, a Mateusz Morawiecki jest mniej europejskim premierem od Donalda Tuska, o Ewie Kopacz nie wspomnę. Obiektywnie jest to śmieszne, wręcz groteskowe, ale część ludzi wskutek zmasowanej kampanii będzie w stanie w to uwierzyć.

PiS z kolei w pewnym momencie uwierzył, że opozycja mu już nie zagraża, bo jest w rozsypce i nie ma nic do zaoferowania. To nie była przedwczesna radość?

Jeśli chodzi o opozycję, to aktualne jest powiedzenie, że jak pan Bóg chce kogoś pokarać, to mu rozum odbiera. Nie wydaje mi się, by wrócił rozum opozycji – opozycja wciąż nie przedstawia żadnego pozytywnego planu. To, co wzmocniło wynik opozycji w wyborach samorządowych, to zredukowanie całej sytuacji politycznej w Polsce do pytania: Czy jesteście za PiS, czy przeciwko PiS? To jedyny program opozycji. A to jednak może być za mało.

Może jednak innego nie potrzebuje, skoro ten pozwala jej skutecznie mobilizować wyborców?

Dlatego PiS, chcąc wygrywać, powinien w pierwszej kolejności osłabiać dramatyczność tego pytania, starać się przekonywać wyborców, że nie jest taki straszny, jak próbuje się to przedstawiać. Po drugie, musi konsekwentnie przypominać rezultaty swojego pozytywnego działania – zarówno w kwestii sukcesów gospodarczych, programów społecznych, jak i zrealizowanych inwestycji, które mają wzmocnić polską suwerenność.

Ta walka na programy może nie trafić do zmobilizowanej histerią antypisowską części wyborców, ma jednak szansę wpłynąć na kilka lub kilkanaście procent tych,

k którzy wciąż mają otwarte oczy na rzeczywistość. Połączenie tych dwóch elementów będzie dobrą odpowiedzią na błędną – moim zdaniem – strategię opozycji, że wystarczy krzyczeć: „Nienawidzę PiS”, żeby wygrać następne wybory.

A nie jest tak, że czasem PiS sam przyczynia się do skuteczności tej strategii opozycji, otwierając zbyt wiele frontów naraz, brnąc w niepotrzebne konflikty, upierając się przy nie zawsze trafionych pomysłach?

Zastanówmy się nad hipotetyczną alternatywą. PiS nie otwiera frontu walki, związanego z reformą sądownictwa – bo o to przede wszystkim chodzi i to jest największy atut w rękach opozycji, ponieważ w tej kwestii najłatwiej było zorganizować nacisk Europy. Ulica nie działa w Polsce, ma marginalne znaczenie, ale zagranica w tej sprawie skutecznie oddziałuje na Polskę. Można więc zadać pytanie: Po co PiS była reforma sądownictwa? Otóż jedynym powodem nie było to, że sądy w Polsce nie działały najlepiej. Ta reforma była potrzebna również dlatego, że gdyby nie ruszać sądownictwa, to przy takim układzie sił, jaki wytworzył się w trzeciej władzy, a który najlepiej symbolizował skład Trybunału Konstytucyjnego z 2015 r., w którym 15 na 16 osób było mianowanych przez PO i PSL, praktycznie rządzenie w kraju stałoby się dla PiS niemożliwe.

Dlaczego?

Ponieważ każda ustawa, każde działanie polityczne, które znajduje swoje odzwierciedlenie w ustawodawstwie, byłyby blokowane przez sądy. Tego rodzaju imposybilizm, stworzony przez kontrolę opozycji nad trzecią władzą, utrwaliłby się i sprawił, że rządy PiS okazałyby się całkiem jałowe. Nie wykluczam sytuacji, w której konstytucyjnie zakwestionowany zostałby nawet program „500+”.

PiS wszedł w logikę kontrrewolucji. Od 1944 r. dokonana się na ziemiach polskich pewna odgórna rewolucja, która została zahamowana w 1989 r., ale bynajmniej nie odwrócono jej długotrwałych skutków (m.in. w sądownictwie). W dużej mierze czas po 1989 r. był czasem kooptacji i kontynuacji, jeśli chodzi o elity sprawujące władzę. PiS próbuje to zmienić. A skoro próbuje, to musi otwierać fronty walki, w których ma naprzeciw siebie zasiedziać tutaj od kilku pokoleń elity władzy czy kultury masowej, wytworzone przez strukturę władzy po 1944 r. PiS albo mógł

się zgodzić na kooptację do tego systemu, ale tego nie chciał, albo podjąć jakąś próbę zmiany, czyli walki z tym systemem. Ta walka pociąga za sobą koszty. Wydaje mi się, że prezes Kaczyński tak stara się je kalkulować, by nie zrujnowały całkowicie możliwości dalszego sprawowania demokratycznego mandatu.

Dlaczego druga kadencja z punktu widzenia PiS jest tak ważna?

Jedna kadencja pozwala przeprowadzić pewne zmiany, pokazać samą ich możliwość, ale dwie kadencje zwielokrotniają tę szansę. Poszerza się przede wszystkim nowa elita ludzi, którzy uczą się sprawować władzę na szczeblu centralnym, uczą się robić media. Jednym słowem, poszerza się siła społeczno-polityczna, która jest alternatywą dla „starych elit”. Ponadto, jeśli PiS wygra ponownie wybory parlamentarne i będzie sprawować władzę przez kolejne cztery lata, to uzyska wspomniany efekt siły, który może przekonać do PiS niezdecydowanych.

Pokaże, że wciąż potrafi wygrywać?

Pojawi się myślenie, że skoro PiS znów wygrywa, to trzeba się w końcu z tym

pogodzić, iż na scenie politycznej jest też miejsce dla ludzi, którzy byli wcześniej całkowicie zmarginalizowani. Jeszcze trzy lata temu dominowało w mediach tzw. mainstreamu przekonanie, że wystarczy, jeśli nie eutanazja, to jakiś rezerwat dla „starców ze wsi i z małych ośrodków”, w którym będą mogli dożyć swoich dni, bo przecież cała nowoczesna, europejska Polska mówi i myśli głosem jednej gazety (oczywiście w tysiącu mutacji: od „Newsweeka” do „Vivy!”) i jednej partii (też w kilku mutacjach: od UD do KO). Już po jednej kadencji rządów PiS trudno będzie sobie wyobrazić powrót do tamtego stanu, ale jeszcze trudniej będzie o to po dwóch kadencjach. Bardzo poszerzy się przestrzeń, w której będzie miejsce dla Polski inaczej widzianej, niż widział to jeden ośrodek dyspozycyjny, kreujący wyobraźnię Polaków po 1989 r. z niewielkimi, niedającymi realnej alternatywy przerwami, jak rząd Olszewskiego czy pierwszy rząd PiS. Szanse na trwałe zakotwiczenie PiS i jego wyborców byłyby jednak większe, gdyby miały oparcie społeczne, były obudowane oddolnymi ruchami i ludźmi spoza ścisłego grona partii.

Jest szansa, by prezes Kaczyński zrezygnował ze swojej filozofii zamykania się wyłącznie we własnym środowisku?

Osobiście wciąż żałuję, że PiS odmawia szerszego otwarcia się na ruchy społeczne, na współpracę z ludźmi, którzy chcieliby wesprzeć projekt zmiany w Polsce, ale nie wywodzą się z zakonu PC lub też nie zostali do niego dokooptowani. Chcąc otworzyć się na szersze ruchy, ryzykuje się, że mogą się pojawić zdrajcy, wariaci czy ludzie niegodni zaufania, ale jest duża szansa na to, iż pojawi się wielu wartościowych ludzi, którzy pozwolą na szerszą społeczną bazę dla ruchu PiS. I moim zdaniem warto byłoby to ryzyko podjąć. Myślę jednak, że ten czynnik obywatelski, republikański był i jest obcy prezesowi Kaczyńskiemu, bliższy był zaś jego śp. Bratu, jak to pamiętam z rozmów z nim. Dzisiaj w PiS rządzi filozofia polityczna, w której mało jest miejsca na czynnik obywatelski. Myślę jednak, że prezes ma powody, by ufać swojemu instynktowi politycznemu i swoim decyzjom, a jego dotychczasowe sukcesy i zdolność przetrwania utwierdzają go w przekonaniu, że to on ma rację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seansy w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 11.11 - 20.12.2018 r.

Świąteczny w terminie 20-27.12 oraz Noworoczny 27.12 - 03.01

tel. **54 416 70 00**



Klinika Uzdrawiskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl



Rafał A. Ziemkiewicz

Za co wyborcy ukarali Prawo i Sprawiedliwość

Szczery czy nie, w PiS po wyborach obowiązuje optymizm. Wynik w sejmikach, przełożony na głosowanie sejmowe, dałby PiS drugą kadencję samodzielną rządów – więc zasadniczo nie ma się czym martwić. W liczbach bezwzględnych wzrosła też liczba głosów oddanych na PiS w przegranych miastach – więc tym bardziej. Zresztą PO, poza wielkimi miastami, też nie wypadła dobrze, w wielu miejscach nie weszła do drugiej tury czy nawet w ogóle zrezygnowała ze swoich partyjnych kandydatów. PiS przegrywał zwykle nie z nią, ale z komitetami lokalnymi.

Natychmiast wróciła powszechna przed rokiem 2015 narracja o „wrogich mediach” i ludziach, którzy dali się im ogłupić i okłamać, dały się słyszeć głosy o „zdemoralizowanych” wyborcach z miast. Publicyści i media obsługujący emocje najtwardszego, „smoleńskiego” elektoratu PiS w ciągu kilku dni rozwinęli dyskurs wypierania problemu bądź sprowadzania go wyłącznie do wizerunku i prestiżu (czytaj: ulegania przez Polaków propagandzie opozycji). Wszystko w duchu polowania na odstępców i defetystów, bo „na wojnie nie zakłada się klubów dyskusyjnych, a dezertów się rozstrzeluje”.

Tymczasem PiS w oczywisty sposób dostał od wyborców żółtą kartkę. Na razie w formie stosunkowo łagodnej, nie stało się jeszcze nic nieodwracalnego – niezadowolenie z PiS nie przełożyło się na poparcie dla PO. Jeśli jednak władza nie pokaże wyraźnie, że przyjęła niezadowolenie „zwykłych Polaków” do wiadomości i że się poprawi, i co więcej – jeśli naprawdę nie przemyśli, co robi źle, i tego nie zmieni, to realna staje się perspektywa utraty w przyszłym roku przez PiS władzy, nawet pomimo arytmetycznej wygranej w wyborach europejskich i parlamentarnych.

@

Satysfakcjonujący dla PiS wynik wyborów do sejmików nie może przysłonić faktu, że na 107 polskich miast kandydaci rekomendowani przez partię niepo-



dzielnie rządzącą w parlamencie zdobyli władzę tylko w czterech (w poprzedniej kadencji – w 14). Że władza przegrała nie tylko wielkie „lemingrady”, utraciła też swoje tradycyjne bastiony, takie jak Nowy Sącz, Sanok, Siedlce, Łomża czy Przemyśl.

W wielu przypadkach jest to kara wymierzona przez wyborców za pychę, którą było przynoszenie kandydatów „w teczkę”, z centrali. Przykładem skraj-

nym jest Łomża, gdzie mając popularnego burmistrza, PiS wyznaczył inną kandydatkę, a jego samego, gdy nie poddał się decyzji centrali, wykluczył z partii. Kandydatka PiS wprawdzie wyprzedziła reprezentantów PO i SLD, ale miażdżąco przegrała z urzędującym prezydentem, startującym z własnego komitetu wyborczego. W podobny sposób stracił PiS Siedlce, gdzie na miejsce rządzącego od wielu kadencji popularnego prezy-



suwerena

denta wziął syna jednego z ministrów, czy Nowy Sącz, gdzie wystawił pozbawioną doświadczenia w samorządzie żonę jednego z posłów. Pewność siebie kazała partii traktować samorządy „swoich” miast jako rozdawane przez partię „konfitury”, a ich wyborców jako skazanych na bezwolne popieranie partii, która zdobyła sobie monopol na reprezentowanie patriotycznych i katolickich wartości.

Swoje dołożyło toporne użycie sugestii, że te miasta, które wybiorą sobie włodarzy z partii rządzącej, będą mogły liczyć na lepsze traktowanie przez rząd i uprzywilejowany dostęp do dzielonych „na górze” pieniędzy – oczywiście, tak jest w Polsce od dawna, ale nikt nigdy nie ośmielił się tego otwarcie zapowiadać. Jakiś wpływ na przegraną PiS w Polsce lokalnej (do której, warto zauważyć, raczej nie zaliczają Polacy sejmików wojewódz-

kich – te, w przeciwieństwie do władz miasta czy powiatu, są postrzegane jako równie dalekie co Sejm) miał też zakorzeniony u Polaków od pokoleń instynkt sprzeciwu wobec „absolutum dominium”, po prostu niechęć, by dać jednej partii, i to o tak „jednoosobowym” charakterze, wszystko – i rząd, i samorząd.

Te zdrowe w sumie odruchy wyborców nie wyczerpują jednak lekcji udzielonej rządzącym przez „suwerena”. Najbardziej powinno dać PiS do myślenia, że jego kandydaci, którzy przeszli do drugiej tury, niemal wszędzie dostawali w niej tyle samo głosów, ile w pierwszej. Była to wyraźnie sytuacja „PiS kontra reszta świata”, a raczej – „głosujemy na każdego, byle nie był z PiS”. Poparcie władzy, czy nawet tylko oskarżenie o związki z PiS, było w drugiej turze dla kandydata pocałunkiem śmierci.

Zarysowała się więc wyraźna polaryzacja: mniejszość za PiS i większość występująca przeciwko, wyraźnie chcąc wrzucić do urny głosem okazać PiS swe niezadowolenie. Ta tendencja, jeśli nie zostanie odwrócona, musi przynieść partii rządzącej zgliszcze. Można rządzić, opierając się na mniejszościowej, aktywnej grupie przekonanych zwolenników, jeśli większość milcząco na to przyzwala i zachowuje obojętność. Jednak nie wtedy, jeśli większość jest z tych rządów otwarcie niezadowolona.

Szczęśliwie dla rządzących na razie chęć ukarania władzy przy urnie wyborczej nie przekłada się na poparcie dla opozycji. Jednak sytuacja jest dynamiczna. W normalnej demokracji po takim wyniku partia rządząca powinna uderzyć się w pierś, dać wyraźny sygnał: widzimy, że was zawiedliśmy, przepraszamy, przeanalizujemy i naprawimy nasze błędy. Jeśli PiS da się uspić własnej propagandzie sukcesu i posłucha podszepków, by zamiast słuchać suwerena, strofować go, to wejdzie na wyborczą równię pochyłą.

@

Skąd to niezadowolenie, które wybuchło w drugiej turze wyborów? Wzbierało ono od dawna czy jest świeżej daty? Amerykanie mawiają w takiej sytuacji: „Oto pytanie za milion dolarów”. Analiza przyczyn antypisowskiej mobilizacji, już nie tylko w wielkich, lecz także w średnich i małych miastach, to wyzwanie – od poradzenia sobie z nim zależy przyszłość nie tylko tej władzy, lecz także Polski.

Bez wątpienia mszczą się na PiS dokonany niemal nazajutrz po wygranych wyborach 2015 r. odwrót od centrum i skupienie się wyłącznie na obsłudze emocji swego tożsamościowego, „żelaznego” elektoratu. Jest już banałem stwierdzenie, że PiS stoi przed wyborem – „na twardo” czy „na miękko”. I problemem nie jest to, co wybiera – tylko to, że w ogóle nie umie się zdecydować. Co i raz PiS próbuje wyjść naprzeciw oczekiwaniu normalności, tylko że zawsze trwa to bardzo krótko.

Komendant zapowiada na zjeździe w Przysusze, że odtąd PiS znaczyć będzie „Pieniądze i Spokój” – a po dwóch tygo-

wobec rządzących, które określiłbym jako oczekiwanie skuteczności. To właśnie brak skuteczności w rozwiązywaniu problemów, połączony z urządzaniem cyrków w rodzaju „rządu w Pendolino” zgubił PO, a nie afery, które – jak dowiodły i te wybory – polski wyborca łatwo wybacza chyba dlatego, że nie wierzy w polityków „nieumoczonych”, co najwyżej w takich, którzy jeszcze się nie dali przyłapać.

PiS dopadło coś, co nazwałbym „syndromem fachowca”. Prawie każdy przecież zna tę sytuację. Fachowiec ma nam wstawić nową baterię i położyć kafelki, ma być pięknie, ale... A to

„500+”, żadnej poprawy w służbie zdrowia, buntująca się policja, żadnej ulgi dla frankowiczów, żadnego ukrócenia rabunku wielkich koncernów, wyprawdzających miliardy spod polskiego opodatkowania...

Może jeszcze na jakiś czas cierpliwości do PiS-owców by wystarczyło, ale oto nagle obudzili się z ręką wiadomo gdzie, że nawet na zapowiadane jako wielki dzień stulecie nic spektakularnego nie zdołali przygotować – i by odstawić łaskawców narobili megabałaganu, właściwie nie wiadomo po co, bo nikt się tego dodatkowego wolnego dnia nie domagał ani nie spodziewał. Podobny „prezent” dla obywateli mógł wymyślić tylko ktoś, kto nie robi zakupów, nie posyła dzieci do szkół, nie ma wyznaczonych terminów u lekarza, w urzędzie czy sądzie, słowem – jest totalnie oderwany od życia. I, co gorsza, nie ma przy sobie nikogo, kto by mu umiał o świecie normalnych ludzi opowiedzieć. A nic bardziej nie dyskredytuje władzy w oczach rządzonych niż oderwanie od rzeczywistości, w której oni żyć muszą.

Rękę dam sobie obciąć, jak mawiali nasi przodkowie, że to właśnie ten z pozoru drobny PiS-owski „fakap” między pierwszą a drugą turą uruchomił w ogromnej masie „zwykłych Polaków”, dotąd dających „fachowcowi” kredyt zaufania, żywiołowy odruch: na każdego zagłosuję, tylko nie na PiS-owca!

I jeśli – do czego ma PiS silne skłonności i jest namawiany – „fachowiec” zacznie teraz strofować „suwerena”, że jest on zdemoralizowany, manipulowany przez wrogie siły etc., to może naprawdę solidnie oberwać.

Poza wszystkim nie pojmuję tego dziwnego uporu, jaki rodzi się w politykach, ledwie posadzą choć skrawek siedzenia na jakimś fotelu, by za nic nie przyznawać się do popełnionego błędu i nie wycofywać z najbardziej nawet ślepej uliczki. Politykom wydaje się chyba, że przyznanie się do porażki oznacza utratę prestiżu. Otóż znacznie bardziej tracą, zaprzeczając oczywistym dla wszystkich faktom i brnąc w opowieści o wielkim sukcesie i podłym kłamstwie wrogich sił, jakoby ten sukces wcale sukcesem nie był. Jest to odbierane przez wyborców jako „arogancja władzy” i – delikatnie mówiąc – całkowicie nieakceptowane. Jest ostatni moment, żeby tego uniknąć. Parafrazując ulubione powiedzonko o Rydzyka: „Przepraszamy i do przodu”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozpoczynanie awantur, kończących się albo rejteradą, albo patem – wyborcy umiarkowani są wystraszeni nieobliczalnością PiS

dniach, w ostatniej chwili przed wakacjami, wjeżdżają na stół „poselskie” projekty reformy wymiaru sprawiedliwości i zaczyna się trwająca do dziś wyniszczająca wojna z sędziami. Komendant ogłasza rekonstrukcję rządu i zmianę premiera na technokratę, mającego uspokoić nasze stosunki z Europą – i natychmiast wybucha pod nowym premierem mina ustawy o IPN. Kampania samorządowa też mieściła się w tym schemacie. Zaczęła ją PiS objeżdżaniem Polski z hasłami jakby żywcem wziętymi od Tuska z czasów jego sukcesów: nie robimy polityki, budujemy, rozdajemy itp. A na ostatniej prostej pismem ministra sprawiedliwości do TK pozwolił opozycji zmienić wybory w plebiscyt wokół rzekomego polexitu.

Ciągłe rozpoczynanie awantur, kończących się albo rejteradą, albo patem – efekt jest taki, że wyborcy umiarkowani wciąż są przestraszeni nieobliczalnością PiS i czują się oszukiwani – a radykałowie i tak są sfrustrowani, że PiS jest za miękki.

Wydaje się, że polityczna praktyka trzech ostatnich lat jest skutkiem dość lekceważącej oceny Polaków spoza „żelaznego” elektoratu jako takich, których między wyborami można zupełnie lekceważyć, a w odpowiednim momencie kupi się ich socjałem. A wcale tak nie jest. Owszem, „zwykli Polacy”, tak jak wszędzie na świecie, „głosują portfelem”, ale nie oznacza to, że wystarczy rozdawać pieniądze. Bezpieczeństwo materialne jest tylko częścią ogólnego oczekiwania

klucza zapomniał i przyjdzie jutro, a to armatura okazała się w gorszym stanie i trzeba „cały ferszlus roztrajbować”, a to znowu coś... Czas się wlecze, łazienka rozgrzebana i przez jakiś czas wierzymy, że chłop się stara, robi, co może, i to nie jego wina, że w hurtowni akurat nie ma odpowiedniego „kolanka” czy co tam... Aż w którymś momencie miarka się przebieira.

@

Wydaje mi się, że tą kroplą, która przepełniła czarę i w wyborcach obojętnych dotąd na antypisowskie szczucie PO wyzwoliła nagle chęć ukarania władzy, była nieudolność okazana w związku z obchodami 100-lecia odzyskania niepodległości. A konkretnie: idiotyczny pomysł, by na dwa tygodnie przed świętem wprowadzić nowy dzień wolny, i to koniecznie tak, by zamknąć sklepy na dwa dni z rzędu i żeby do ostatniej chwili nie było wiadomo, co właściwie będzie działać, a co nie.

Cholera jasna – powiedział sobie dotknięty tym „zwykły Polak” – trzy lata już przecież rządzą i co? Wsadzili kogoś za ten VAT, za te kamienice i inne ambergoldy? Tylko gadanie i gadanie. Reforma sądów rozgrzebana, nieustająca chryja w stosunkach z Unią bez jasnej perspektywy zakończenia, ustawy bubble o obrocie ziemią czy szkodach łowieckich, idiotyczne wojny z aptekarzami, niedzielami czy hodowcami nutrii, nowe podatki, ceny pożerające z wolna

Politycy i publicyści prawicy trzymający kciuki za rychły zgon ruchu Kukiz'15 to karpie opowiadające się za przyspieszeniem Bożego Narodzenia

Schadenfreude, czyli radość z cudzego nieszczęścia, wobec wewnętrznych kłopotów Ruchu Kukiz'15 nie dziwi mnie u polityków PO i Nowoczesnej oraz obozu wspierających ich publicystów. Obóz dawnych właścicieli III RP nie może wybaczyć Kukizowi roku 2015. Zatopienia w wyborach prezydenckich Bronisława Komorowskiego, sukcesu w wyborach do Sejmu i odwagi w mówieniu wprost tego, co inni owijali w bawełnę.

Zdumienie pojawia się, gdy trudno skrywana radość pojawia się u polityków Zjednoczonej Prawicy oraz kibicujących im komentatorów. Niektórzy z tych ostatnich za jeden z głównych punktów programu (czy może propagandy) uznali nieustanne przypominanie, jakim to efemerycznym tworem jest ruch Kukiz'15, jakim niestabilnym człowiekiem jego lider i jakim koszmarem byłaby ewentualna koalicja z tą formacją. Poczytajcie pewien portal prawicowy. „To byłaby powtórka z koalicji z LPR i Samoobroną” – ileż razy słyszałem to zdanie z ust ważnych polityków PiS!

Chociaż wszyscy życzą mu zgonu, to ruch Kukiza przetrwał wybory samorządowe i nic nie wskazuje, by miał zniknąć ze sceny przed wyborami do Sejmu w 2019 r. Poparcie w wysokości 6 proc. zdobyte w głosowaniu do sejmików przy rekordowo wysokiej frekwencji i zerowych środkach na kampanię to znak, że w walce o parla-



FOT. WOJCIECH WOJNIEWICZ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

Mściciele i samobójcy

ment ruch może ugrać swoje 7–8 proc. Wbrew temu, że z klubu parlamentarnego odeszło tak wielu posłów, wbrew frondzie Marka Jakubiaka i możliwej konsolidacji środowisk narodowych, mimo konfliktu z rozpoznawanym i lubianym Piotrem Liroyem-Marcem, mimo burz w szklance wody o zbyt ostry język.

Czy czegoś wam to nie przypomina? Paradoksalnie Paweł Kukiz gardlujący przeciw partiokracji – a partiom wodzowskim w szczególności – stoi dziś na czele podobnego tworu. Nie jest to partia, lecz ruch, jasne, ale przyczyny niegasnącej popularności Pawła są takie same jak nieustannej sympatii, którą cieszy się Jarosław Kaczyński u zwolenników PiS. Wyborcy Kukiza pokładają w nim zaufanie i on tego zaufania dotąd nie zawiodł. Wolty pojedynczych posłów tego nie zmieniają. Ani nagonka ze strony mediów liberalno-lewicowych.

Jaki użytek zrobił dotąd Kukiz z tego zaufania? Wbrew

tym, którzy rozgłaszają tezy o jego nieobliczalności i niestabilności, bardzo rozsądny. Tam, gdzie w grę wchodziły interes państwa i naprawa patologii III RP, klub Kukiza wspierał w głosowaniach Zjednoczoną Prawicę (choćby sprawa zmian w Trybunale Konstytucyjnym). Wtedy, gdy oczadziali miłośnicy PiS w niektórych mediach wszczęli nagonkę na Andrzeja Dudę, Paweł Kukiz wspierał prezydenta i autorytet urzędu prezydenta przeciw tym wszystkim, którzy majaczyli o „Dudaczewskim” oraz „prezydencie Berlina i WSI”.

Czy taki Paweł Kukiz naprawdę szkodzi polskiej prawicy? Ma niewyparzony język. I co z tego? Jego ostre wypowiedzi to czysta finezja w porównaniu z cepami Krysztyny Pałowicz czy Dominika Tarczyńskiego. Krytykował Macierewicza, nie przepada za Brudzińskim czy Błaszczakiem. No i co z tego? Jesteśmy obozem wolności czy urabiając opinii na jedno kopyto?

W obliczu konsolidacji opozycji nazywającej samą siebie

„totalną” i przy wyborczym wzmożeniu przypominającym (na szczęście tylko w dużych miastach) wzmożenie antypisowskie z roku 2007 i przedterminowych wyborów, granie na zniknięcie takiego sojusznika byłoby samobójstwem. Istnienie ruchu Kukiz'15 wiąże część elektoratu prawicowego, który na PiS głosować nie chce, a także część niezdecydowanych, którzy mogliby podryfować jeszcze gdzieś indziej. Mocna formacja jest na wsi (9–10 proc.), gdzie dzięki temu jeszcze mniej miejsca zostaje dla PSL i PO. Jest wreszcie naczyniem filtracyjnym, przez które idee i czasem politycy mogą przepływać do obozu Zjednoczonej Prawicy, bez ostracyzmu, na jaki narażaliby się, deklarując od razu „pisowskość”.

W ciągu kilku lat istnienia w polskiej polityce formacja Kukiza nigdy nie uczyniła polskiej prawicy choćby ułamka tych złych rzeczy, które wyrządził jej Roman Giertych jako platformerski kret w rządzie PiS-Samoobrona-LPR (sam przyznał się do tej roli w wywiadzie dla „Newsweeka”). Czy byłaby trudnym koalicjantem? Być może, ale to kwestia drugorzędna w chwili, gdy najprawdopodobniej będzie koalicjantem jedynym. Ruch Kukiza jest potrzebny, nawet jeśli nadchodzący rok przyniesie wielkie przeombowanie sceny, pęknięcie PSL i dołączenie jego części (kto wie, może całości) do obozu Zjednoczonej Prawicy, konsolidację pod szyldem KO nie tylko PO i Nowoczesnej, lecz także postkomunistów i innej lewicy. Przecież dalej będzie to oznaczało grę o większość – tyle że może już konstytucyjną.

Ruch Kukiza jest potrzebny, bo istnieje w Polsce zapotrzebowanie na „inną prawicę”. Kto sobie tego życzy? Suweren. To znaczy wyborcy. ©©

Piotr Gociek

Przemyśl. Miasto niegdyś wojewódzkie. 62 tys. mieszkańców. I tylko jeden basen miejski, drugi – komercyjny – mieści się w hotelu. Grafik jest zajęty niemal przez cały tydzień głównie przez szkoły, by popływać indywidualnie trzeba wpasować się w okienko – np. ok. godz. 11 albo po 20. – Nie obiecywaliśmy cudów, tylko ciężką pracę. Budowa aquaparku była jedyną większą inwestycją, którą zawarliśmy w naszym programie. Na tym zależy pewnie 99 proc. mieszkańców – mówi „Do Rzeczy” Wojciech Bakun, który właśnie w spektakularny sposób wygrał drugą turę wyborów na prezydenta tego miasta. Nie dowierzam, że na propozycji budowy większego basenu można wygrać wybory. Jednak nie tylko o basen chodzi. – Brakuje hali sportowej, stadionu z prawdziwego zdarzenia czy sali koncertowej. Nie ma oferty, jeśli chodzi o aktywność po pracy – tłumaczy polityk. I dlatego z tego miasta ludzie częściej wyjeżdżają, niż do niego przyjeżdżają.

DOŻYĆ DO SYLWESTRA

Bakun jest jednym z niewielu przemyslan, którzy wrócili. 37-latek w 2006 r. wyjechał do Irlandii. Emigracja trwała siedem lat. Wykształcony (choć bez tytułu magistra) informatyk miał się tam różnych prac – od budowlanki do strzyżenia trawników na polu golfowym. Wrócić do Przemyśla było mu znacznie łatwiej niż innym, ponieważ miał własne mieszkanie w tym mieście i drugie w Lublinie. – Poza tym jako informatyk mogłem pracować skądkolwiek. Miałem też różne pomysły na biznes – mówi. Jednak jego powrót nie wynikał z chęci założenia własnego przedsiębiorstwa, a poukładania spraw życiowych. W 2012 r. usłyszał diagnozę, która brzmiała jak wyrok: nowotwór będący wynikiem przewlekłych chorób jelita grubego i dróg żółciowych. – W kwietniu usłyszałem od lekarki: ciężko będzie dożyć sylwestra. Miałem 30 lat, żonę, jedno dziecko miało siedem lat, drugie dopiero co się urodziło. Musiałem zmienić sposób myślenia: wcześniej chciałem dużo robić, wiele kręciło się wokół pieniądza. Teraz zmieniły się proporcje: owszem, pracuję bardzo dużo, ale przecież mógłbym jeszcze więcej i więcej zarabiać. Tylko po co? – pyta polityk. – Na szczęście dzięki szybkiej diagnozie i leczeniu udało się pokonać chorobę. Chociaż lekarze też wszystkiego nie potrafią wyjaśnić. Nie



Stefan Sękowski

Posel, informatyk, zwycięzca w walce z chorobą nowotworową. Wojciech Bakun z Kukiz'15 został właśnie prezydentem Przemyśla. Jego sukces dużo mówi o problemach mniejszych miejscowości w całej Polsce

Lepiej jest współpracować

miałem chemii, a choroba szybko się cofnęła. Traktuję moje wyzdrowienie jak mały cud – dodaje.

Powrót do Polski i Przemyśla pomógł mu też inaczej spojrzeć na nasze problemy. – Bardzo przejąłem się, gdy obejrzałem program o zmieniach podpisów pod propozycją referendum konstytucyjnego. Nie wiedziałem, że tak można traktować podmiotowość obywateli – mówi Bakun, który najpierw zaangażował się w działalność stowarzyszenia Zmieni, a potem w kampanię prezydencką Pawła Kukiza. Został posłem – choć może nie zbyt rozpoznawalnym medialnie, jednak działającym: jeśli chodzi np. o składane interpelacje, to jest w czołówce polskich posłów. Ideowo można by go przyporządkować do tych polityków Kukiz'15, których do polityki przyciągają postulaty zmiany konstytucji i upodmiotowienia obywateli.

Dlaczego po trzech latach zdecydował się porzucić pracę parlamentarzysty? –

Rozczarowałem się, że mimo iż uważam się za osobę aktywną, miałem mały wpływ na rzeczywistość. Zbyt wiele decyzji determinowanych jest przez sztyld partyjny. Wkurza mnie, gdy w kularach jeden poseł ruga drugiego, że chce budowy drogi przez gminę, w której wygrała inna partia, bo „po co komuś robić dobrze” – tłumaczy. Jako prezydent miasta będzie miał z pewnością większe możliwości.

CZAS NA ZMIANY

Choroba Przemyśla, tak jak zresztą wielu mniejszych i średnich miast, to stagnacja. Objawy opisał w swoim raporcie dr Przemysław Śleszyński z Polskiej Akademii Nauk: silna utrata funkcji, mocno niekorzystna sytuacja społeczno-gospodarcza. Jeśli nic się nie zmieni w 2050 r., to Przemyśl będzie zamieszkiwać ok. 39 tys. osób. Te stwierdzenia potwierdzają dane. Od 2002 r. miasto straciło prawie 10 proc. zameldowanych



FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

razy więcej niż w pierwszej turze zdobył Hamryszczak. Owszem, w wyborach do rady miasta partia Jarosława Kaczyńskiego nie zarejestrowała list w połowie okręgów wyborczych i z rozmów z mieszkańcami miasta wynika, że część z nich traktowała to jako dowód na nieudolność lokalnego lidera, na którego można było przecież głosować w całym mieście. Jednak to nie tłumaczy, dlaczego do drugiej tury wszedł akurat Bakun. Ani dlaczego zdeklasował rywalą w drugiej turze, zdobywając prawie 75 proc. głosów, i dlaczego kukizowca zdecydowali się poprzeć ludzie głosujący wcześniej na kandydatów Koalicji Obywatelskiej i SLD.

Przez 16 lat Przemyślem rządził Robert Choma – pierwotnie związany z PiS, rozstał się z partią, gdy się okazało, że w czasach PRL podpisał zobowiązanie do współpracy z SB. Przez ostatnie cztery lata współrządził z PiS. – Miastu potrzebna była zmiana, wielu, zwłaszcza młodych ludzi, mówiło, że chce głosować na Wojciecha Bakuna. Mimo że do tych wyborów szedł bez konkretnego programu, kojarzył się z nowością, a nie ze zgrzanyimi twarzami obecnymi od lat w lokalnej polityce, nie tylko z PiS, lecz także innych partii i ugrupowań – mówi „Do Rzeczy” przemyski poseł Platformy Obywatelskiej Marek Rząsa. – Wojtek nie ma może zbyt dużo doświadczenia i wystarczającej wiedzy, ale ma wielką motywację, a nade wszystko potężną legitymację do rządzenia wynikającą choćby z liczby głosów, które otrzymał (ponad 17 tys.). Chce stworzyć koalicję ze wszystkimi: sam się uśmiechnąłem, gdy to usłyszałem. Jednak może w tym pomysł jest metoda? Przecież przy takim wyniku opozycji będzie trudno go krytykować. Lepiej współpracować. Czasem się zdarza tak, że jakiś zespół nie potrafi rozwiązać problemu, po czym dołącza do niego ktoś młody, kto go rozwiązuje – mówi polityk.

KARTA UKRAIŃSKA

Niektórzy komentatorzy spoza Przemyśla sprowadzają sprawę do konfliktów narodowościowych. Wejście Bakuna do drugiej tury oburzyło szefową TV Bielsat. Agnieszka Romaszewska, pisząc na Facebooku, że „tak kończą się pieszczoty i hodowanie ukraińców”, wskazywała na to, że w otoczeniu nowego prezydenta Przemyśla są ludzie związani z tamtejszymi środowiskami narodowymi. Narodowcy popierali Baku-

na i faktycznie w tym mieście, w którym mieszka niecałe 3 tys. Ukraińców (tutejsi z dziada pradziada), relacje narodowościowe są napięte. Ziemia przemyska zdaniem ukraińskich nacjonalistów powinna należeć do Ukrainy. Dwa lata temu grupa narodowców chciała przeszkodzić w dorocznej grekokatolickiej procesji ku czci żołnierzy Symona Petlury, internowanych w Przemyślu-Pikulicach w 1918 r. Doszło do szarpaniny, a jednej z osób zerwano koszulę z czerwono-czarną wyszywanką, mającą rzekomo gloryfikować UPA. Z kolei Ukraińcom nie podoba się Marsz Orląt Przemyskich, mający upamiętnić polską młodzież poległą w trakcie kształtowania się granic naszego kraju sto lat temu.

Przypisywanie pochodzenia ukraińskiego pojawia się regularnie przy mętnym dnie kolejnych kampanii wyborczych, a tym razem ofiarą brudnej kampanii (choć w ukraińskim pochodzeniu nie ma przecież złego) padł... sam Bakun, który nigdy nie ukrywał, że jego

W wyborach sejmikowych PiS zgarnął w okręgu, w którego skład wchodził Przemyśl, ponad 50 proc. głosów

mieszkańców, faktycznie jest ich pewnie jeszcze mniej. Miasto dramatycznie się starzeje – w latach 2010–2016 odsetek osób w wieku poprodukcyjnym wzrósł z 28 do 37 proc. i mocno przewyższa odsetek ludności w wieku przedprodukcyjnym (26 proc.). Stopa bezrobocia wynosi ok. 11 proc. i jest wysoka jak na obecne polskie realia. W mieście istnieje podstrefa Tarnobrzskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej, wykorzystana w niewielkim stopniu. W Przemyślu działa niewiele dużych firm, najbardziej znana z tych, które tu mają swoją siedzibę, to producent kosmetyków Inglot.

Gdyby w wyborach samorządowych chodziło o wielką politykę, wybory powinien wygrać dotychczasowy wiceprezydent miasta, Janusz Hamryszczak z PiS. Przemyśl to matecznik marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. W wyborach sejmikowych PiS zgarnął w okręgu, w którego skład wchodził Przemyśl, ponad 50 proc. głosów – to ponad dwa

żona jest grekokatoliczką. – Jesteśmy rodziną, jakich wiele w tych rejonach. Jeśli zaś chodzi o współpracę ze środowiskami narodowymi, to starałem się ich zagospodarować. Taka jest rola osób publicznych. Chcę zmniejszać radykalizm upamiętniania ważnych rocznic, iść w stronę imprez kulturalnych i pokazywać, że raca i kilka złych haseł to nie są jedyne możliwe formy upamiętnienia – mówi.

O zwycięstwie Bakuna nie zdecydowała ani tematyka ukraińska, ani ogólnopolska. Także szyld mu nie pomógł – poseł jest rodzyńkiem w kukizowej drużynie, któremu udało się wygrać wybory na włodarza swojej miejscowości. Zadecydował Przemyśl, tak jak w każdym innym mieście decydują głównie problemy lokalnych społeczności. I dobrze, by Bakun oraz inni wybrani właśnie samorządowcy przez najbliższych pięć lat o tym pamiętali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.

Profesor Wojciech Sadurski, filozof prawa, jednoznacznie opowiadający się po antypisowskiej stronie barykady politycznej w Polsce, postanowił niedawno wyręczyć wymiar sprawiedliwości i zaproponował własną koncepcję „rozliczenia” obecnej władzy za „łamanie konstytucji”. Wyłożył ją w projekcie uchwały o Obywatelskim Trybunale Stanu, opublikowanej w portalu naTemat. OTS – jak czytamy w treści dokumentu – „powołany jest w celu określenia odpowiedzialności konstytucyjnej i prawnej” osób, które zgodnie z ustawą zasadniczą za jej łamanie mogą trafić przed oblicze Trybunału Stanu. Chodzi o prezydenta, premiera, prezesa NIK, członków KRRiT, ministrów, prezesa NBP oraz naczelnego dowódcę sił zbrojnych. Do tej grupy Sadurski z własnej inicjatywy – wbrew zapisom konstytucji – dołączył również sędziów Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, Naczelnego Sądu Najwyższego, Krajowej Rady Sądownictwa oraz posłów i senatorów. Tym samym OTS mógłby „pociągnąć do odpowiedzialności” sędziów TK, pogardliwie nazywanych przez opozycję dublerami, nowo wybranych przez obecną większość członków KRS i SN czy parlamentarzystów, którzy głosowali za zmianami w sądownictwie. W skład trybunału miałyby wejść pięć osób, „wyróżniających się wiedzą prawniczą i wybitnymi kwalifikacjami moralnymi”.

Członków OTS miałyby wybierać Kolegium Elektorów OTS. W jego skład wchodziłoby m.in. byli prezydenci, sędziowie TK w stanie spoczynku, byli sędziowie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości/Trybunału Sprawiedliwości UE, mający obywatelstwo polskie, byli rzecznicy praw obywatelskich, dziekani wszystkich wydziałów prawa w Polsce, przedstawiciele takich organizacji jak Fundacja im. Stefana Batorego czy Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Co ciekawe, prof. Sadurski widzi w tym gronie miejsce również dla organizacji jednoznacznie kojarzonych z prawicą: instytutu Ordo Iuris czy Fundacji Polska-Wielki Projekt. W skład Kolegium Elektorów wchodziłoby również przedstawiciele ugrupowań parlamentarnych.

OTS miałyby rozważać „Obywatelskie Akty Oskarżenia zgłoszone przez Obywatelskich Rzeczników Oskarżenia”, którzy mieliby uprawnienia takie jak oskarżyciel w postępowaniu karnym. Takim rzecznikiem może być „każdy obywatel RP”. Takie „obywatelskie akty oskar-



Maciej Pieczyński

Chce zdelegalizować PiS, posadzić do więzienia prezydenta i założyć Obywatelski Trybunał Stanu. Wojciech Sadurski to kolejny profesor prawa, który stanął po stronie radykalnego antypisu



Profesor hejter

FOT. LESZEK KOTARBA/EPST NEWS

zenia” już wcześniej sformułował sam Sadurski na łamach „Gazety Wyborczej”.

– Sam pomysł tworzenia nieusankcjonowanych obowiązującym prawem trybunałów nie jest nowy. Swego czasu grupa czołowych zachodnioeuropejskich intelektualistów zamierzała, pod auspicjami Związku Sowieckiego, osądzić rzekome zbrodnie wojenne popełnione przez McArthur i wojska amerykańskie w Korei. Zająć miał się tym specjalnie powołany międzynarodowy, pozarządowy organ sądowniczy, faktycznie pozostający pod kontrolą Moskwy. Celem tej inicjatywy było wmówienie światowej opinii publicznej, że to nie Rosjanie, tylko Amerykanie właśnie są agresorem – mówi mec. Piotr Andrzejewski, sędzia Trybunału Stanu. – Tego typu akcje propagandowe z reguły zmierzały do osłabienia zdolności obronnych Zachodu. Szermując hasłami walki o pokój, Związek Sowiecki tak naprawdę szykował się do wojny. Głosząc konkretne wartości, w praktyce komuniści zamierzali wprowadzać w życie ich odwrotność – dodaje.

Jego zdaniem bardzo podobnie wygląda koncepcja prof. Sadurskiego. – Pan Wojciech Sadurski proponuje rozwiązania, które w praktyce oznaczałyby secesję wobec obowiązującego w Polsce prawa. Rozumiem zatem, że nie będzie nosił popularnej w jego kręgach koszulki z napisem „konstytucja”, skoro zamierza tę konstytucję, w jej aktualnej treści, obalić – mówi mec. Andrzejewski. – Ustawa zasadnicza nie pozwala na dintojrę. Tymczasem projekt pana Sadurskiego to tak naprawdę propozycja ustawienia gilotyny politycznej tam, gdzie konkretna grupa uważa to za słusze. W tej koncepcji widać ślad postawy homo sovieticus. Projekt ten wydaje się eliminować takie podstawowe zasady jak bezstronność, niezależność postępowania sądowego. Zarzuty muszą być formułowane na podstawie merytorycznej, nie mogą wynikać z potrzeb politycznej hucpy, którą urządzi nam dzisiejsza neotargowica.

– Nie mam żadnych uprawnień do składania oskarżeń, ale też żadnego oskarżenia nie złożyłem. Jest to projekt, który może być wykorzystany przez uprawnione instytucje i organy w przyszłości – mówi „Do Rzeczy” prof. Sadurski. – Ubiera on w formę prawną moje własne opinie o kwalifikacji czynów osób, o których w tym materiale mowa.

WZMAGANIE AGRESJI

– Gdyby powstał Obywatelski Trybunał Stanu, oznaczałoby to faktyczne dublowa-

nie wymiaru sprawiedliwości, tworzenie jakiejś alternatywnej wobec państwa polskiego struktury – komentuje prof. Karol Karski, europoseł PiS, prawnik. Jest przekonany, że taki OTS nie ma szans powstać, ponieważ procedura jego powołania wymagałaby zaangażowania wielu osób i urzędów, które w tego typu inicjatywie raczej nie chciałyby uczestniczyć. O ile byli prezydenci niejednokrotnie już dawali wyraz swoim chęciom „rozliczenia” PiS, o tyle trudno byłoby zaangażować do współpracy choćby przedstawicieli wszystkich parlamentarnych ugrupowań. – Sam projekt aktu powołującego OTS jako prawnik oceniam bardzo negatywnie. Jest całkowicie niekonstytucyjny, mógłby prowadzić też do stworzenia systemowego mechanizmu naruszania dóbr osobistych lub znieważania wielu osób. Dużo też w nim emocji, złośliwości. Pan profesor nie mógł sobie pozwolić obrażania przeciwników politycznych, sugerując, że część przedstawicieli obecnej władzy może liczyć na nadzwyczajne złagodzenie kary z uwagi na ograniczoną poczytalność. To nieeleganckie – komentuje prof. Karol Karski. – Przede wszystkim jednak projekt OTS to niebezpieczna próba powołania atrapy trybunałów ludowych, która podszywałaby się pod instytucje publiczne, tym samym podkopując zaufanie obywateli do państwa. Tego typu inicjatywy prowadzą do wzrostu agresji w przestrzeni publicznej. Kolejne próby dzielenia Polaków mogą doprowadzić do tragedii. Następnym krokiem może być powstanie obywatelskich plutonów egzekucyjnych. Przypomnę, że już coś podobnego miało miejsce. Taki właśnie obywatelski jednoosobowy pluton egzekucyjny swego czasu powołał Ryszard Cyba, były członek PO, zabijając pracownika biura poselskiego PiS Marka Rosiaka, a wiemy, że jego celem był również Jarosław Kaczyński – twierdzi europoseł PiS. Dodaje jednak: – Żeby było jasne – potępiam również takie incydenty jak wieszanie na szubienicach portretów europosłów PO. Agresji w polityce absolutnie trzeba się sprzeciwić. I tak mamy już wysoką temperaturę sporu. Powoływanie atrap rewolucyjnych trybunałów ludowych to nie jest bynajmniej oliwa wylana na wzburzone morze polskiej polityki – mówi.

Profesor Sadurski swojego pomysłu broni. – Z treści materiału o OTS wynika w sposób oczywisty, że jest on pomyślany jako organizacja społeczna, a nie organ państwowy – tłumaczy „Do Rzeczy”. – Jedyna moc, jaką miałyby tzw. werdykty, byłaby pochodna wobec autorytetu członków

tej organizacji. Jako organizacja społeczna, korzystająca z konstytucyjnych praw wolności słowa, stowarzyszania się itp. w żaden sposób nie byłaby ona sprzeczna z konstytucją. Dodam, że celowo zamieściłem klauzulę, iż OTS nie będzie orzekać o karze, a jedynie o odpowiedzialności.

POGARDA

Wojciech Sadurski słynie również z agresywnego języka twitterowych komentarzy. Prezydenckiego doradcę Andrzeja Zybortowicza nazwał „klamczuchem, prostaczką i pośmiewiskiem polskiej socjologii”. O samym Andrzeju Dudzie pisał: „Jedno jest pewne: będzie siedział”. O premierze: „Pinokio Morawiecki”. Dla Sadurskiego „oczywistością jest”, że „PiS trzeba będzie zdelegalizować”. Dlaczego? „Nie przez jakąś zemstę, ale jako akcja zapobiegawcza demokracji przeciw organizacji przestępczej” – wyjaśnia. „Czasem słyszę, że o PiS nie należy źle mówić, bo głosowało na nich bardzo dużo Polaków i bardzo wielu Polaków popiera tę partię, więc nie wolno ich obrażać. Zgoda, nie obrażać, zrozumieć... A wiecie Państwo, ilu wyborców głosowało na NSDAP w 1932? 34.1%. Nie porównuję, przypominam” – to kolejny prowokacyjny wpis „obrońcy demokracji”.

Z komentarzy Sadurskiego wyziewa głęboka pogarda dla wyborców PiS. Jego zdaniem należałoby pomyśleć o „federalizacji”. W końcu i tak już Polska dzieli się – jak to zgrabnie określił profesor – na „Polskę zachodnią – nowoczesną, proeuropejską, świecką” oraz na „Polskę wschodnią – tradycjonalistyczną, ksenofobiczną i religijną”. W jednym z tweetów wprost napisał, że „brzydzi się” prawicową polskością: „Bru(d)natna szarfa polskiej historii. To, co najgłupsze i najohydniejsze w naszym dziedzictwie: Endecja, ONR, Falanga, PZPR, PAX, WRON, PiS, Kukiz’15... znam te obrzydliwości, wiem, że to także dobrodziejstwo inwentarza, jakim jest polskość, ale po prostu brzydzę się”.

Autor tych hejterskich komentarzy, które – gdyby dotyczyły przeciwnej strony politycznej barykady – zapewne zostałyby zakwalifikowane jako „mowa nienawiści”, jest jednocześnie bardzo dobrze wykształconym naukowcem. Prawnikiem, filozofem, politologiem, profesorem Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji, profesorem uniwersytetu w Sydney, profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego... Obecnie wykładowca Centrum Europejskiego na UW.

Gra na nerwach

Maciej Maleńczuk objężdża kraj z gitarą i piosenką. Śpiewa utwory Wojciecha Młynarskiego i własne najbardziej znane numery. Publiczność przyciąga politycznym dowcipem między utworami, choć – jak opowiadał na występie w Stargardzie (tym samym, w którym w latach 80. odbywał karę więzienia za odmowę odbycia służby wojskowej) – mama prosi go, by nie mówił nic o polityce. – Na koncertach robię sobie żarty z dobrej zmiany i nikt nie protestuje, raczej wszyscy biją brawo i się śmieją. Jednak przeciętny wyborca PiS tam nie przyjdzie, nie da stówki, żeby mi nabluzgać – opowiadał Maleńczuk w niedawnym wywiadzie dla „Newsweeka”. Zapewnia też, że to za rządów PiS na jego koncerty walą tłumy.

– Maciek jest twórcą alternatywnym, a raczej był nim w czasach, w których na ulicach grał na gitarze, albo wtedy, kiedy występował z zespołem Homo Twist. To było zjawisko. Podobnie jak jego występy kabaretowe z Pudelsami – mówi Grzegorz Brzozowicz, dziennikarz muzyczny. – W tej chwili ma gorszy okres. Jakiś czas temu postanowił grać jazz, ale to okazało się pomyłką. Powrót do piosenek Młynarskiego to dowód na jego bezradność. Fakt, że artyści stale sięgają po piosenki Młynarskiego, Osieckiej czy Kabaretu Starszych Panów, świadczy tylko o tym, że nowe są po prostu słabe – ocenia.

Z pewnością kręć Maleńczuka wywiady, w których przedstawia swoje polityczne analizy.

„Nienawidzę PiS-u. Nienawidzę wszystkiego, co oni robią, bo to jest dwulicowość” – mówił „Gazecie Wyborczej”. Innym razem temu dziennikowi mówił: „Dłuższy czas zastanawiałem się, jak to jest możliwe, że to nie ja, a Jarosław Kaczyński jest symbolem seksu w tym kraju, ale potem zobaczyłem, jak on stoi na tym swoim podnośniku i wszyscy dookoła wołają: »Jarosław! Jarosław!«. W Onecie



Agnieszka Niewińska

Maciej Maleńczuk kiedyś zadziwiał muzyką. Dzisiaj w obiegu pozostaje głównie dzięki szokującym wypowiedziom



skomentował to, że urodził się w tej samej miejscowości co Krystyna Pawłowicz i jako pięciolatek mógł się w postance PiS podkochać.

Najeżony ostrymi sędami jest wywiad rzeka Maleńczuka „Chamstwo w państwie” wydany w 2016 r. Prezydenta Andrzeja Dudę nazwał tam Plastusiem. „Wkurwia mnie to, że jest z Krakowa, wkurwia mnie, że jest kibicem Cracovii, wkurwia mnie, że się tak ostentacyjnie modli” – wyliczał.

Krytykował politykę historyczną PiS. Do gustu nie przypadła mu m.in. moda na koszulki patriotyczne. „Widzę na przykład znudzonego 10-letniego maślaka w koszulce z żołnierzami wyklętymi z jakimś takim wściekłym orłem. Ja w jego wieku chodziłem w koszulce z Hendrixem, w dupie miałem żołnierzy wyklętych. Prawdę mówiąc, do dzisiaj nie wiem, którzy to niby są” – stwierdził.

– Maciek był antysystemowy i przeciwny każdej władzy. Lubi namieszać. Teraz przestawiła mu się busola. Bardzo go lubię, ale na polityce to on się nie zna, choć pewnie by temu zaprzeczył – mówi Brzozowicz. I dodaje, że to, jaki Maleńczuk jest prywatnie, specjalnie nie odbiega od jego publicznego wizerunku.

– Jest naturalny i ma to do siebie, że szybciej mówi, niż myśli. Powiedziałbym nawet, że jest bulterierem, ale można też z nim na spokojnie porozmawiać i nawet czasem daje się do czegoś przekonać – opowiada Brzozowicz był pomysłodawcą takich projektów muzycznych jak Yugoton czy Yugopolis. I to właśnie w ramach Yugopolis udało się wylansować hit „Ostatnia nocka” i polityczny song „Sługi za służgi” w wykonaniu Maleńczuka. – Maciek zdobył wtedy dużą popularność. Scena się jednak podzieliła. Wśród artystów z tamtego projektu dziś z jednej strony mamy Maleńczuka, a z drugiej strony Kukiza – zwraca uwagę Brzozowicz.

Bartosz Czupryk, specjalista ds. wizerunku, podkreśla, że w show-biznesie zasada, według której nieważne, co będą o mnie mówić, byleby mówili, jest wciąż

aktualna. – A Maciej Maleńczuk to akurat artysta, który dobrze wie, jak zwrócić na siebie uwagę. Temu między innymi służą jego wypowiedzi na temat polityki, które potem często przywołują prasa czy portale internetowe. Tyle że Maleńczuk nie jest jednoznaczny, nie do końca jasno opowiada się po którejś ze stron politycznego czy ideologicznego sporu. On przede wszystkim szokuje odbiorcę zaskakującymi komunikatami. Ogłasza, że jego zdaniem Jarosław Kaczyński jest symbolem seksu, i choć wszyscy wyczuwają w tym ironię, to jednak takimi deklaracjami są zdumieni.

W wywiadzie rzece dostało się też dzisiejszej opozycji. Michał Kamiński to według Maleńczuka jeden ze „szpetnych czterdziestoletnich”. Donald Tusk „lizął dupę Kościołowi zupełnie niepotrzebnie”. Wokalista ma też pretensję do byłego premiera o to, że nie zalegalizował marihuany – „nie pozwolił mi przez osiem lat zająć jointa i ja mu tego, kurwa, nigdy nie wybaczę”.

„Newsweekowi” z kolei opowiedział ostatnio, że denerwują go KOD-owcy, którzy ze łzami w oczach mówią mu: „Trzymajmy się, panie Maćku, najważniejsze to przetrwać”. – Nie dajmy się

zwariować! Wydaje mi się, że jeszcze żyjemy w demokratycznym kraju. To, że PiS coś tam poszczekuje, że odgraża się, że zaraz się za nas weźmie, przecież nic nie znaczy. Biorą się za tych i za tamtych, ale jakoś nie ma ani jednego procesu – mówił Maleńczuk.

Wbrew poprawności politycznej wypowiedział się także na temat osób homoseksualnych. – To, że faceci postanawiają się łączyć w pary męsko-męskie, wynika z tego, że boją się kobiet, wolą pójść do łóżka z kolegą niż koleżanką, bo nie wiedzą, jak się zachować. No nie wierzę w to, że ktoś się rodzi homoseksualny – mówił. – Te parady równości to rodzaj narzucania się: „Zobaczcie, my tacy jesteśmy, wy też tacy możecie być”. Wydaje mi się, że tak nie powinno być.

– Nie wiem, na ile nagłaśniane w mediach słowa Macieja Maleńczuka zbiegają się w czasie z jego aktywnością koncertową, ale przypuszczam, że takie wypowiedzi jak choćby ta, iż podkochał się w posłance Pawłowicz, raczej zwiększają zainteresowanie jego koncertami – uważa Czapryk. Zwraca jednak uwagę, że współcześnie większym zainteresowaniem cieszą się osoby o jednoznacz-

nym i niezmiennym zestawie poglądów, a Maleńczuk w mediach wciąż istnieje jako wielobarwny ptak. – Z jednej strony głośno było o jego aktywności w czasie czarnych protestów [w czasie jednej z manifestacji miał uderzyć aktywistę pro-life, sprawę wyjaśnia sąd – przyp. red.], z drugiej strony jego wypowiedzi na temat roli kobiet mogą oburzać feministki.

Może dziwić, że aktywistki organizacji kobiecych nie oprotowały obecności Maleńczuka na czarnych protestach. W swojej książce mówił m.in., że kobiety „powinny służyć mężczyźnie”, że to jest ich „podstawowe zadanie”. „Kobiety są dodatkkiem do garnituru, są dodatkkiem do mężczyzny. Obowiązkiem kobiety jest być piękną na każde zawołanie” – wyłuszczał swoje zdanie, dodając, że 90 proc. kobiet to „szantrapy”.

Pytany o poglądy w wywiadzie „Chamstwo w państwie” odpowiedział, że dostosowuje je do rozmówcy. „Jak to jest być hipokrytą?” – zapytała go dziennikarka Barbara Burdzy. „Na pewno wygodnie (śmiech). Poza tym, uwierz mi, ludzie są na tyle ślepi i nieprzytomni, że biorą to, co mówię, za dobrą monetę”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ PAKIET 3 KSIĄŻEK :

KS. P. GLAS „DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
T. TERLIKOWSKI „WENANTY KATARZYŃCIE”
P. LISICKI „EPOKA ANTYCHRYSTA”
+ SŁUCHAWKI STARS

Cena: 139 zł
Oszczędność: 178 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzczy.pl

„Karabinowa kula”, Adam Bunsch, 1929 r.

FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MNW

Wszystkie barwy Niepodległej

Kiedy narodziła się sztuka, którą nazywamy nowoczesną? Jedni uważają, że jej akuszerami byli francuscy impresjoniści. Drudzy obsadzają w tej roli awangardowych twórców z przełomu XIX i XX w. Tak czy inaczej twórcy postulujący radykalne zerwanie z naśladowaniem natury wyszli z szafy wcześniej, niż w Sarajewie padły strzały zwiastujące koniec dawnych porządków.

Polscy artyści do szybko zmieniających się mód mieli stosunek ambiwalentny. Czasem próbowali nadążyć, ale konserwatywizm publiczności studił rewolucyjny zapal. Ambicją poznańskiej grupy Bunt, łódzian z Jung Jidysz i krakowskich formistów było stworzenie syntezy zachodnich nowinek i rodzimych tradycji. Zbigniew Pronaszko wzywał



Wiesław Chełminiak

Rok 1918 zmienił polityczną mapę Europy, lecz estetyczny przewrót dokonał się na długo przed tym, zanim Polska wstała z martwych

do poszukiwania nowych form, swój manifest programowy opatrzył jednak mottiem wziętym z wiersza Słowackiego. Wyobraźnią Polaków rządził romantyzm, ale rząd dusz oddali artyści bardziej swojskiemu. Na wydarzenia sprzed stu lat do dziś patrzymy oczami Wojciecha Kossaka.

KOŚCIUSZKO, CZYLI PIŁSUDSKI

Wystawa „Krzyżując: Polska! Niepodległa 1918” to prawie 300 prac, niemal

wszystkie pochodzą ze zbiorów własnych warszawskiego Muzeum Narodowego. Część z nich trzeba było poddać intensywnej konserwacji, gdyż ujrzały światło dzienne po raz pierwszy od czasów, gdy powstały. Kurator ekspozycji Piotr Rypson chciał odejść od stereotypów, odtworzyć emocje sprzed stulecia i pokazać, jak bardzo wybiórcza jest nasza pamięć. To mu się z pewnością udało, lecz na poważną debatę na temat polskiej tożsamości, którą postuluje, raczej

bym nie liczył. Łatwiej jest wywołać skandal, choć w tym przypadku musiałby on opierać się na ignorancji. Bo cóż to za odkrycia, że mniejszości narodowe miały własną sztukę, socjaliści byli naturalnymi spadkobiercami powstańców, a wojnę można pokazywać nie tylko w heroicznej konwencji?

Czterdzieści lat temu w gmachu muzeum, sąsiadującym wówczas z siedzibą KC PZPR, urządzono podobną wystawę. Nie było bowiem tak, że partia konsekwentnie ignorowała listopadową rocznicę. Polityka historyczna Gomułki i Gierka polegała na przekonywaniu, że o zmartwychwstaniu Rzeczypospolitej przesądził sukces bolszewickiego puczu w Rosji. Wyolbrzymiano też znaczenie lewicowego rządu w Lublinie, który był falstartem i na żądanie Piłsudskiego szybko się rozwiązał. Sposobem na cenzuralność jubileuszowej ekspozycji było zignorowanie dzieł, które powstały po 1918 r. Akcent przesunięto na XIX stulecie. Awatarami Komendanta stali się Tadeusz Kościuszko i książę Józef Poniatowski.

Obecna wystawa wręcz przeciwnie – śmiało eksploruje okres międzywojenny, wizerunków Piłsudskiego zgromadzono zaś aż nadto. Na pierwszy natkniemy się już na podeście. Pomnikowa rzeźba Henryka Kuny wróciła w to samo miejsce, w którym ustawiono ją, gdy Muzeum Narodowe inaugurowało swą działalność. Dobrze stąd widać instalację Piotra Uklańskiego, czyli powiększone zdjęcia z Marszu Niepodległości sprzed dwóch lat. Przebiegał on pod hasłem: „Polska bastionem Europy”, do żadnych incydentów nie doszło, lecz konterfekty nastolatków wymachujących flagami na tle płonących rac sugerują coś innego. Takiej prowokacji można się było spodziewać po autorze cyklu „Naziści”, składającego się z fotosów gwiazdorów kina w mundurach Wehrmachtu, SS i Abwehry.

JĘDŹCY BURZY

Zanim przywitamy Niepodległą, musimy się pożegnać z Młodą Polską, reprezentowaną tu m.in. przez Wajdowską ekranizację „Wesela” i symboliczne obrazy Jacka Malczewskiego. Po sąsiedztwie z „Hamletem polskim” wisi jego trawestacja pędzla Kazimierza Sichulskiego z 1917 r. Rozterkę zastąpiła pewność, pięknoducha-arystokratę – człowiek czy ny (czyli Piłsudski). Po lewicy i prawicy Komendanta malarz, zapożyczając się u Matejki, umieścił Stańczyka i Werny-

horę. Apoteoza czy karykatura? Z jednej strony Sichulski służył w Legionach, z drugiej miał temperament satyryka i zdarzało mu się kpić z „narodowego wzdęcia”.

Z Galicji przenosimy się do Kongresówki. Jest rok 1905, tron cara się chwieje, rosną nadzieje na koniec narodowego ucisku i... socjalny przewrót. Dwoistość zrywu dobrze oddają dwa cykle graficzne: Antoniego Kamińskiego (utrzymane w poetyce Grottgera) i bardziej ekspresjonistyczne, wywołujące niepokój rysunki Witolda Wojtkiewicza. Można je uznać za komentarz do rozchodzenia się rewolucyjnych idei i patriotyzmu głównego nurtu. Pewnym zaskoczeniem jest obecność na wystawie „Strajku” Stanisława Lentza, w PRL reprodukowanego masowo w charakterze proletariackiej ikony.

Zamieszki z 1905 r. okazały się zwiastunem katastrofy. W następnej dekadzie historia ruszyła z kopyta. Pierwsza wojna światowa, wówczas nazywana po prostu wielką wojną, przetoczyła się po ludzkości niczym walec. Nowe technologie, nowe tożsamości i nowe państwa tworzyły nową rzeczywistość. Piotr Rypson twierdzi, że dla Polaków był to „chaotyczny, nieoczywisty i bolesny okres”, i nie jest w tej opinii osamotniony. W historiografii nasila się tendencja,

by XX-wieczne konflikty przedstawiać z punktu widzenia ich ofiar.

Na obrazie „Burza” Zdzisława Jasińskiego z ciemnej chmury wyłaniają się jeźdźcy Apokalipsy. Jego rewersem są „Uchodźcy” Jana Rembowskiego – wspomnienie dramatu prawosławnych chłopów z Podlasia, zmuszonych do porzucenia swych domów i ziemi. Następna część wystawy nosi tytuł „Okropności wojny”, nawiązujący do twórczości Goi. Polscy artyści nie dość naturalistycznie pokazali horror lat 1914–1918, więc kursor sięgnął po grafiki niemieckie i francuskie. Na Zachodzie traktowanie wojny jako niszczycielskiego żywiołu ma długą tradycję. W minionym wieku doszła do tego refleksja nad bezsensowną ofiarą z życia, złożoną przez tysiące młodych ludzi. Nasi twórcy w większości nie poszli tą drogą. Żołnierską śmierć przedstawiali w sposób poetycki, nie wprost, tak jak na obrazie „Karabinowa kula” legionisty Adama Bunscha.

KOŃ A SPRAWA POLSKA

Malczewski był pacyfistą, dopiero z czasem uwierzył w sens orężnej walki o wolność. W 1916 r. namalował „Nike Legionów”, która została niemiłosiernie zjechała przez krytyków. Pytano, co ma wspólnego z tytułem bezwstydnica udająca się do kąpieli, wytykano błędy warsztatowe. Największym kamieniem obrazy było to, że bogini zwycięstwa miała rysy Marii Bal – muzy i kochanki pana Jacka.

Artyści lgnęli do Piłsudskiego. Pod jego rozkazy zgłosiło się na ochotnika 89 pedagogów i wychowanków krakowskiej ASP, na czele z 64-letnim Leonem Wyczółkowskim i jego uczniem Edwardem Rydzem. Inne formacje, przelewające krew za Niepodległą, nie miały takiego szczęścia, więc na warszawskiej wystawie wizerunków podkomendnych gen. Dowbora-Muśnickiego czy hallerczyków trzeba szukać ze świecą. Legionom poświęcono zaś osobną salę. Na szlaku bojowym Pierwszej Brygady wykuwał się kanon sztuki patriotyczno-propagandowej, skutecznie narzucony społeczeństwu, gdy jej dowódca przejął władzę w Polsce.

Historię tworzą i opisują elity. Przez Legiony przewinęło się 30 tys. ochotników, w wielkiej wojnie wzięło udział ponad 3 mln myślących i mówiących po polsku żołnierzy. Pół miliona z nich straciło życie, walcząc – często przeciw



„Alegoria zwycięstwa w 1920 r.”
Zdzisław Jasiński, 1920 r. FOT. PIOTR LIGIER/MNWW



„Piłsudski pod Wilnem”, Ludomir Śleńdziński, 1927 r. FOT. KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MNW

■ sobie – za rosyjskiego cara, austriackiego cesarza i niemieckiego kajzera. Mało kto o nich pamięta. Wszak Piłsudskiego udało się przejść do legendy. Malarze z reguły przedstawiali ich na koniach, co budziło natychmiastowe skojarzenia z wiarusami księcia Józefa i „Trylogią” Sienkiewicza. Mit ułana z Legionów – późnego wnuka husarza spod Wiednia – najsukcesyjniej krzewił klan Kossaków, co potwierdza tezę, że kto chce trafić do wszystkich, ten musi używać bardzo prostych środków.

Kawalerzystów kochano jak kraj długi i szeroki, lecz poza tym Polacy byli beznadziejnie skłóceni. Socjaliści nienawidzili endeków, którzy Piłsudskiego uważali – w najlepszym razie – za skończonego awanturnika. Miasto i wieś dzieliła mentalna przepaść, a lojalizm był w czasach zaborców postawą bardziej powszechną, niż przywykliśmy sądzić. Rozłam dał o sobie znać już w 1905 r., po wybuchu wojny jeszcze się pogłębił. Mieszkańcy Kongresówki głównego wroga upatrywali w Niemcach. W talii kart do pasjansa, namalowanych przez Czesława Tańskiego, asem pik jest złowrogi Wilhelm II, Prusacy występują tu jako niszczyciele i oprawcy. Manifest dwóch cesarzy, zapowiadający stworzenie z ziem odebranych Rosji samodzielnego królestwa polskiego, serią grafik skomentował Józef Rapacki. Najsłynniejsza z nich przedstawia zakneblowaną i skutą

kajdanami Polskę w asyście dwóch żołdaków w pikielhaubach.

WIOSNA W LISTOPADZIE

Jak na ironię w okupowanej przez Niemców Warszawie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych rozpiśało konkurs pt. „Polska”. Zgłoszone prace nie zachwycały jednak poziomem. Roman Kramsztyk, znany z portretów, pejzaży i martwych natur, porwał się na alegorię narodowych dziejów. „Legenda o koronie” robi wrażenie. Powracający z Paryża autor zmieścił na jednym płótnie m.in. Piastą Kołodzieja, ślub Jadwigi i Jagiełły, Konstytucję 3 maja, Wisłę, Tatry, Wawel i dwa inne zamki. Na pierwszym planie

Kult wodza miał charakter państwowy. Za kpiny można było trafić przed sąd lub zostać obitym przez „nieznanych sprawców” w mundurach

biały orzeł uwalnia z kajdan młodego króla. Na trzecim – wschodzi jutrzienka swobody. Jeśli Kramsztyk spodziewał się nagrody, to czekał go gorzki zawód.

Artyści niebiorący udziału w konkursie nadzieje na odbudowę państwa przedstawiali zwykle w konwencji reli-

gijnej. Punktem odniesienia były legenda o św. Stanisławie i Piotrowinie (Tadeusz Makowski) lub wręcz zmartwychwstanie Jezusa (Zofia Stryjeńska). Księżniczka polskiego malarstwa popełniła cykl „Pascha”, w którym trzy Marie u Grobu Pańskiego personifikują trzy zabory. Zbawiciel jest pszennowłosym, odzianym w słowiański strój młodzianem. Jego spotkaniu z matką towarzyszy eksplozja kolorów. Wszystko kwitnie – nawet wiewiórki na głowach zebranych.

Euforia trwała krótko, wróciło partyjniactwo. Malczewski ostrzegał: „Piorun, co wolność wrócił, też może jest tyranem”, imputując rodakom mentalność niewolników. Wystawę sprzed 40 lat zamykał jego obraz „Polonia 1918”, emanujący optymizmem. Puentą obecnej ekspozycji jest ubóstwienie Piłsudskiego. Dominują rzeźbione popiersia – plon konkursu ogłoszonego po śmierci marszałka. Autorka jednego z nich, Zofia Trzcińska-Kamieńska, która, gdy miała 25 lat, zaciągnęła się w męskim przebraniu do Legionów. Przygoda dobiegła końca, gdy półtora miesiąca później do sztabu dotarł list demaskujący „Zygmunta Tarłę”. Napisał go świeżo poślubiony mąż Zofii, notabene twórca obowiązującego do dziś wzoru godła Rzeczypospolitej Polskiej.

Kult wodza miał charakter państwowy. Za kpiny można było trafić przed sąd lub zostać obitym przez „nieznanych sprawców” w mundurach. Marszałek z portretów jest dość schematyczny, lecz monumentalny. Artyści podkreślali wysokie, myślące czoło, fryzurę na jeża i krzaczaste brwi. Sumiasty wąs (maskujący brak górnych jedynek) upodabniał go do Nietzschego. Surowy ojciec narodu, samotny jak na geniusza przystało. Na jego twarzy nie pojawia się nawet cień uśmiechu. Józef Mańkowski namalował wodza w stylu komiksowym: z orłem na ramieniu, chwytającego za szablę na tle słońca krwawo zachodzącego nad stolicą. Do stworzenia wizerunku pogromcy bolszewików przymierzał się Witkacy. Uzyskał nawet audiencję w Belwederze, lecz ostatecznie stchórzył.

Wojciech Kossak nie miał takich oporów. Kanoniczny portret na Kaszance podarował marszałkowi na imieniny. Po czym wraz z synem rozpoczął masową produkcję „piłsudów”. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę „Krzyżąc: Polska! Niepodległa 1918” w Muzeum Narodowym w Warszawie można oglądać do 17 marca.



FOT. DAVID GIESBREY/NETFLIX



Piotr Gociek

Ostatni sezon serialu „House of Cards” rozczarowuje. Czy to uczucie nie powinno nam jednak towarzyszyć już wcześniej?

Francis Underwood nie żyje, ale jego postać kładzie się długim cieniem na wydarzeniach z ostatniego sezonu „House of Cards”. Serial był wszak opowieścią o rozbuchanych ambicjach, bezwzględności i zbrodniach obojga małżonków. Co z tego, że Franka już nie ma – przeszłości wymazać się

nie da, a czyny mają swoje konsekwencje. Tak przynajmniej będzie nam się wydawało.

Co stało się z Frankiem? Wiemy, wiemy, w naszym świecie aktora, który grał jego rolę, zdmuchnął ze sceny skandal obyczajowy. Hollywood odcięło się od Kevina Spaceya, oskarżonego o mole-

stowanie seksualne. Ridley Scott wyciął go z filmu „Wszystkie pieniądze świata” i zastąpił Christopherem Plummerem, a Netflix wyrzucił z „House of Cards”, sztandarowej produkcji serwisu. Nowych propozycji pracy brak.

Jak uzasadniono zmianę w świecie serialu? Wedle oficjalnej wersji, którą Claire przekazała mediom, Frank zmarł we śnie u jej boku, w małżeńskim łóżu w Białym Domu. Jednak „tacy jak Francis nie umierają tak po prostu” – poinformuje nas Claire pod koniec pierwszego odcinka szóstego sezonu. Zatem kto pomógł mu pożegnać się ze światem? Poza tym, powiedzmy sobie szczerze,



★★★★★

SEZON 6
„HOUSE OF
CARDS”
USA 2018

wyst. Robin Wright,
Greg Kinnear, Diane
Lane, Michael Kelly,
prod. i distr. Netflix

■ coś tu od razu śmierdzi, przecież gdy ostatni raz widzieliśmy małżonków w finale sezonu piątego, on w zaciszu hotelowego apartamentu odgrażał się, że ją zabije, jeśli nie zostanie ułaskawiony, ona nie odbierała od niego telefonów, bo nie zamierzała dotrzymać złożonej obietnicy. Skąd zatem nagle spokojne wspólne małżeńskie łożo w Białym Domu?

Możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że w chwili gdy Kevin Spacey był główną gwiazdą serialu, scenarzyści zamierzali inwestować w rosnącą rywalizację między Francisem i Claire. Zapewne miało to być coś na kształt ich prywatnej wojny, którą widzieliśmy już wcześniej, gdy w sezonie trzecim i czwartym między małżonkami narastała niechęć (włącznie z deklaracją Claire, że chce opuścić Franka). Gwałtowne zniknięcie ze sceny pana Underwooda sprawiło, że trzeba było główną oś dramatu wymyślić na nowo.

SIEĆ INTERESÓW

Po Franku pozostała skomplikowana sieć interesów, w które wchodził konsekwentnie przez lata, świadom tego, że prawdziwa władza leży poza Białym Domem. Taki zresztą był sens – wytłumaczony wprost Claire i widzom – nieoczekiwanego manewru Underwooda z sezonu piątego. Przypomnijmy: Francis Underwood zrezygnował z urzędu, unikając tym samym kłopotów ze strony senackiej komisji. Od tej chwili miał się zająć działaniem w cieniu, wśród ludzi bogatych, potężnych i wpływowych. W sektorze prywatnym. Zaprzysiężona na prezydenta Claire ratowała zaś dla obojga Białego Domu, pozostając w centrum wydarzeń politycznych. Układ doskonały, tandem doskonały, zbrodnia doskonała.

Frank zniknął, ale sieć powiązań pozostała, w dodatku Underwood zaciągnął w imieniu obojga małżonków sporo zobowiązań, których wypełnienia do magać się teraz będą ważni gracze spoza Białego Domu. Kiedyś zamierzali używać pani prezydent jako marionetki sterowanej przez Franka, teraz chcą manipulować nią bezpośrednio. Kto będzie rządził naprawdę? W polu widzenia pojawia się niebezpieczny duet. Bill Shepherd (Greg Kinnear) to inwestor z branży chemicznej, bogaty jak Krezus, Annette Shepherd (Diane Lane)

to jego siostra, razem tworzą parę równie bezwzględna i ambitna jak niegdyś Frank i Claire Underwoodowie. Syn Annette, młody Duncan Shepherd, wspiera ich machinacje w najbardziej efektywny w XXI w. sposób – inwestuje w media, które potem na skinienie palca Shepherdów są w stanie rozpętać kampanię topiącą każdego. Nawet panią prezydent.

Kto pamięta wcześniejsze sezony serialu, ten wie, jak niebezpiecznym przeciwnikiem może być prawdziwy bogacz. Wspomnijmy tytaniczny bój,

który Frank Underwood toczył z Raymondem Tuskiem, właścicielem elektrowni atomowych oraz bliskim sprzymierzeńcem poprzedniego prezydenta Garretta Walkera (tego samego, którego Frank musiał wysadzić z siódła, by samemu zostać prezydentem). W porównaniu ze Shepherdami bilioner Tusk wydaje się jednak łagodny jak owieczka.

do Syrii. Nie przysporzyło jej to w Ameryce popularności. „Czy ma pani jakiś plan? Żebyśmy tam wszyscy nie zginęli?” – takie pytanie zadaje pani prezydent podczas ceremonii pożegnalnej jedna z młodych żołnierek. „Czy pytałabyś o to, gdybym była mężczyzną?” – zręcznie odparowuje Claire, ale wątpliwości pozostają. Nowa pani prezydent zaczyna swe rządy w sytuacji, kiedy jedni chcą się jej jak najszybciej z urzędu pozbyć (najważniejsi wojskowi oraz kierownicy partii), a inni wykorzystają do swoich celów (Shepherdowie i im podobni). Pamiętamy jednak, że Underwoodowie zawsze byli specjalistami od wychodzenia obronną ręką z sytuacji beznadziejnych.

EMANCYPACJA I RETROSPEKCJE

„House of Cards” to oprócz historii wstępu i upadku Franka Underwooda opowieść o emancypacji Claire Underwood. Z początku była po prostu wierną sojuszniczką męża, graczem, który wszystko postawił na jednego konia i nie

Żegnam „House of Cards” z poczuciem zawodu. Zaczynało się bowiem od produkcji, która odmieniła oblicze współczesnej rozrywki

To nie koniec złych wiadomości dla Claire Underwood. Jej dawny sprzymierzeniec i podwładny (niegdyś szef działu prasowego) Seth Grayson pracuje teraz dla Shepherdów, a przecież zna niejedną niewygodną dla niej tajemnicę. Claire nie może też liczyć na pomoc Douga Stampera. Wieloletni sługa i cyngiel Underwoodów jest na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym i wkrótce ma zacząć się jego proces. W piątym sezonie wziął przeciw na siebie (chroniąc Franka) winę za zabójstwo dziennikarki Zoe Barnes. Claire ma też coraz większe wątpliwości co do motywów działania tajemniczej Jane Davis, oficjalnie zajmującej się handlem międzynarodowym, a tak naprawdę działającej w świecie służb. Jakby tego było mało, swoje dziennikarskie śledztwo w sprawie grzechów Underwoodów kontynuują była (Janine Skor-sky) i obecny (Tom Hammerschmidt) reporter „The Washington Herald”.

No i jest jeszcze polityka międzynarodowa. Claire zdecydowała przecież, że Stany Zjednoczone wyślą wojska lądowe

ma jak się wycofać, nawet gdyby chciał, bo gonitwa ruszyła. Pamiętamy jednak zarówno chwile, kiedy Frank wprost komunikował jej, że to on jest szefem, że to on ją stworzył, jak i momenty, kiedy Claire – niezadowolona z tego, co osiągnęła – prowadziła wojnę podjazdową przeciw mężowi. Swoją cel osiągnęła: uświadomiła mu, że to, do czego doszli, zawdzięczają współpracy. Że tylko razem mogą utrzymać się na szczycie. No i oczywiście musimy pamiętać, że szczywany plan Franka, o którym już wspominałem (ona w Białym Domu, on szarą eminencją w sektorze prywatnym), był de facto zerwaniem tego porozumienia, bo po pierwsze Claire w plany nie była włączona, po drugie znów miałaby być jedynie podwładną Franka. A ma większe ambicje.

Szósty sezon jest opowieścią o trudnej kadencji Claire, ale także próbą objaśnienia jej motywacji i reinterpretowania całej opowieści. Dzięki retrospekcjom poznajemy dzieciństwo i młodość przyszłej pani Underwood. Rodzice powtarzali

jej, że jedynym zadaniem ładnej dziewczyny jest inwestowanie w urodę i jej odpowiednie wykorzystanie. Rówieśnicy ponizali i prześladowali (oczywiście głównie rówieśnicy płci męskiej). Dwie najważniejsze deklaracje dorosłej Claire, które padają w szóstym sezonie, to ta, że poprzysięgła sobie, by już nigdy nie być zależną od woli jakiegokolwiek mężczyzny, oraz ta, że wszystko, co dotąd słyszeliśmy z ust Franka Underwooda, było kłamstwem. Krótko mówiąc, podczas gdy wydawało mu się, że wykorzystuje jej urodę, pochodzenie i rodzinne wpływy (córka bogaczy z Teksasu) w politycznej wspinaczce na szczyty, tak naprawdę to ona wykorzystywała jego, by wyrwać się ze znienawidzonej podległości męskiemu światu.

Ta przewrotka podminowuje całą opowieść – jeśli byliśmy tak długo oszukiwani, to w imię czego? Jakie przesłanie ma dla nas wreszcie zwycięska Claire Underwood? Widzę tylko jedno: amerykański „House of Cards” w odróżnieniu od brytyjskiego oryginału (najpierw powieść Michaela Dobbsa, potem miniseria BBC) zawsze był tylko o tym, że jeśli masz władzę, to wszystko uchodzi ci na

sucho, oraz o tym, żeby wszystko na sucho uchodziło także kobietom. I choć Bill Shepherd w pewnym momencie zarzuca Claire, że nie potrafi się zdecydować, czy jest Makbetem, czy żoną Makbeta, to od Szekspirowskiej tragedii jesteśmy bardzo daleko. Gdzie poczucie winy, gdzie wyrzuty sumienia, gdzie pomsta niebios, losu lub chociaż skrzywdzonych?

Co do przesłania feministycznego – nawet jeśli pani prezydent Underwood ma rację, narzekając, że zbyt często mężczyźni mówią kobietom, co robić (i że czas z tym skończyć), to czy ona sama na pewno jest najlepszym wzorcem dla dziewcząt z całego świata? Czy to aby nie manifest feministycznej beznadziei: jedyny, co może zrobić kobieta, to poślubić ambitnego męża i zaciskać zęby przez trzy dekady, potem pomóc mu mordować dla władzy, aż wreszcie gdy go zabraknie, wygrać, to znaczy mieć możliwość mordowania na własne konto? Wielu (także panów) chętnie widziałoby kobietę w Białym Domu, jestem jednak pewien, że nie taką kobietę, jaką stała się Claire Underwood.

Żegnam „House of Cards” z poczuciem zawodu. Zaczynało się znakomicie,

od produkcji, która odmieniła oblicze współczesnej rozrywki, sprowadzając do świata pogardzanych i niedocenianych serwisów streamingowych prawdziwe gwiazdy: Kevina Spaceya w roli głównej i Davida Finchera na fotelu reżysera. Potem bywało różnie, ale scenarzyści mieli dla nas zawsze trochę niespodzianek, a zagadka Underwoodów fascynowała. Byli o wiele mroczniejszą i niebezpieczniejszą parą, gdy nie próbowano nam prostacko wyłożyć, że to wszystko dlatego, iż Claire bywała poniżana w dzieciństwie. Byli o wiele bardziej fascynujący, kiedy nie wiedzieliśmy dokładnie, skąd wzięła się w nich ciemność, i zastanawialiśmy się nad dotknięciem zła, które niesie ze sobą władza. Nad tym, jak czarna plama na duszy rozlewa się z każdym kolejnym stopniem pokonywanym w drodze na szczyt. Byli bardziej przerażający, kiedy uświadamialiśmy sobie jako widzowie, że mimo wszystkich straszliwych rzeczy, których się dopuścili, wciąż im... kibicujemy. Finałowy sezon serialu przypomnieli nam, nie jak rozpada się domek z kart, ale jak naprawdę wygląda. Konstrukcja misterna, ale pomiędzy kartami – pusto. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



DAVE MATTHEWS BAND EUROPE 2019

KONCERT

25 marca 2019 | 20:00

COS Torwar Warszawa

Bilety: prestigemjm.com

Z KAŻDYM ZAKUPIONYM BILETEM
- NAJNOWSZY ALBUM COME TOMORROW DO POBRANIA ZA DARMO

DAVEMATTHEWSBAND.COM | WAREHOUSE.DAVEMATTHEWSBAND.COM

Prestige 10 lat
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost
video
YouTube channel

RZECZY
Multikino

GAZETA BANKOWA
PRESS SERVICE
mediapoint.pl

Gitarzysta
pap

WP
STRÖER

cgm.pl
VIXON
STYL



Smog zabija

Zanieczyszczenie powietrza to jedna z najczęstszych nienaturalnych przyczyn śmierci ludzi. Co roku niewidoczny morderca zabija na świecie kilka milionów osób, w tym ok. 50 tys. Polaków

Trujące. Toksyczne. Rakotwórcze. Tak najkrócej można scharakteryzować powietrze, którym oddycha większość Polaków. Według najnowszego raportu Europejskiej Agencji Środowiska oddychamy bowiem najbardziej zanieczyszczonym powietrzem w całej Unii Europejskiej. Również z wcześniejszych badań Światowej Organizacji Zdrowia – wskazujących, że złą jakość powietrza wywołuje już jedną trzecią chorób, m.in. układu oddechowego czy raka płuc – wynika, że na terenie naszego kraju znajduje się aż 36 z 50 miast w UE najbardziej zatrutych pyłem zawieszonym

PM_{2,5}, a także aż 45 ze 100 europejskich miast najbardziej zanieczyszczonych pod względem pyłu zawieszonego PM₁₀.

Eksperti konsekwentnie ostrzegają, że zanieczyszczenie powietrza stanowi zagrożenie dla środowiska. Smog skraca też życie milionów ludzi na świecie, a także zwiększa koszty leczenia. W Polsce, według szacunków różnych organizacji, z powodu zanieczyszczonego powietrza przedwcześnie umiera od 40 tys. do 50 tys. osób. Dla porównania – w wypadkach samochodowych ginie rocznie 3 tys. Polaków.

Według uczestników zeszłorocznego seminarium „Zanieczyszczenie powietrza

a choroby cywilizacyjne”, które odbyło się na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, przez smog statystyczny Polak żyje aż o 10 miesięcy krócej.

– Jak każdy poważny problem społeczny, smog ma szansę być ograniczony dopiero wtedy, kiedy większość mieszkańców naszego kraju uświadomi sobie powagę sytuacji i zacznie przeciwdziałać powstawaniu zanieczyszczeń. Dlatego też PZU podjęło współpracę z firmą NASK i w ramach programu ESA – PZU przeprowadzamy działania edukacyjne. Ze środków PZU zakupione zostały czujniki zanieczyszczenia i wyświetlacze jakości powietrza, które już instalowane są w 29 szkołach mieszczących się na terenie 36 najbardziej zanieczyszczonych gmin w Polsce. Dodatkowo prowadzone są szkolenia dla nauczycieli oraz dystrybu-

owane materiały dydaktyczne, plakaty informacyjne i materiały edukacyjne dla rodziców. Planujemy również spotkania informacyjne ze społecznościami lokalnymi każdej z miejscowości objętej programem – powiedział Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU.

MORDERCZE PYŁY

Największe szkody dla ludzkiego zdrowia powodują pyły zawieszone, dwutlenek azotu oraz ozon przypowierzchniowy. Pył zawieszony PM_{2,5} to aerozole atmosferyczne, których średnica nie przekracza 2,5 mikrometra. Ten rodzaj pyłu zawieszonego jest najgroźniejszy dla zdrowia, jest on bowiem tak drobny, że potrafi przenikać bezpośrednio do krwiobiegu i w głąb klatki piersiowej. Wywołuje nadciśnienie i zwiększa ryzyko chorób sercowo-naczyniowych – w konsekwencji może więc prowadzić m.in. do udaru mózgu i zawału. Toksyczne powietrze wywołuje również choroby układu oddechowego: astmę oraz przewlekłą obturacyjną chorobę płuc.

Jak podaje Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Warszawie, poziom dopuszczalny dla stężenia średniodobowego wynosi 25 µg/m³. Według raportu Europejskiej Agencji Środowiska wysokie stężenie PM_{2,5} tylko w roku 2015 było przyczyną ponad 420 tys. przedwczesnych zgonów w 41 krajach Europy, w tym ponad 390 tys. w 28 krajach Unii Europejskiej.

Pył zawieszony PM₁₀ to aerozole atmosferyczne, których średnica nie przekracza 10 mikrometrów. Potrafią one docierać do płuc i górnych dróg oddechowych. To one odpowiadają za ataki kaszlu, pogorszenie się stanu osób chorujących na astmę. Zwiększają też ryzyko zawału serca oraz udaru mózgu.

Jak podaje Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska w Warszawie, poziom dopuszczalny dla stężenia średniodobowego wynosi 50 µg/m³ i może być przekraczany nie więcej niż 35 dni w ciągu roku. Poziom dopuszczalny dla stężenia średniorocznego wynosi 40 µg/m³, a poziom alarmowy – 200 µg/m³.

Na liście trujących substancji są także: dwutlenek siarki, tlenki azotu, metale ciężkie, dioksyny oraz wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, np. rakotwórczy i mutageny benzo(a)piren. Według raportu Europejskiej Agencji Środowiska w Polsce leży aż 19 z 20 najniebezpieczniejszych benzo(a)pirenu. Groźne jest również zanieczyszczenie ozonem – ekspozycja na jego działa-

nie może uszkadzać układu oddechowego, powodować ataki astmy, a także wywoływać choroby układu sercowo-naczyniowego.

Według ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) trujące powietrze niszczy zwłaszcza organizmy dzieci. Dzieje się tak m.in. ze względu na niski wzrost maluchów, które łatwiej wdychają krążące blisko podłoża ciężkie pyły zawieszone.

Smog niszczy ich zdrowie – osłabiając rozwój neurologiczny, a także wywołując astmę i choroby układu krwionośnego. Badanie przeprowadzone przez WHO wykazało, że ostre infekcje dolnych dróg oddechowych wywołane zanieczyszczonym powietrzem zabijają rocznie na całym świecie aż 600 tys. dzieci.

To nie koniec poważnych konsekwencji oddychania zanieczyszczonym powietrzem. UNICEF alarmuje, że smog znacząco obniża zdolności intelektualne dzieci oraz uszkadza ich pamięć wzrokową i słuchową. Według ekspertów UNICEF istnieją także niezbita dowody na wpływ smogu na substancję białą mózgu, która odgrywa kluczową rolę w komunikacji neuronów.

W tym przypadku szczególnie szkodliwe są wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne, które występują na obszarach o dużym natężeniu ruchu drogowego i w miejscach, gdzie spalane są paliwa kopalniane.

Smog wpływa już na rozwój płodów. Z badań wynika, że dzieci kobiet oddychających w trakcie ciąży zanieczyszczonym powietrzem rodzą się istotnie mniejsze – niższe od średniej są zarówno ich waga urodzeniowa, jak i np. obwód głowy.

ALERTY I MASKI

Skoro wiadomo, jak szkodliwy jest smog, powstaje pytanie: Jak się chronić?

Po pierwsze, warto na bieżąco monitorować jakość powietrza wokół nas. Jeśli powietrze, którym oddychamy, stanowi zagrożenie dla zdrowia, należy zrezygnować z aktywności na świeżym powietrzu, a zwłaszcza z uprawiania sportów.

Jak to sprawdzić? Zdarza się, że jakość powietrza jest tak fatalna, że widać ją gołym okiem: nad miastem kłębi się wówczas ciemny dym. Trzeba pamiętać, że oficjalne progi alarmowe w Polsce w porównaniu z zachodnimi krajami są ustawione bardzo wysoko. O przekroczonym stężeniu zanieczyszczeń można się więc samodzielnie dowiedzieć z rządowej strony www.powie-trze.gios.gov.pl, portali internetowych oraz licznych bezpłatnych aplikacji na smartfona. W sklepach dostępnych jest też wiele

modeli przenośnych, domowych czujników najgroźniejszych pyłów, czyli PM_{2,5}

Jeżeli mimo wszystko musimy wyjść na dwór, to skuteczną bronią chroniącą przed skutkami smogu mogą się okazać maski przeciwsmogowe. Najtańsze kosztują ok. 10 zł, najdroższe – kilkaset złotych. Te za 300–400 zł tylko w niewielkim stopniu utrudniają oddychanie, mają kilka warstw filtrujących, wymienne filtry oraz nadają się do użytku podczas biegania lub jazdy na rowerze, bo znacznie lepiej niż standardowe maski radzą sobie z odprowadzaniem wilgoci. Maski składają się z filtra węglowego, filtra HEPA lub z połączenia filtra węglowego oraz HEPA. Jakość zastosowanych filtrów łatwo sprawdzić. Najmniej skuteczne, klasy FFP1, skutecznie filtrują 80 proc. lotnych cząstek. Najlepsze, z certyfikatem FFP3, pochłaniają zaś 99 proc. stężenia aerozolu. Maski mogą być też oznaczone literą „N” – w tym przypadku te z oznaczeniem „N95” zatrzymują 95 proc., a te z oznaczeniem „N100” filtrują 99,97 proc. lotnych cząstek. W przypadku oznaczeń literą „P” „P1” oznacza, że maska zatrzymuje co najmniej 80 proc. szkodliwych pyłów etc., „P2” – że zatrzymuje 94 proc. cząstek, a „P3” – że zatrzymuje co najmniej 99,95 proc. szkodliwych cząstek.

W przypadku dzieci powinno się wybrać maskę wyprodukowaną specjalnie dla nich. Najczęściej są one bardzo kolorowe lub przedstawiają bohaterów z kreskówek i bajek. Trzeba pamiętać, że aby maska spełniała swoją rolę, musi być idealnie dopasowana do kształtu twarzy i szczelnie do niej przylegać. Dla tych, którzy nie chcą nosić masek, w sklepach dostępne są również np. szale antysmogowe. Filtry w maskach należy regularnie wymieniać – niektóre wytrzymują zaledwie jedną dobę, inne trzy doby – lub regularnie prac. Po trzech-sześciu miesiącach maskę powinno się wymienić na nową. Przed zakupem konkretnego modelu można też upewnić się, czy maska rzeczywiście jest „antysmogowa”.

Ponadto warto dbać o powietrze we własnym mieszkaniu lub domu. Nowoczesne oczyszczacze powietrza potrafią usunąć pyły PM_{2,5}, lotne związki organiczne oraz niemal wszystkie alergeny, bakterie czy wirusy. Niektóre przeznaczone są specjalnie dla alergików, inne łączą funkcję oczyszczania z nawilżaniem czy jonizacją powietrza. Najważniejsze jest jednak, jaki system filtrów został zastosowany, jaka jest wydajność urządzenia, a także ile kosztują dany oczyszczacz i jego użytkowanie.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Czarownice z Berlina



★★★★★

REŻ. LUCA
GUADAGNINO
„SUSPIRIA”
WŁOCHY/USA
2018

wyst. Dakota
Johnson,
Tilda Swinton,
Mia Goth

Krew na parkiecie, czyli wielki powrót Dario Argento. Sędziwy klasyk strasznego kina klasy B co prawda zawiesił już kamerę na kołku, lecz od czegoś są fani? Jeden z nich, Luca Guadagnino, odniósłszy prestiżowy sukces filmem „Tamte dni, tamte noce”, zapragnął z marszu nakręcić remake „Odgłosów”. Droga od biseksualnego melodramatu, egzorcyzmującego ducha Viscontiego, do kiczowatego horroru sprzed lat 30 wydaje się kręta. Któż jednak zabroni wyrafinowanemu artyście nią podążać?

„Suspiria”, bo tak nazywa się nowa wersja „Odgłosów”, fabularnie mało się od oryginału różni, lecz jest dłuższa o godzinę. Z nieśmiertelnego pojedynku formy i treści tym razem zwycięsko wyszła ta pierwsza. Guadagnino celebrytuje

każdy moment, nic dziwnego, że aktorzy przepadają za reżyserem, dającym im tyle szans na solowe popisy. Biada zwolennikom filmowego fast foodu, którzy nieopatrznie kupili bilet na „Suspirię”. Będą cierpieć tantalowe męki.

Dobrym pomysłem okazało się przeniesienie akcji do stolicy Niemiec. Berliński mur nadal fascynuje, w dodatku jest rok 1977, popularność terrorystów z grupy Baader-Meinhof sięga zenitu i wielu młodych ludzi jawnie kibicuje sprawie rewolucji. Jak na przeklęte miasto przystało, Berlin skrywa wiele tajemnic. Jedną z nich odkryje rudowłosa Susie, która porzuciła bogobojną społeczność amiszów w Ohio, by studiować sztukę tańca na granicy dwóch światów (szkoła znajduje się tuż obok muru, rzecz jasna po jego zachodniej stronie).

Personel szkoły składa się z ekscentrycznych pań, dobrze pamiętających czasy Tysiącletniej Rzeszy, budynek jest pełen zakamarków. Ściany mają uszy, a uczennice – kosmary.

Trzeba przyznać, że scenografowie uczciwie zapracowali na swoje honoraria. Układy choreograficzne też robią wrażenie. Z obsady nikogo bym nie wyróżnił. Który to już raz filmowcy wykorzystują androgyniczną urodę Tildy Swinton? W „Suspirii” gra trzy role: szefową szkoły, konkurującą z nią Madame Blanc i staruszka – psychoanalityka zaniepokojonego zniknięciem jednej z klientek.

Feministyczny przecheł, widoczny już w pierwowzorze, czasami zahacza o śmieszność. Damski kolektyw bezwzględnie upokarza panów, którzy ośmielili się wtargnąć na ich terytorium. Historia więdźm o wampirycznych skłonnościach poniekąd oddaje ducha naszej epoki, dlatego Paweł Pawlikowski powinien niezwłocznie zrewitalizować którąś z kultowych fabuł Marka Piastaka. Nie musi to być od razu „Kłątwa doliny węży”. Tymczasem Guadagnino znalazł sobie nowy cel w życiu: zamierza zekranizować płytę Boba Dylana. Jakby nie patrzeć, noblisty. ©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „FANTASTYCZNE ZWIERZĘTA”

Druga odsłona kinowej serii fantasy według oryginalnych scenariuszy J.K. Rowling. „Fantastyczne zwierzęta” rozszerzają uniwersum znane z powieści o Harrym Potterze i opowiadają o wydarzeniach poprzedzających fabułę słynnej sagi. Czarodziej Grindelwald próbuje wywołać wojnę między światem magicznym

a zwyczajnym, w czym przeszkodzić mu ma zwerbowany przez młodego Albusa Dumbledore’a ekscentryczny Newt Scamander. Ciąg dalszy w kinach za dwa lata. ©

Piotr Gociak

• „Fantastyczne zwierzęta: Zbrodnie Grindelwalda”, reż. David Yates, USA/Wielka Brytania 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Wdowy”, reż. Steve McQueen, USA/Wielka Brytania 2018
- „Utoya, 22 lipca”, reż. Erik Poppe, Norwegia 2018
- „Touch Me Not”, reż. Adina Pintilie, Rumunia 2018
- „Gentleman z rewolwerem”, reż. David Lowery, USA 2018



Telefon 112

85 minut czystej adrenaliny – obiecują plakaty. Lekka przesada, ale jak na film, w którym bohater nawet na chwilę nie opuszcza biura, napięcie naprawdę jest wysokie.

Policjant Asger musiał nieźle nabroić, skoro w kwiecie wieku kazano mu dyżurować przy telefonie alarmowym. Kopenhaga to nie Mexico City, więc ludzie dzwonią z błahymi sprawami. Dziewczyna spadła z roweru i stłukła kolano, imprezowicze pobili się z ochroną dyskoteki, prostytutka okradła klienta. Asger cierpliwie wysłuchuje ich lamentów i złorzeczeń, ale po minie widać, że wolałby patrolować ulice. W końcu Opatrzność lituje się nad sfrustrowanym funkcjonariuszem i zsyła mu rozmówczynię z megaproblemem.

Iben twierdzi, że została porwana przez męża – kryminalistę. Dyżurnemu rosną skrzydła.

Zamiast scedować śledztwo na bardziej mobilnych kolegów, próbuje zza biurka dowodzić akcją odnalezienia kobiety. Mnożą się sygnały, że z Asgerem jest coś nie tak. Możliwe, że to będzie jego ostatni dzień w policyjnym mundurze.



★★★★★
REŻ. GUSTAV MÖLLER
„WINNI”
(„DEN SKYLDIGE”)
DANIA 2018

wyst. Jakob Cedergren,
Jessica Dinnage,
Omar Shargawi

Czasem można odnieść wrażenie, że scenariusz napisali radiowcy, lecz grunt to dobry pomysł (nawet jeśli Duńczycy inspirowali się nieco „Telefonem” Joela Schumachera i „Locke’em” Stevena Knighta).

Dla reżysera – debiutanta i odtwórcy głównej roli – „Winni” mogą okazać się trampoliną do światowej kariery. ©©

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

HOTEL STARSZEJ PANI

Rok 2028, chaos na ulicach Los Angeles. Podczas gdy wściekli na ceny wody demonstranci tłuką się z policją, przestępcy zajmują się swoją robotą. Po skoku na bank dwóch z nich znajduje schronienie w tajemniczym hotelu Artemis, legendarnym azylu dla przestępców, prowadzonym przez starą, zdziwaczącą lekarzkę (świetna rola Jodie Foster).



★★★★★
REŻ. DREW PEARCE
„HOTEL ARTEMIS”
USA 2018,
MONOLITH

wyst. Jodie Foster, Sterling K. Brown, Sofia Boutella

Pod jednym dachem znajdują się spec od włamań, handlarz bronią oraz piękna zabójczyni do wynajęcia. A napięcie sięgnie zenitu, gdy do drzwi zapuka król przestępczego świata (pyszny epizod Jeffa Goldbluma). W tym niewielkim filmie wszystko jest skromne, prócz obsady, widać też inspirację ulubionym chwytem Tarantino: zamknijmy bohaterów w magazynie albo zimowej chacie i każmy im gadać. To bez wątpienia kino klasy B, świadome swych ograniczeń, ale jednocześnie wciągające jak wczesne filmy Johna Carpentera. Ci, którzy lubią takie połączenie kryminału i fantastyki, będą zadowoleni, reszta może po prostu podziwiać kunszt Jodie Foster. ©©

PALI SIĘ, MÓJ PANIE!

Wszystko w tym filmie jest prościutkie. Na pierwszy rzut oka widać, kto lotr, kto porządny, a fabułę sklejono z dawnych hitów. Jak w „Płonącym wieżowcu” mamy gigantyczny budynek w niebezpieczeństwie, jak w „Szklanej pułapce” w wieżowcu pojawiają się złoczyńcy, a scena ostatecznej rozgrywki to technologicznie ulepszony finał „Wejścia smoka”. To, co interesujące, nie wiąże się z jakością filmu, lecz z kontekstem. Najwyższy budynek świata (220 pięter) staje w Hongkongu, Chińczycy na ekranie grają rolę wyłącznie pozytywne, złymi są natomiast bez wyjątku biali. Takie czasy. Hollywood żyje z chińskich pieniędzy, a kto płaci, ten wymaga. O tym, że w Hongkongu giną bez wieści księgarze sprzedający nieprawomyślną literaturę, się nie dowiecie, ujrzyte za to tłum szczęśliwych chińskich przechodniów kibicujących amerykańskiemu wrestlerowi, bo w głównej roli pojawia się Dwayne Johnson. ©©



★★★★★
REŻ. RAWSON MARSHALL THURBER
„DRAPACZ CHMUR”
USA 2018,
FILMOSTRADA

wyst. Dwayne Johnson, Neve Campbell, Chin Han

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „RIMWORLD”

Istnieje kategoria gier, które wyglądają jak wydane 20 lat temu, pozornie nie pasują do współczesnych standardów, wydają się piekielnie skomplikowane i niszowe. A jednak osiągają ogromny sukces i przykuwają do komputera na długie godziny. „RimWorld” jest jedną z nich. Gracz wciela się w rolę

dowódcy losowej grupy kolonistów, których statek kosmiczny rozbił się na niezbadanej do tej pory planecie. Musimy zatem walczyć o przetrwanie, budować bazę, dostosowywać zadanie do umiejętności kolonistów i stawiać czoła fabule, generowanej przez trzy odmienne w charakterze



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

systemy SI. Intrygujące i niepozwalające się nudzić połączenie. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: RTS
- Platforma: PC
- Producent, dystrybutor: Ludeon Studios
- Klasyfikacja PEGI: 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Sartre, który się myli

Ta świetnie napisana, błyskotliwa, choć daleka od naukowej obiektywności historia egzystencjalizmu zaczyna się sceną z końca 1932 r., kiedy to w barze Bec-de-Gaz na rue de Montparnasse w Paryżu studiujący w Berlinie 27-letni Raymond Aron opowiedział swemu szkolnemu koledze i rówieśnikowi oraz jego o dwa lata młodszej kochance, czym jest odkryta przez niego w Niemczech fenomenologia, którą młody filozof był wyraźnie zafascynowany. Tę fascynację mieli podzielić jego interlokutorzy, a byli to Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Jak wspominała ta ostatnia, Aron miał spuentować swój wywód słowami: „Widzisz, mon petit camarade, jeśli jesteś fenomenologiem, to możesz zrobić filozofię z tego koktajlu!”. I wskazał na morelowy napój, który wszyscy popijali. Ponoć Sartre aż zbłądził z wrażenia.

Z tej fascynacji fenomenologicznej narodzić się miał egzystencjalizm, który w Sartre'owskiej wersji święcił triumfy w końcu lat 40. i w latach 50., a z nikczemnego wzrostem (153 cm) twórcy czy współtwórcy tego kierunku myślowego uczynił – jakkolwiek dziwnie to brzmi – ikonę popkultury. Egzystencjalizm zdecydowanie lepiej radził sobie w paryskich kafejkach, tworząc subkulturę noszących czarne golfy, słuchających jazzu młodych ludzi udających intelektualistów, niż w zaciszu bibliotek, gdzie miałyby powstawać fundamentalne dzieła filozoficzne dowodzące tego przede wszystkim, że „istnienie poprzedza istotę”.

Dzieje egzystencjalizmu to w dużej mierze historia Sartre'a, który nie dawał o sobie zapomnieć, wszczynając kolejne spory ze swoimi wcześniejszymi „towarzyszami drogi” – jak tenże Raymond Aron, Albert Camus czy Arthur Koestler, odmawiając przyjęcia Legii Hono-



FOT. ANDRZEJ BRENNER/WINTER PICTURES FORUM

rowej i Nagrody Nobla, popierając goszystów, maoistów, lewaków wszelkiej maści, a i terrorystów, takich jak Andreas Baader. Politycznie się kompromitował, a to udając bojownika ruchu oporu, w co Amerykanie skłonni byli nawet uwierzyć, choć tytuł do jego kombatanckiej sławy stanowiły jedynie opublikowane w prasie podziemnej artykuły, a to znów usprawiedliwiał stalinizm, a właściwie negował jego zbrodnie, wreszcie tak naprawdę rozstając się z egzystencjalizmem na rzecz wulgarnej raczej marksistowskiej socjologii.

To wszystko prawda, ale też nie całkowita i też jednostronna. Ten sam Sartre wyklinany był bowiem przez komunistycznych czynowników (Aleksander Fadijew nazywał go „hieną, która umie władać piórem”), zdarzało mu się polemizować nie tylko z – jak czytamy w „Kawiarni egzystencjalistów” – „bandą gaulistów”, lecz także z zasłużonymi członkami Francuskiej Partii Komunistycznej. W okresie Praskiej Wiosny w Czechosłowacji jego

dramaty („Brudne ręce”, „Muchy”) miały w teatrach nadkomplety. Może dlatego, że jak orzekł później przyjeżdżający do Pragi Philip Roth: „Na Zachodzie wszystko wolno i nic nie ma znaczenia, a w Czechosłowacji nic nie wolno i wszystko ma znaczenie”. Tak czy inaczej, nie należy zapominać, że w 1980 r. zmarłego w wieku 75 lat Sartre'a odprowadzało na paryski cmentarz Montparnasse 50 tys. ludzi. A nie był ani idolem rocka, ani gwiazdorem filmowym.

Na kartach „Kawiarni egzystencjalistów” brytyjskiej pisarki Sarah Bakewell pojawiają się również: Karl Jaspers, Martin Heidegger, Maurice Merleau-Ponty. Tworzą oni naukową otoczkę książki, która w przeciwnym razie mogłaby stać się wyłącznie popularną, napisaną stosunkowo łatwym językiem opowieścią o spotkaniach grupy przemądrzałych osobników w lokalach paryskiej dzielnicy Saint-Germain-des-Prés. A przecież ambicje autorki były znacznie większe, niezależnie od tego, że mitologia „Lewego brzegu” powstała dawno temu i, co może dziwić, trzyma się całkiem nieźle.

W 1976 r., podczas wywiadu z Bernardem-Henri Lévym, Raymond Aron (przeżyje Sartre'a o trzy lata) powie, że lewicowi intelektualści nienawidzą go nie dlatego, że ukazuje prawdziwą naturę komunizmu, ale za to, że nigdy nie podzielał ich opinii. Lévy odparł: „Czy lepiej być Sartre'em, który się myli, czy Aronem – przegranym, który ma rację?”. Podobno Aron nie dał jasnej odpowiedzi, co nie przeszkodziło tym, którzy nigdy się nie mylą, a jeśli nawet, to z jakimś wdziękiem (nieprawdaż?), ukuć maksymę: „Lepiej mylić się z Sartre'em, niż mieć słuszość z Aronem”. No pewnie, konfitury były tylko po stronie tego pierwszego. Może też morelowe. ©©



★★★★★
SARAH BAKEWELL
„KAWIARNIA
EGZYSTENCJALI-
STÓW”
WYDAWNICTWO
KRYTYKI
POLITYCZNEJ 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Smak życia

Pierwsze wrażenie: cudowna mnogość! Czwierć setki rozmów z naukowcami (tak, 27 tekstów, ale filtruję od razu zapis jednej wieloosobowej dyskusji plus wywiad z księdzem), których dorobek pokazuje, żeśmy sroce spod ogona nie wypadli, że Polacy też zmagają się z najciekawszymi zagadnieniami współczesności. A przecież dałoby się tych rozmów przeprowadzić więcej.

Drugie wrażenie: cudowna różnorodność. W części poświęconej temu, co w kosmosie, rozważania nad czarnymi dziurami (dziś wiemy, że właściwie szarymi), nad tajemnicami ponad 3,7 tys. planet poza naszym Układem Słonecznym (a niespełna dwie dekady temu znaliśmy jedynie 70), nad tym, czy celem istnienia wszechświata było doprowadzenie do powstania życia. Tam, gdzie wracamy na Ziemię, rozważania o tym, w którym miejscu dziś znajduje się energetyka atomowa, pytanie o to, jakie prawa przysługiwać mogą osobie sklonowanej albo do kogo należał będzie Księżyć.

Najnowsza książka Marka Oramusa przypomina nam, dlaczego nauka jest ważna, dlaczego jest potrzebna, jaki gigantyczny wpływ ma na nasze życie i będzie miała na naszą przyszłość. To przypomnienie konieczne w czasach, gdy „wielkie postępy nauki nie idą w parze

ze społecznym zainteresowaniem”, nad czym ubolewa Oramus we wstępie. Większość pochłania obrok masowej rozrywki, mniejszość interesuje się sprawami wykraczającymi poza zapewnienie niezbędnego do przeżycia minimum. Jednak wypada zapytać: Czyż kiedyś było inaczej? Autor odpowiada, że tak, a „podział nabiera cech trwałości”.

„Na niebie i ziemi” to przede wszystkim wyraz wielkiej miłości Oramusa do nauki, miłości zrozumiałej u przedstawiciela pokolenia pisarzy SF, dla którego mistrzem był zanurzony w naukowych publikacjach Stanisław Lem, a nie rozczytany w średniowiecznych kronikach George R.R. Martin. Naukowców pytałem o to, co interesowało mnie samego – wyznaje Oramus – mając nadzieję, że będzie to ciekawe także dla czytelników. Jest ciekawe, odpowiadam, i jest pasjonujące, zwłaszcza że nie o naukę dla nauki tu chodzi. Bo za pytaniami o stan naszej wiedzy i sukcesy polskich naukowców stoją tak naprawdę inne: Skąd się wzięliśmy?

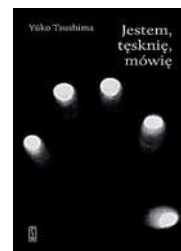
Po co? Czy ktoś tam daleko może na nas czekać? Czy przetrwamy, a może właśnie popełniamy rozłożone na raty samobójstwo? Ważna i mądra książka, nie zawsze łatwa w lekturze. Jednak „warte zachodu jest tylko to, co trudne” – przypomina w finale prof. Dietrich. „Trud życia jest jednocześnie jego smakiem”. ©©



★★★★★
MAREK ORAMUS
„NA NIEBIE I ZIEMI”
ZONA ZERO 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Pierwsza w Polsce książka jednej z najlepszych współczesnych autorek japońskich. Zbiór opowiadań rozpiętych między delikatnością Kazuo Ishiguro a feministyczną pasją Alice Munro. Propozycja, której przegapić nie wolno.



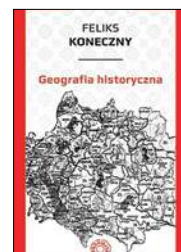
YŪKO TSUSHIMA
„JESTEM, TĘSKNIĘ, MÓWIĘ”
PIW

Hiszpański kryminał o kulcach świata hazardu, z obowiązkową w dziesiętnych czasach kobiecą postacią w roli głównej. Ana po latach przerwy wraca na salę sądową, by bronić oskarżonego o defraudację 800 tys. euro brata. Wciąga.



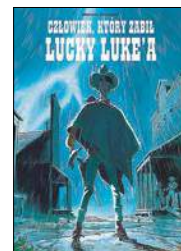
ROBERTO SANTIAGO
„ANA”
MUZA

Geografia historyczna poucza, jakie piętno człowiek wycisnął na ziemi swą działalnością historyczną – przypomina Koneczny. Wznowienie pracy, która o Polsce opowie waszym dzieciom więcej i ciekawiej niż niejedna szkolna lekcja.



FELIKS KONECZNY
„GEOGRAFIA HISTORYCZNA”
PROHIBITA

Komiksowy hołd złożony postaci samotnego kowboja i zarazem przewrotnie uzupełnienie jego historii, połączone z poważną dekonstrukcją. Tak dobrze narysowany, że można przymknąć oko na nadmiar politycznej poprawności. ©©



MATTHIEU BONHOMME
„CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ LUCKY LUKE'A”
EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Szczepan Twardoch „Królestwo” (Wydawnictwo Literackie)** – ciąg dalszy powieści „Król”. Akcja rozgrywa się już nie w II RP, ale pod niemiecką okupacją w getcie.
- Wiesław Myśliński „Ucho igielne” (Znak)** – dwukrotny laureat Nike o śmierci, miłości i przede wszystkim strachu przed życiem w niepewnym świecie.
- Mariusz Szczygieł „Nie ma” (Fundacja Instytut Reportażu)** – nowość autora „Gottlandu”. Zbiór rozmów o tym, co zniknęło z naszego świata i z życia bohaterów.
- Wojciech Sumliński, Tomasz Budzyński „Niebezpieczne związki Donalda Tuska” (WS REPORTER)** – o twórcy PO, niemieckim wywiadzie i mafii.
- Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.

(Najchętniej kupowane książki w księgarni internetowej Bonito.pl)

Beata jak wino

Nie wystarczył opolskiej publiczności w 1978 r. jeden występ zespołu Bajm, nowej wtedy grupy na polskiej scenie muzycznej. Kiedy ubrana od stóp do głów na białą Beata Kozidrak skończyła śpiewać, skromnie i bardzo nisko dygnęła, publiczność do bardzo głośnego aplauzu dołożyła śpiew refrenu wykonanej przed chwilą przez zespół piosenki „Piechotę do lata”. „Drogi Bajmie, kochani, nie odchodźcie jeszcze, bo ja wiem, że bez bisów tu się nie obędzie. Przy okazji wszyscy nauczymy się piosenki »Do lata«” – usłyszeli muzycy, którzy już byli w połowie drogi za kulisy. Uśmiechnięci, ale nieco też zaskoczeni i zmieszani, wrócili na bis.

W tym debiucie Bajm zajęli drugie miejsce w kategorii „zespół”, a Polacy powoli uczyli się słów „Piechotę do lata”. Na opolski festiwal rok później Beata i spółka powrócili z tą samą piosenką. Tadeusz Sznuć, który pierwszy odcinek prowadzonego do dziś teletur-

nieju „Jeden z dziesięciu” poprowadzi, gdy Bajm będzie już jednym z najbardziej znanych polskich zespołów, zapowiedział ich wtedy jako „zespół Bejm”. W relacji telewizyjnej

tego występu nie pokazano. Bo był to rok jubileuszowy – 35-lecie PRL, a więc i opolski festiwal był „większy”, trwał aż sześć dni, więc telewizja nie pokazywała go w całości.

Jednak nic to – grupa założona przez rodzeństwo Kozidraków – Beatę i Jarosława, Andrzeja Pietrasa i Marka Winiarskiego oraz Andrzeja Koziara i Andrzeja Grądkiewicza zdobywała serca Polaków. W dużej mierze dzięki „Piechocie do lata”, ale czas pokazał, że Bajm i Beata mają talent do kreowania hitów, które nie są przebojami jednego sezonu. Zwłaszcza gdy z akustycznych hipisów grupa przerodziła się w zespół z rockowym pazurem, który najwyraźniej pokazywała i z którym najbardziej do twarzy Beacie Kozidrak.

Z początkowego składu Bajmu do dziś w zespole została tylko wokalistka. Grupa właśnie ruszyła w jubileuszową trasę, świętując w ten sposób swoje 40-lecie. Trasę niezbyt długą, ale przecież Bajm koncertuje regularnie, a Beata, która ma na koncie także solowe projekty, od czterech dekad dojrzewa na naszych oczach, nie starzejąc się ani na jotę. ©©

Radosław Wojtas

FOT. MATERIAŁ PRASOWE



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Publiczna autoterapia

Pprzed rokiem powiedziała „basta” i po 25 latach zawiesiła działalność zespołu Hey. Teraz, na siódmej płycie solowej, oznajmia „basta” wszelkim życiowym kompromisom.

To nie jest płyta hiphopowa, jak by chcieli niektórzy recenzenci, choć rzeczywiście Katarzyna najmniej na niej śpiewa. W większości utworów deklamuje teksty albo je wręcz wykrzykuje. Album „Basta” to manifest niezależności i dojrzalej samoświadomości. Nosowska w końcu oznajmia, że nie ma już zamiaru iść na życiowe kompromisy. Rozlicza się z rodzicami, własnymi kompleksami i błędami wychowawczymi,

oskarża partnera o alkoholizm, mobilizuje płęć słabszą do sprzeciwu... i nie chce już być miłą. „Mówię nie – bo »nie« wystarczy!” – oznajmia w kończącym płytę utworze „Dosyć”.

Poprzedni, wydany siedem lat temu, album Nosowskiej – „8” – zawierał przyjemny, jazzujący materiał i generalnie było miło. Tutaj tak nie jest. Manifesty wykrzykiwane są na tle pulsującego elektronicznego podkładu. Muzyka stworzona przez Michała „Foxy” Króla jest oszczędna w dźwięki, ale tak jak i teksty daje ostro po uszach.

To jest artystyczna autoterapia, ale jednocześnie bardzo ważny album. ©©



★★★★★
R.E.M.
„R.E.M. AT THE BBC”
CRAFT RECORDINGS
Alternatywna
historia twórczości

jednego z najciekawszych amerykańskich zespołów sceny alternatywnej. Na dwóch CD zarejestrowano sesję nagraniową oraz transmisję koncertów dokonane przez brytyjską stację radiową w latach 1984–2008.



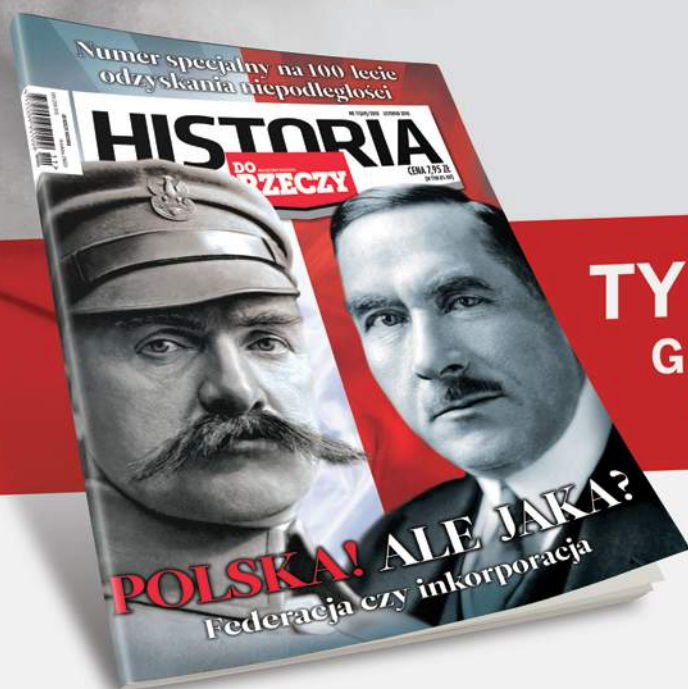
★★★★★
**ANDRZEJ
KORZYŃSKI**
„W KLUBIE DISKO”
NCK

Festiwal Soundedit uhonorował mistrza statuetką „Człowiek ze złotym uchem”, a Narodowe Centrum Kultury wydało winyl z nieznanymi, dyskotekowymi nagraniami laureata. Na drugiej stronie płyty są świetne remiksy zrealizowane przez DJ-ów. ©©



★★★★★
NOSOWSKA
„BASTA”
KAYAX

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

GIERTYCH KONTRA GLUZA:

Ostra debata na temat Piłsudskiego

Piotr Zychowicz – **Federacja czy inkorporacja?**

Saul David – **Izraelscy komandosi w Ugandzie**

Sławomir Koper – **Piękna hrabina - szpieg**

Mikołaj Iwanow – **Władca GUŁagu**

Marcin Bartnicki – **Zbrodnie Teda Kaczynskiego**

Gideon Greif – **Sonderkommando w Auschwitz**

Zbigniew S. Siemaszko – **Sowietom nie wolno ufać**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Łukasz Warzecha

Jeśli elita polityczna chciała jakoś przekonać obywateli o swojej niedojrzałości i niezdolności do porozumienia choćby na chwilę i czysto symbolicznie, to jej się to z pewnością udało

Na sto lat to za mało

Czy można było przegapić to, że mamy rok stulecia odzyskania niepodległości przez Polskę? Chyba nie. Są znaczki pocztowe, po torach jeżdżą stosownie pomalowane nowe lokomotywy PKP InterCity (produkcji niemieckiej), na Lotnisku Chopina pojawiają się samoloty LOT również w odpowiednim malowaniu (produkcji amerykańskiej), a na poziomie lokalnym stworzono wiele inicjatyw nawiązujących do stulecia – od koncertów, przez rajdy rowerowe, do wystaw czy gali. Kiedy spojrzeć na mapę na stronie Niepodlegla.gov.pl, na której pozaznaczano lokalne przedsięwzięcia, znaczkami obsiana jest cała Polska. A gdyby tego wszystkiego ktoś nie zauważył, musiał przecież dostrzec punkt kulminacyjny, czyli trudne do pojęcia zamieszanie wokół warszawskich obchodów i Marszu Niepodległości.

Dlaczego wiele osób ma wrażenie, że coś poszło nie tak? Że nie potrafiliśmy należycie uhonorować setnej rocznicy punktu zwrotnego w naszej historii?

W POLITYCZNYM NURCIE

Żale najczęściej są kierowane ku prezydentowi. Nie tylko formalnie, lecz także

instynktownie obywatele oczekują, że to prezydent okaże się najmniej zamieszany w polityczny spór i będzie umiał zjednoczyć Polaków wokół narodowego święta. Tutaj jednak Andrzej Duda poniósł porażkę. Również dlatego, że nie był przecież w stanie odseparować się całkowicie od politycznej gry. Zajmując stanowisko w sprawie choćby reformy sądownictwa – co przecież musiał zrobić – dla niektórych stracił całkowicie walor ponadpartyjności.

Wyjątkowość roku niepodległości miała podkreślić wymyślone przez głowę państwa referendum na temat zmian w konstytucji, którego pomysł prezydent ogłosił 3 maja 2017 r. Sama idea nie była zła, ale bardzo szybko było widać, że niewiele z tego wyniknie. PiS nie palił się do promowania referendum, a lokalne spotkania w obecności prezydenckich urzędników nie załatwiały sprawy i przechodziły bez echa. Inicjatywa nie doczekała się nawet odrębnego portalu internetowego, choć wydawałoby się to oczywiste. Ogłoszone w tym roku propozycje pytań były powszechnie krytykowane, a ostatecznie Senat referendum nie zatwierdził. W ten sposób upadł główny fundament, wokół

którego prezydent chciał zbudować opowieść o wyjątkowości roku stulecia.

Prezydent powołał też w ubiegłym roku specjalną ustawą Komitet Narodowych Obchodów Setnej Rocznicy Odzyskania Niepodległości, który miał się zajmować przygotowaniem – czy może raczej patronowaniem przygotowaniom – uroczystości. Jednak już na początku pojawił się zgrzyt, bo nie zaproszono do niego przedstawicieli Ruchu Narodowego, firmującego Marsz Niepodległości, czyli imprezę najbardziej kojarzoną z 11 listopada. Gdy dziś spojrzeć na skład komitetu, to robi to z lekka kuriozalne wrażenie. Nie ma tam w ogóle partyjnych liderów, nie ma też przedstawiciela Nowoczesnej, a PO reprezentuje... Hanna Gronkiewicz-Waltz. Gdy Andrzej Duda ogłaszał powołanie komitetu, wiele osób mogło mieć nadzieję, że będzie to coś więcej niż tylko formalność. Że powstanie autentyczne forum, na którym pod auspicjami prezydenta zostanie przynajmniej podjęta próba wyłączenia obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości z bieżącego sporu politycznego. Nic takiego się jednak nie stało. Komitet pozostał ciałem stricte papierowym.

FOT. ADAM GIEŚKOWSKI/FORUM

Gdy zawałił się projekt referendum na temat konstytucji, okazało się, że nie ma planu B. Pojawiło się za to coś na kształt planu C – jak „curiosum”.

Najpierw Andrzej Duda w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” stwierdził: „Chciałbym, żebyśmy razem poszli w Marszu Niepodległości, i jest to kwestia odpowiedzialności wobec społeczeństwa. Stańmy obok siebie i pokażmy ludziom, że można być razem. Można się nie gryźć”. Nie była to w ścisłym sensie deklaracja, że prezydent się na marszu pojawi, ale wielu tak to odebrało. Dopiero wtedy, za pięć dwunasta, zaczęły się negocjacje ośrodka prezydenckiego z przedstawicielami Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, zakończone fiaskiem i wzajemnym obrzucaniem się oskarżeniami o brak dobrej woli, a nawet kłamstwa.

Trudno było się nie zdziwić. Po pierwsze dlatego, że rozmowy w sprawie ewentualnego uczestnictwa prezydenta w Marszu Niepodległości można było podjąć wiele miesięcy temu. Po drugie, bo Kancelaria Prezydenta, gdyby serio rozważała udział Andrzeja Dudy w wydaniu, powinna była wciągnąć Stowarzyszenie Marsz Niepodległości do komitetu obchodów. Po trzecie, nietrudno było przewidzieć, że pominięci narodowcy nie będą mieli ochoty zmieniać charakteru wydarzenia, organizowanego przez siebie od lat, aby niejako oddać je prezydentowi, który nie podjął żadnego wysiłku, żeby się z nimi wcześniej porozumieć. Nietrudno było też przewidzieć, że nawet przy maksymalnej dobrej woli organizatorów nie da się z marszu całkowicie wyeliminować elementów, których sąsiedztwo mogłoby Andrzejowi Dudzie zaszkodzić. A skoro tak, to po co w ogóle było wspominać o udziale głowy państwa w marszu?

DZIWNE POMYSŁY

Przy okazji mało kto zauważył, że jeszcze na początku września Mateusz Morawiecki publicznie mówił o wspólnym uczestnictwie w marszu niepodległości. Wypada tu użyć małych liter, nie chodziło bowiem raczej o Marsz Niepodległości, firmowany przez Ruch Narodowy. Szczególnie że jakiś czas później, w listopadzie, premier wyjaśniał w „Gazecie Polskiej”, że rząd w Marszu Niepodległości (tym pisanym wielkimi literami) nie pójdzie, bo „organizatorzy [...] nie są w stanie zapewnić spokojnego przebiegu manifestacji, nie są w stanie zagwarantować, że nie dojdzie do żadnych prowokacji”.

O jaki zatem marsz chodziło szefowi rządu we wrześniu – właściwie nie wiadomo. Nikt też specjalnie nie dociekał, bo dla wszystkich było jasne, że to nic więcej jak chwyt retoryczny. Morawiecki świetnie wiedział, że jego słowa spotkają się z atakiem opozycji i zapewne tylko po to je wypowiedział. Nie pomylił się – Grzegorz Schetyna odezwał się natychmiast: „Najpierw oczekujemy decyzji, które nie pozwolą na kontynuowanie ekscesów nacjonalistycznych”.

Jeszcze dziwniejszym pomysłem był zgłoszony w ostatniej chwili projekt ustawy o dodatkowym dniu wolnym, złośliwie nazywanym dniem leczenia kaca. Projekt naruszył zasadę dobrej legislacji, przez swoją nagłość tworząc problemy dla biznesów, które muszą zaplanować dyżury pracowników, dostawy, usługi. Ponieważ Senat wprowadził do ustawy poprawki, Sejm ostatecznie przegłosował ustawę dopiero 7 listopada. Przy okazji, zapewne w ramach budowania wspólnoty na stulecie, szef klubu PiS Ryszard Terlecki nazwał na Twitterze ugrupowania głoszące przeciwko temu kuriozum „koalicją antypatriotyczną”.

Wolny 12 listopada sprawiał od początku wrażenie niezgrabnego ersatzu – tak jakby rządzący chcieli powiedzieć Polakom: „No dobrze, może nie udało nam się zorganizować obchodów jak należy, ale za to wciąż sobie dodatkowy wolny dzień”.

Skoro z Marszem Niepodległości nie wyszło, to prezydent wystąpił z inicjatywą wspólnego odśpiewania hymnu 11 listopada w południe. Piękny gest, ale sprawiający wrażenie desperackiego.

Jeszcze w 2016 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ogłosiło program obchodów stulecia, na który przeznaczono 200 mln zł. Wybrano model – by odwołać się do modnych określeń – dyfuzyjny. Złośliwi z kolei mogliby go nazwać pasożytniczym. Postanowiono mianowicie, że zamiast wielkich centralnych programów polskie państwo skorzysta z lokalnej kreatywności i przedstawi oddolne inicjatywy jako część obchodów, wspierając je finansowo. Z jednej strony pomysł, żeby postawić na lokalne pomysły, jest godny pochwały. Z drugiej jednak można odnieść wrażenie, że to trochę wyręczanie się aktywistami przez nie do końca wydolne państwo.

RAZEM, ALE NIE Z NIMI

Przyczyny poczucia niedosytu, może nawet zażenowania, trzeba szukać również

w złej atmosferze politycznej. Mówiąc wprost: w bezprecedensowym w III RP konflikcie. Nie udało się obronić przed nim naszego wielkiego święta, do czego w dużym stopniu przyczyniła się część opozycji. Będąc zakładnikiem własnej retoryki totalnego oporu oraz kwestionowania absolutnie każdej decyzji i każdego działania władzy, musiała uznać, że o jakiegokolwiek formie wspólnego świętowania nie ma mowy. Trudno przecież stanąć na trybunie wspólnie z „gwałcicielami konstytucji”.

Rządzący nie pozostają dłużni. W rezultacie powstaje groteskowa sytuacja, w której z obu stron barykady wrzeszczą na siebie przedstawiciele dwóch obozów, przekonując, że świętować należy razem, ale z tymi drugimi się przecież nie da. Jeśli elita polityczna chciała jakoś przekonać obywateli o swojej niedojrzałości i niezdolności do porozumienia nawet na chwilę i czysto symbolicznie, to jej się z pewnością udało.

Do eskalacji zamieszania i napięcia doprowadziło dwoje przedstawicieli obozu anti-PiS: odchodzący prezydenci Rafał Dutkiewicz we Wrocławiu i Hanna Gronkiewicz-Waltz w Warszawie. Oboje zdecydowali o zablokowaniu marszów organizowanych przez środowiska narodowe, przy czym w Warszawie chodzi o Marsz Niepodległości – imprezę skali krajowej. Prezydent Warszawy nie ukrywała nawet, że kieruje się motywami stricte politycznymi. Po jej decyzji prezydent ogłosił, że niejako przejmując marsz – organizuje na tej samej trasie pochód mający status uroczystości państwowej.

Narodowcy uznali, że to swego rodzaju kradzież ich imprezy. Wrażenie chaosu i kompletnego bałaganu zdominowało nadchodzące uroczystości, a w chwili pisania tego tekstu nie wiadomo, jak konflikt o Marsz Niepodległości się skończy. Bez względu na to, jaki będzie finał, jasne jest, że nie ma już żadnych szans na wspólne święto. Różne środowiska będą świętować i demonstrować przeciwko innym, w atmosferze konfliktu i bałaganu.

Gdy Polska odzyskiwała niepodległość, nie było do końca jasne, kto sprawuje władzę, komu podlega administracja na terenach dawnych zaborów, kto za co ponosi odpowiedzialność. A jednak się udało. Można odnieść wrażenie, że sto lat później niczym rekonstruktorzy próbujemy odtworzyć tamten chaos i znakomicie nam się to udaje. Tyle że my mamy za sobą nie 103 lata zaborów, ale 29 lat niepodległości.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Partia mieszczańska

Dawno, dawno temu, kiedy ważyłem 25 kg mniej, a Lech Wałęsa był największym zagrożeniem dla demokracji, ówczesny polityk Unii Demokratycznej Jan Maria Rokita zaproponował zrobienie z Unii partii mieszczańskiej.

Oczywiście nic z tego nie wyszło. Większości kolegów i koleżanek Rokity słowo „mieszczanin” kojarzyło się wyłącznie z panią Dułską, przez co miało wydźwięk zdecydowanie pejoratywny. Mieszczanie to byli zacofani obłudnicy gustujący w biedermeierze, a udecy chcieli być postępowymi inteligentami cmokającymi nad sztuką awangardową.

Unii Demokratycznej już dawno nie ma, Jan Rokita też spełnia się poza polityką, ale wydaje mi się, że to dobry moment, żeby odkurzyć tę jego koncepcję partii mieszczańskiej, która całkiem dobrze pasuje teraz do PiS.

PiS po pyrrusowym zwycięstwie w wyborach samorządowych głowi się nad tym, co począć ze swoją tożsamością. Dylemat jest z grubsza taki: Czy żeby zapewnić sobie następną kadencję, należy znowu wyżej podnieść rewolucyjne sztandary, czy może raczej wziąć kurs na spokojniejsze, mniej burzliwe wody politycznej i ekonomicznej stabilizacji?

Co do mnie zdecydowanie uważam, że to drugie. Jako społeczeństwo jesteśmy już na tym etapie, że zaczynamy mieć mieszczańskie aspiracje, marzenia i zainteresowania. Oczywiście

ście zapewne patrzeć na świat przez pryzmat siebie oraz swoich bliskich i brak mi socjologicznej głębi. Jednak wydaje mi się, że kiedy odrywam się od medialnych polemik i drepczę w stronę realnego życia, spotykam tam przede wszystkim ludzi umiarkowanych. To znaczy takich, którzy są patriotami, ale nie przesadzają z ostentacją. Szanują tradycję, ale nie mają problemu, żeby zorganizować dla dzieci imprezę halloweenową. Uważają się za oświeconych, ale nie widzą potrzeby, żeby drałować na parady równości albo organizować w podstawówce dzień chłopaka w sukience. Kumplują się z Wietnamczykami z klatki, ale nie widzą sensu w budowaniu na siłę społeczeństwa wielokulturowego.

No cóż, ten obraz jest minimalistyczny. Mało w nim miejsca na wielkie idee, więcej na troskę o to, żeby jakaś kolejna reforma edukacji znowu nie utrudniła życia naszym dzieciom. I żeby każdy kolejny rok kończyć nie tylko z nowymi zmarszczkami, lecz także z kolejną fałdą tłuszczu (to taka niezbyt zgrabna metafora bogacenia się), dzięki której cała rodzina liżnie w wakacje trochę świata.

To nie brzmi szczególnie sexy. I pewnie dlatego pasuje do mnie. Jednak takich mało sexy przeciętniaków jest całkiem sporo. Owszem, nie są zbyt głośni, nie hałasują, na marsze i pikety chodzą od wielkiego dzwo- nu, bo nie mają na to czasu. Ale głosują. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

50 procent

Mało kto zauważa, że świętując stulecie niepodległości, obchodzimy de facto tylko jej połowę. Po zsumowaniu II i III RP z jednej strony oraz Polski pod okupacją i PRL z drugiej okazuje się, że w latach 1918–2018 suwerenni byliśmy jedynie 50 lat. Jednak i taki jubileusz skłania do podsumowań.

Jesteśmy terytorialnie mniejsi (choć bardziej zwarci), a ludność w stosunku do roku 1939 zwiększyła się tylko nieznacznie. Gdyby nie wojna, mielibyśmy pewnie

dziś z USA, NATO i Unią, czyli ze wszystkimi – choć przypominę, w 1939 r. też istniały pakt o nieagresji z III Rzeszą i ZSRS. Tak naprawdę bardzo dobre stosunki mamy ciągle z jednym krajem – z Węgrami, a wtedy mieliśmy z Rumunią (i to nie do końca). Litwini nadal nas nie lubią, Ukraińcy ostrzą zęby, a centrala Komin- ternu (w wersji soft) przenio- sła się do Brukseli. W liczbie Nagród Nobla – remis 1:1, w II RP był Reymont, w III Szymborska. W nauce – pol- skie uczelnie poza pierwszą pięćsetką.

Świat kultury, ongiś pro- rządowy, dziś jest w przewa- żającej mierze opozycyjny. Nasza armia stanowi ułamek dawnej, na obronę wydajemy z dumą 2 proc. PKB, wtedy ok. 20 proc. Czy mamy jakieś wielkie przedsięwzięcia na miarę COP i Gdyni, nie licząc płatnych autostrad? Na razie plany przekopu Mierzei Wiślanej i tunelu w Świno- ujściu. Gdyby ktoś zahiber- nowany jesienią 1918 lub 1938 r. dopiero teraz otwo- rzył oczy, musiałby zobaczyć od razu pełne sklepy, pełne kościoły i wszędzie usta pełne demokracji. Wycho- dząc na Warszawę, w pierw- szej chwili pomyślałby, że wylądował w Nowym Jorku, a w drugiej – podchodząc do Pałacu Kultury – że w Mo- skwie. Pytając przechodniów, kto rządzi, dowiedziałby się, że prezydent, ale naprawdę Naczelnik. Pełnej schizofrenii doznałby jednak po trafieniu na Marsz Niepodległości. Jak to możliwe – endecja obcho- dzi święto piłsudczyków?! Co to się porobiło?! ©©

W latach 1918–2018 suwerenni byliśmy jedynie 50 lat

jakiś 60 mln mieszkańców. Z tego co najmniej jedną trzecią stanowiłyby mniej- szości. Warszawa, z przeszło pięciomilionową populacją, byłaby większa od Madrytu.

Przybysz z międzywoj- nia mógłby zobaczyć kraj bogatszy, czystszy, lepiej skomunikowany. I chyba nieco bardziej podzielony. Partia rządząca miała przed wojną komfort nieskrę- powanej władzy, a totalna opozycja (komuniści) siedziała w więzieniach. A co do innych podobieństw? Handel i przemysł kwitną, choć tak jak i wtedy niewiele z nich znajduje się w polskich rękach. Nasz byt niepodle- gły zabezpieczają sojusze – wtedy z Anglią i Francją,

NIEPODLEGŁOŚĆ JEST DLA NAS WAŻNA

Odzyskanie niepodległości jest jednym z najczęściej wymienianych przez Polaków wydarzeń z przeszłości, stanowiących powód do dumy. Co więcej, znaczenie tego wydarzenia w pamięci zbiorowej Polaków nieustannie rośnie. W 1987 r. o tej rocznicy wspominało 6,3 proc. społeczeństwa, w 2003 r. – 13,1 proc., a w najnowszym raporcie z 2016 r. – 14 proc. respondentów. Polacy wskazują Święto Niepodległości jako rocznicę, która ich zdaniem najbardziej zasługuje na szczególne upamiętnienie – twierdzi tak 73 proc. badanych.

OKOLICZNOŚCIOWE GRAFIKI NA LOKOMOTYWACH

W tym roku przewoźnik postanowił wprowadzić także polskie barwy narodowe na tory. Dwadzieścia lokomotyw PKP InterCity wyróżnia się okolicznościową grafiką ukazującą sposoby świętowania niepodległości przez Polaków. W narodowych barwach pojawiło się sześć maszyn EU44, czyli popularnych husarzy, oraz 14 pojazdów typu EP09. Oklejone lokomotywy są wykorzystywane do obsługi połączeń w całej Polsce i za granicą, m.in. na trasach: Warszawa – Poznań – Berlin, Trójmiasto – Bydgoszcz – Poznań – Berlin, Trójmiasto – Warszawa – Kraków, Przemyśl – Kraków – Opole – Wrocław. Dodatkowo naklejki „Niepodległej”, przedstawiające cyfrowo odświeżony rękopis Józefa Piłsudskiego, zostały umieszczone na 60 nowoczesnych pociągach zespołowych przewoźnika, w tym Pendolino, Flirt oraz PesaDART. Oklejone lokomotywy oraz EZT można podziwiać na torach do końca bieżącego roku.

MURAL W WARSZAWIE

Grafiki z lokomotyw pojawiły się także na wyjątkowym muralu na warszawskim Powiślu. Mural został zainspirowany pracami Polaków, które powstały przy okazji zorganizowanego przez PKP InterCity konkursu w mediach społecznościowych #swietujemyniepodleglosc. Ogromna grafika widoczna jest z okien pociągów przejeżdżających przez Powiśle. Każdy chętny może zobaczyć ją przy ul. Solec 85.

Główną ideą działań PKP InterCity związanych z obchodami stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości jest pokazanie różnych sposobów świętowania tego wyjątkowego wydarzenia. Grafika, która zdobi lokomotywy przewoźnika,



Świętuj niepodległość i odkrywaj Polskę na nowo

Przez ostatnie miesiące PKP InterCity aktywnie włączało się w obchody 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Celem było pokazanie obywatelom, że niepodległość i to, co jej zawdzięczamy, można świętować każdego dnia. Przewoźnik zaplanował wiele wydarzeń, które przybliżyły pasażerom kolej i jej historię oraz tradycję i kulturę różnych regionów naszego kraju, a także pozwoliły odkryć najciekawsze zakątki Polski

i mural ukazujący obywateli, którzy na swój sposób cieszą się z odzyskanej wolności.

WAŻNE MIEJSCA NA MAPIE POLSKI

Przewoźnik na co dzień udostępnia bogatą ofertę, dzięki której Polacy mogą przemierzać kraj wzdłuż i wszerz. To okazja, żeby zobaczyć wiele ciekawych zakątków, które są na wyciągnięcie ręki. Pociągami dojedziemy w najdalsze regiony Polski – zarówno nad morze, jak i w góry. PKP InterCity postanowiło w tym roku przybliżyć Polakom szczególne miejsca, które są bezpośrednio związane z odzyskaniem przez Polskę

niepodległości. We współpracy z biurem Programu Niepodległa i Polską Organizacją Turystyczną we wrześniu zorganizowano cykl darmowych spacerów z przewodnikami po największych polskich miastach. Uczestnicy mieli okazję zwiedzić Gdynię, Kraków, Poznań oraz Warszawę. „Poznanie Polski to także odkrywanie jej historii, tradycji i kultury. W tym wyjątkowym roku postanowiliśmy dodatkowo zachęcić Polaków do tego, aby odwiedzili wszelkie miejsca istotne z punktu widzenia wydarzeń sprzed stu lat. Bądźmy dumni z naszego wyjątkowego kraju” – mówi Marek Chraniuk, prezes PKP InterCity.

Sprostowanie do sprostowania

Znieskrywaną niechęcią przystępuję do odpowiedzi na „Sprostowanie” Anny Gielewskiej i Marcina Dzierżanowskiego („Do Rzeczy” nr 45/2018) w związku z moją krytyką ich skandalicznej pod względem warsztatowym i faktograficznym książki „Macierewicz. Biografia nieautoryzowana”. Moja niechęć bierze się stąd, że na dobrą sprawę urażeni autorzy niczego nie prostują, zaś niemal każdy (bo nie do wszystkich uwag się odnieśli) z podniesionych przeze mnie zarzutów kwituje uroczystym oświadczeniem, że „nie jest [to] prawdą”.

W ten sposób praktycznie wszystkie ze wskazanych przeze mnie błędów i uchybień pomieszczonych w książce zostały uznane za niebyłe! Jest to raczej rodzaj ogłoszenia, nie zaś sprostowanie, z niezliczoną ilością zaprzeczeń, iż to czy tamto „nie jest prawdą” lub „nieprawdziwe jest stwierdzenie”. Powinienem na to odpowiedzieć powtórzeniem publikacji mojej i tak przydługiej recenzji (zarówno tej z tygodnika, jak i z portalu internetowego napisanej wspólnie z Michałem Kozłowskim) lub do każdego stwierdzenia Gielewskiej i Dzierżanowskiego, że coś tam „nie jest prawdą”, dopisać, że „nie jest prawdą, że nie jest prawdą”... I w ten sposób równie merytorycznie jak autorzy zbiłbym ich „argumentację”.

Co z tego, że autorzy tego kuriozalnego „Sprostowania” dwukrotnie zaprzeczyli, że ich

mentorem i drogowskazem był zacny uczony z PAN prof. Andrzej Friszke, skoro wytapetowali swoją książkę jego cytami, dziękując mu w dodatku za pomoc przy powstaniu tego swoistego dzieła. Zresztą sam Uczony Profesor udzielał na lewo (rzadziej na prawo) wywiadów (w tym wideo), w których autoryzował owoc pracy Gielewskiej i Dzierżanowskiego. Podobnie jest z opisem marca 1968 r., w którym znajdujemy nawet relację perypetii prof. Friszkego z Macierewiczem po ukazaniu się jego książki o „komandosach”. Friszke snuje domysły (a jakże, razem z płk. Janem Lesiakiem z SB) na temat ewentualnego uwikłania i związków Macierewicza z tajnymi służbami w kontekście zainteresowania nim ze strony kierownictwa Departamentu I MSW. Jednak te liczne brednie w oczywisty sposób nie świadczą o jakichkolwiek związkach autorów i ich „dzieła” z Uczonym Profesorem, bo przecież „nie jest prawdą, że prof. Andrzej Friszke inspirował autorów...”.

I tak jest w zasadzie w każdej sprawie. Jeśli się konstruuje opowieść na insynuacjach i domysłach oraz wkomponowanych w tę nienawistną narrację zaprzeczających bezpieczników budujących pozór obiektywizmu, to łatwo w sytuacji konfrontacji „odwracać kota ogonem”. Najpierw Gielewska z Dzierżanowskim (pomijając monografię na ten temat) napisali, że Adam Macierewicz, dziadek Antoniego Macierewi-

cza, „nie pełnił jednak funkcji szefa żadnej z tych organizacji [polskich w Rosji], a komitet Pomocy Społecznej prawdopodobnie nie istniał”, a teraz wyliczają litanię organizacji, w których działał, z prostującym zaklęciem o „nieprawdziwości” moich zarzutów.

Najlepszym przykładem próby delegitymizacji przodków Antoniego Macierewicza przez autorów książki są sprawa sugerowanej kolaboracji Adama Macierewicza z Niemcami i handel mieniem pożydowskim. W „Sprostowaniu” autorzy „Biografii nieautoryzowanej” także napisali, że zarzutu takiego nie sformułowali. To dlaczego na pięciu stronach swojej książki ciągną ten wątek, który starają się uwiarygodnić, podając fragmenty ogłoszeń Macierewicza z „Nowego Kuriera Warszawskiego”, informując czytelników, że ogłoszenia były publikowane po zamknięciu getta? Każdy złapie ten przekaz – rodzina Macierewiczów przejmowała majątki pożydowskie i nimi handlowała! Dodatkowo jako znawca tej tematyki wypowiada się Jan Grabowski z Centrum Badań nad Zagładą Żydów, chociaż jego wypowiedź nie ma nic wspólnego z Adamem Macierewiczem. Pomimo tego wszystkiego autorzy na koniec stwierdzają (s. 81), że kamienica przy ul. Elsterskiej 5 została nabyta przez rodzinę podczas wojny, co ma sugerować przejęcie jej po zgłodzonych Żydach. To, że gdzieś w przypisie (niczym na paczce papiero-

sów, gdzie widnieje napis o ich szkodliwości) znajdujemy bezpiecznik w postaci zdania, że rozważania Grabowskiego nie odnoszą się do Macierewicza – nie ma tu nic do rzeczy! Tak jak nie mają znaczenia obecne zaklinania autorów, że niczego takiego nie sugerowali. Daleki jestem od porównań historycznych (w tych celował swego czasu Friszke, porównując do SB autorów książki o przeszłości agenturalnej Wałęsy), więc nie będę przywoływał tu w szczegółach narzucającej się analogii do operacji propagandowo-wywiadowczej PRL demaskującej Jana Nowaka-Jeziorańskiego jako handlarza mienia pożydowskiego.

Czytając tę zawartą w „Sprostowaniu” selektywną listę zaprzeczeń z często absurdalnymi dowodami własnej niewinności (tak jak w przypadku piętrowych i spiskowych interpretacji notatki gen. Zdzisława Sarewicza z 4 września 1984 r., których się teraz wypierają), pomyślałem przez chwilę, że autorzy „Biografii nieautoryzowanej” po prostu nie znają treści książki, którą sami napisali. Jednak mówiąc słowami klasyka (zapewne nieprzypadkowo jeden z autorów książki urządził sobie z nim małą sesyjke foto), „pomyślenie w ten sposób byłoby zbrodnią”. Odrzuciłem zatem tę herezję i od razu oświadczyłem wobec siebie, iż „nie jest prawdą, że treść pseudobiografii Macierewicza jest nieznana Gielewskiej i Dzierżanowskiemu”. „Nie jest prawdą”... ©

Sławomir Cenckiewicz

PUBLICYSTYKĄ BEZ DATY WAZNOŚCI, OSTRA JAK **BRZYTWA**

Ćwierć wieku temu **Polacy
zwolnili się z myślenia**

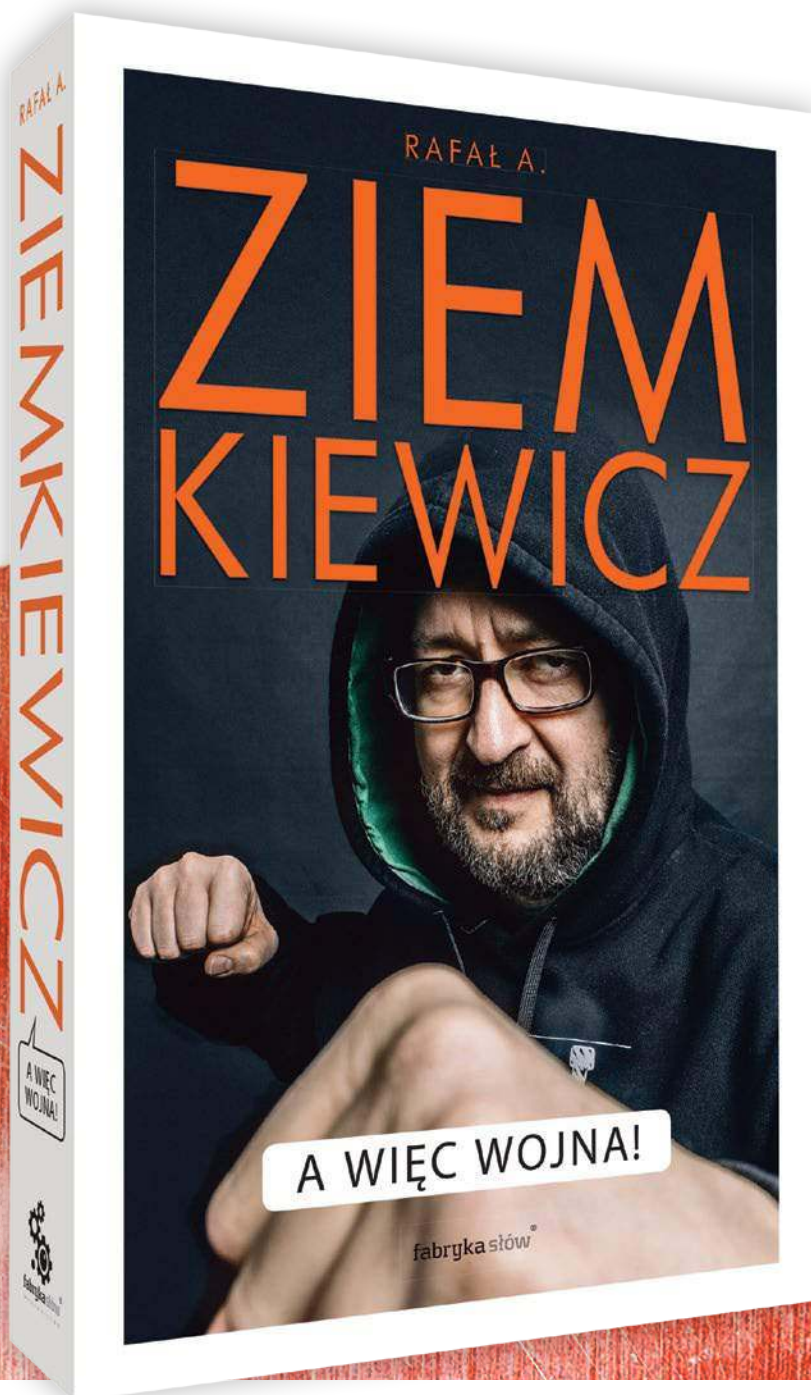
o świecie i przyszłości.

Nasze elity, a w ślad za nimi
rzesze zwykłych obywateli
uznały, że wszystko,

**co słuszne, zostało już
wymyślone - tam,
na Zachodzie.**

A jeśli coś jeszcze pozostaje
do wymyślenia, to też oni, tam,
to wymyślą. Nam wystarczy
naśladować, implementować
standardy i pławić się
w radosnej bezmyślności.
Oni tam wiedzą, dokąd
prowadzą świat, a my
małpujemy i wypełniamy
zalecenia, dzięki czemu
u nas też będzie tak samo.

**Może to jest
ten właśnie
moment, kiedy
powinniśmy się
zapytać, czy
naprawdę tego
chcemy?**



II RP

– zmarnowana szansa?

Józefowi Piłsudskiemu nie udało się stworzyć federacji państw, która mogłaby dysponować siłą porównywalną z Niemcami czy Rosją. Nie zrealizowano też koncepcji Romana Dmowskiego zakładającej stworzenie państwa zamieszanego głównie przez Polaków. W opinii uczestników dyskusji wspaniały wysiłek społeczeństwa nie został jednak zmarnowany. Tak szybkie zorganizowanie sprawnie działającego państwa było ewenementem w historii. Z perspektywy czasu możemy jednak ocenić, że w niektórych kwestiach popełniono błędy.

II RP, której jedną trzecią mieszkańców stanowili przedstawiciele mniejszości narodowych, posiadała wady obu koncepcji, jednocześnie była pozbawio-



Marcin Bartnicki

– Wojna 1920 r. stworzyła nasz naród, scaliła go z trzech części – mówił Krzysztof Masłoń. W redakcji „Do Rzeczy” odbyła się debata na temat federacyjnej i inkorporacyjnej koncepcji odbudowy Rzeczypospolitej po odzyskaniu niepodległości

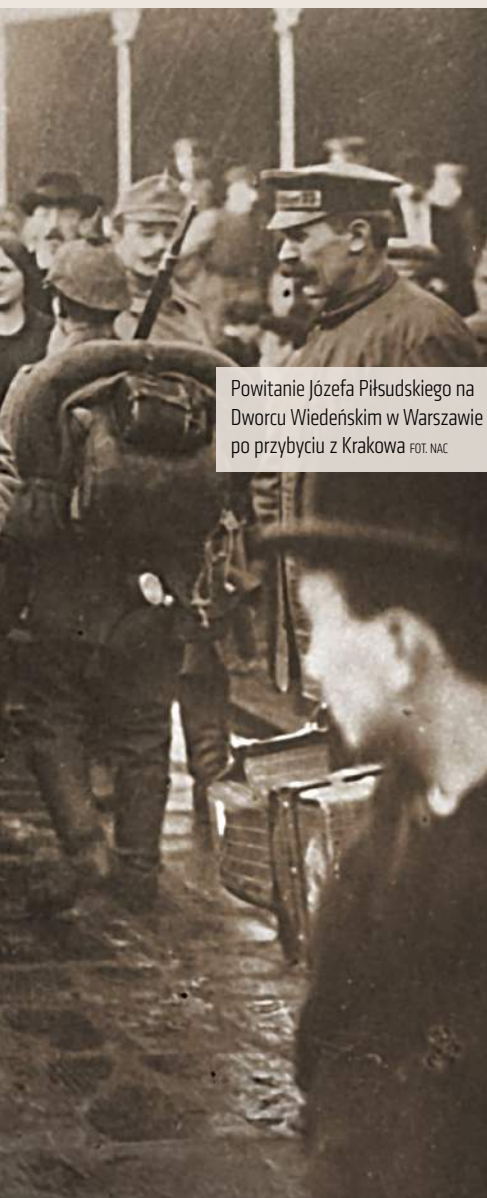
na zalet każdej z nich. Polityka wobec mniejszości narodowych nie dążyła do rozwiązania istniejących problemów, co dodatkowo osłabiało potencjał państwa.

– Czynnikiem, którym jest ludzka głupota, odegrał w tym dużą rolę. Sposób rządzenia tym państwem był daleki od doskonałości, szczególnie na Wscho-

dzie – mówił prof. Andrzej Chojnowski z Uniwersytetu Warszawskiego.

UPADEK MIĘDZYMORZA

W opinii prof. Chojnowskiego koncepcji federacyjnej nie udało się zorganizować, ponieważ Józef Piłsudski nie docenił znaczenia sytuacji wewnętrznej. Znisz-



Powitanie Józefa Piłsudskiego na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie po przybyciu z Krakowa FOT. NAC

leżć się w układzie federacyjnym z krajami na Wschodzie, czy ma prowadzić politykę imperialną. Sejm Ustawodawczy jednoznacznie przyjął politykę imperialną. Wszystkie debaty, które toczyły się wtedy w Sejmie równoległe z ruchami wojsk na Wschodzie, pokazywały, że Piłsudski ze swoją koncepcją nie ma żadnego zaplecza politycznego, ponieważ Sejm, w którym dominowała endecja, jest przeciwny takiemu rozwiązaniu – mówił Zbigniew Gluza. W jego opinii Piłsudski nie miał szans wprowadzenia w życie idei Międzymorza. Opinię tę podziela również Krzysztof Masłoń, według którego koncepcja Piłsudskiego od początku była skazana na niepowodzenie.

– Wszystkie debaty koncentrują się na tym, co się działo na zewnątrz, przy kształtowaniu granic, natomiast bardzo mało mówi się o tym, jak kraj powstawał od wewnątrz. W literaturze tego okresu dominuje radość społeczeństwa, które nie wnikało w kształt przyszłej Polski, ludzie cieszyli się, że ta Polska w ogóle będzie – mówił Masłoń. Zwracał uwagę, że był to czas budzenia się świadomości narodowych w naszym regionie, co zdominowało dyskurs również w Polsce. – Rzeczywistość pokazała, że na Litwie i w Polsce pomysł Piłsudskiego kompletnie nie znajdował zrozumienia. Nie tylko endecja uznała jego ideę za renegacką. Z punktu widzenia ówczesnego przeciwnego Polaka nowe państwo powinno pilnować tego, co jest nasze – stwierdził Masłoń.

LITEWSKA PORAŻKA

Prowadzący debatę Piotr Zychowicz przypomniał o pomysle, aby odtworzone Wielkie Księstwo Litewskie podzielić na trzy kantony. Litewski – ze stolicą w Kownie, polski – ze stolicą w Wilnie i białoruski, którego stolicą miał być Mińsk.

– Piłsudski jako podskórny demokrata szukał partnerów, bo federacja mogła się udać, gdyby byli do niej partnerzy. Okazywało się, że tych partnerów właściwie nie ma. Nie było entuzjazmu na Litwie, a Białorusini nie mieli jeszcze na tyle wykształconej świadomości narodowej, aby być poważnym partnerem. Reprezentowało ich właściwie kilkunastu inteligentów – twierdził prof. Chojnowski. Dlatego idea odbudowy Wielkiego Księstwa Litewskiego była skazana na porażkę.

– Wraz z pojawieniem się nacjonalizmów pojawiły się konflikty o granice i miasta. Spór o Wilno w brutalny sposób

zakończył „bunt” Żeligowskiego – przypominał Zychowicz. Uczestnicy debaty zgodzili się, że nie było dobrego rozstrzygnięcia konfliktu o Wilno, ale rozwiązanie siłowe przyniosło wiele negatywnych konsekwencji.

Zdaniem Zbigniewa Gluzy po zastosowaniu takich zabiegów nie można już było liczyć na żadnych sojuszników na Wschodzie i zamykało to wszelkie drogi prowadzące do porozumienia. – Polska nie potrafiła jasno określić celu ani zdefiniować swojej polityki. Była traktowana jak zaborca, co już po ustaleniu granic zaburzyło politykę wewnętrzną. Wilno wydaje mi się znakiem charakterystycznym całego procesu. Mogło być miastem, które pokazuje cywilizowany sposób rozwiązywania takich sporów – oddaje się głos mieszkańcom i wykonuje ich wolę – wyjaśniał Zbigniew Gluza. W jego opinii w roku 1920, ale również później, w 1938 r., Polska popełniała błędy w polityce wobec Litwy. – Doprowadziliśmy do tego, że Litwini nienawidzili nas całymi sobą. Stworzyliśmy wroga, co prawda – słabego w sensie militarnym i społecznym, ale bardzo zajadłego. Tak polityki państwa nie powinno się prowadzić. Ani wtedy, ani teraz – twierdzi Gluza. Przyznaje jednak, że nie było wielkich szans na porozumienie z Litwinami.

– Przy całym szacunku dla Marszałka momentami wydaje się, że bujał bardzo w obłokach – stwierdził Krzysztof Masłoń. Przywołał przykład Czesława Miłosza, uznającego się za krajowca – Litwina o języku narodowym polskim, który przyznawał jednak, że grupa ludzi myślących w podobny sposób zawsze była bardzo nieliczna.

UKRAIŃSKI BŁĄD

Uczestnicy debaty zgodnie stwierdzili, że koncepcja budowy niezależnego państwa ukraińskiego na podstawie sojuszu z Symonem Petlurą miała niewielkie szanse powodzenia, a nawet była naiwna. – Pionek, z którego Piłsudski na odcinku ukraińskim chciał zrobić figurę, może nie hetmana, ale przynajmniej wieżę, czyli nacjonalizm na wschodzie Ukrainy, okazał się zbyt słaby. Nawet jeżeli Petlura miał jakieś pomysły czy ochotę, aby porozumieć się z Polską, to okazało się, że on nic na Ukrainie nie znaczy, nie ma żadnego zaplecza – stwierdził prof. Chojnowski. Historyk zwracał uwagę, że władze Ukraińskiej Republiki Ludowej właściwie nigdzie nie były w stanie rządzić

czona I wojną światową Polska – zarówno gospodarczo, jak i mentalnie – w 1918 r. była już innym krajem niż w 1914 r. i przedwojenne koncepcje nie pasowały do nowego społeczeństwa. Tego samego zdania jest prezes Fundacji Ośrodka Karta Zbigniew Gluza, który twierdził, że w debacie publicznej na temat odzyskania niepodległości pomija się to, iż w 1918 r. zmieniliśmy sojusze i z obozu przegranych przeszliśmy na stronę zwycięzców, de facto wygrywając wojnę. Przesądzało to o granicach państwa, które budowaliśmy.

Gdy w kwietniu 1919 r. Piłsudski wkroczył z wojskiem do Wilna, Litwini odmówili tworzenia wspólnego federacyjnego państwa z Polską. – Wtedy zaczął się najbardziej znaczący spór w rodzącej się Rzeczypospolitej, tzn. czy Polska ma zna-



W debacie wzięli udział (od lewej): Zbigniew Gluza, Piotr Zychowicz, Marcin Bartnicki, prof. Andrzej Chojnowski i Krzysztof Masłoń. FOT. JERZY DUDEK

■ efektywnie. – Na terenach, na których Petlura formalnie rozciągał swoją jurysdykcję, toczyły się ostre walki i pogromy. Później był oskarżany przez Żydów, że tych pogromów dokonywały wojska URL. Prawda była jeszcze bardziej okrutna dla Petlury – on w ogóle nie panował nad sytuacją. Każdy, kto zebrał kilkuset jeźdźców z karabinami, mógł rządzić na swoim obszarze. Takich samowolnych atamanów było bardzo wielu – zauważa prof. Chojnowski. Ukraińcy stworzyli co prawda zręby państwa prawa, ale w praktyce wcielanie w życie decyzji władz centralnych postępowało bardzo wolno. Jednocześnie dla władzy URL nie było wystarczająco dobrej alternatywy.

– Na Ukrainie, poza nielicznymi wyjątkami, nie było partnera do rozmowy. Masy ukraińskie albo nie wiedziały, o co chodzi, albo traktowały obecność Polaków jak zagrożenie. Dlatego Polska nie mogła rządzić na Ukrainie inaczej niż siłą. To znalazło swoją kontynuację w okresie międzywojennym. Na poziomie codziennych stosunków społecznych partnerstwa nie było – twierdzi prof. Chojnowski.

Równie krytycznie do polityki wobec Ukrainy odnosi się Zbigniew Gluza. – Koncept ataku na Kijów, gdy nie ma się tam sojuszników, nie ma szans na porozumienie z narodami na Wschodzie, wygląda na szaleństwo – twierdzi prezes Ośrodka Karta. Jego zdaniem nieulożenie relacji z Ukraińcami było jednym z największych polskich błędów XX w., który przełożył się również na przebieg II wojny światowej.

– Obrona Lwowa była naturalnym odruchem polskich mieszkańców, natomiast cała wojna polsko-ukraińska w 1919 r. była następstwem nieumiejętności zdefiniowania naszych relacji. Wygraliśmy tę wojnę, ale było to gorzkie zwycięstwo. Od tego czasu nie było już właściwie żadnych konstruktywnych relacji z Ukraińcami. Gdy

patrzy się na rozwój bolszewickiej Rosji, a później faszystowskich Niemiec, ma się wrażenie, że wyłącznie układ z Ukrainą mógł dać nam jakiś rodzaj oporu, jakąś siłę społeczną, i w ostatecznym rozrachunku militarną, która mogłaby się oprzeć tym totalitarnym potworom – mówi Gluza. W jego ocenie to, że Polska przegrała swoją państwowość po II wojnie światowej, było w największym stopniu rezultatem tego, że domagano się włączenia w jego granice Kresów Wschodnich.

– To było absurdalne. Było jasne, że Stalin się z kresów nie wycofa. Daliśmy dowód, że nie reagujemy na rzeczywistość, tylko mówimy o marzeniach. To marzenie związane ze Lwowem i z Wilnem obciążało całą naszą politykę. To, że tak skrajnie przegraliśmy II wojnę i na końcu nie mieliśmy nic do powiedzenia, było skutkiem tego, iż zgłaszaliśmy postulaty całkowicie nierealistyczne. Ten błąd wynikał z polityki II RP – stwierdził prezes Ośrodka Karta.

Krzysztof Masłoń zaprzecza, aby ułożenie się z Ukraińcami mogło zmienić sytuację geopolityczną Polski. Zgadza się jednak, że błędy popełnione w polityce wobec Ukraińców wywołały na Wschodzie nienawiść wobec Polaków, której następstwem była rzeź wołyńska. – Piłsudski postawił na konia, który biegł samopas. Jednak nawet, gdybyśmy bili się wspólnie z nimi o Lwów i Ukrainę, nawet gdyby powstała niepodległa czy, co bardziej prawdopodobne, autonomiczna Ukraina, to taki sam koniec czekałby i ich, i nas. Taki musiał być los organizmu, który dostał się w tryby Rosji sowieckiej i III Rzeszy – mówi Masłoń.

STRACONA SZANSA

Sceptycznie do możliwości zbudowania strategicznych, dobrych relacji z Ukraińcami w czasach II RP

odnosi się prof. Andrzej Chojnowski. Zwracał uwagę, że niechęć Ukraińców do II RP była głęboka, a Polska była przez wielu uznawana za okupanta. W opinii prof. Chojnowskiego atmosferę niechęci można było rozładować kompromisami w drobnych kwestiach. – Pisano o tym w nacjonalistycznej prasie endeckiej: Jaki oni mają wybór? Kończy taki chłopak uniwersytet i co potem? Nie może zostać urzędnikiem, nauczycielem, w wojsku albo zostać oficerem. Ma do wyboru albo zostać działaczem gospodarczym, albo terrorystą. Sama Polska ich do tego popychała. To jest ta wielka sztuka, której polscy politycy nie potrafili realizować: wciąganie do współodpowiedzialności przeciwnika politycznego neutralizuje go – mówił prof. Chojnowski.

Jak zauważa Zbigniew Gluza, już w pierwszych tygodniach po odzyskaniu niepodległości widać było ogromny wybuch energii społecznej, na którą Polacy zapracowali we wcześniejszych dekadach. Ten kapitał społeczny nie został zmarnowany. Udało się porozumieć najważniejszym stronnictwom politycznym i niemal jednomyślnie przyjęto konstytucję. Zbudowanie ładu wewnętrznego – jak się później okazało, bardzo kruchego – nie szło jednak w parze z utrwalaniem podobnego porządku na arenie międzynarodowej. Pokój ryski zatwierdził układ, który był nieprzemyślany i niekorzystny dla Polaków, Sowietów i całego regionu. – Powiększyliśmy państwo, ale Zachód nie przyjął rozstrzygnięć traktatu ryskiego. Uznawano, że porządkujemy Europę według swoich postulatów, których alianci nie aprobują. Nie umieliśmy ustawić rzeczywistości geopolitycznej – mówi Gluza.

Debatę podsumował Krzysztof Masłoń: – To dobrze, że przy okazji rocznicy odzyskania niepodległości mówimy o sprawach trudnych i tych, którymi nie możemy się szczycić, bo jednak nie mamy drugiego takiego okresu historycznego jak te 20 lat, które rozpoczęły się w roku 1919. To wojna 1920 r. stworzyła nasz naród, scalała go z trzech części. Powinniśmy też patrzeć na fantastyczny zryw narodu i osiągnięcia II RP, ogromne jednak jak na zaledwie 20 lat. Powinniśmy cieszyć się tą rocznicą, którą możemy świętować. Oby tylko nie sprowadzało się to do stwierdzenia, że Józef Piłsudski miał zawsze rację. Nawet jeśli tę rację miał prawie zawsze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYSK | IZABELA TROJANOWSKA
RAFAŁ BARTMIŃSKI | ŁUKASZ DRAPAŁA | KRZYSZTOF KILJAŃSKI | MAREK PIEKARCZYK | ADAM SZERSZEŃ
JAKUB WOCIAŁ | MATEUSZ ZIOŁKO | ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI
ORAZ ORKIESTRA SINFONIA VIVA POD DYREKCJĄ JANA STOKŁOSY

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

BILETY DO NABYCIA W KASIE GŁÓWNEJ TEATRU

UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 6

ZAPRASZAMY: PONIEDZIAŁEK-PIĄTEK 10.00-19.00 SOBOTA-NIEDZIELA 12.00-19.00

niepodległa | FUNDACJA
KULTURY WYSTĘPÓW
MUSYKALNYCH

MECENASI KONCERTU

PGNiG

LOTOS

Enea

PATRONAT MEDIALNY

DO RZECZY

wprost

Jedynka
KROKOWSKIE

PARTNERZY

Poczta Polska

LOTTO

FUNDACJA
KULTURY WYSTĘPÓW
MUSYKALNYCH

PZU

FUNDACJA

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości

eprasa.pl 15c42f3



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Kulisy Holokaustu

Książki o Holokauście z reguły pisze się na dwa sposoby. Pierwszy typ to wielkie syntezę przedstawiające genezę i realizację „ostatecznego rozwiązania”. Ich autorzy skupiają się na mechanizmie Zagłady, procesie podejmowania decyzji i roli poszczególnych niemieckich urzędników oraz oficerów. Pokazują, jak III Rzesza się zradycalizowała i od programu deportacji Żydów przeszła do programu masowej eksterminacji.

Drugi typ książek to mikrohistoria, czyli rekonstrukcja losów poszczególnych ludzi. Ofiar, morderców lub świadków Zagłady. Przedstawienie dziejów wymordowanych żydowskich miasteczek czy gmin. Albo – odwrotnie – niemieckich oddziałów egzekucyjnych.

Tylko niektórzy badacze decydują się na połączenie tych dwóch form. Czyli podejmują próbę zarysowania w jednej książce zarówno samego procesu Holokaustu, jak i losów jego ofiar. Taką technikę zastosował brytyjski historyk Laurence Rees. Efekt jest znakomity. Jego „Holokaust” to epicka panorama, która prowadzi nas przez korytarze Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy do zaułków sztetli we wschodniej Polsce. W książce znalazły się fragmenty

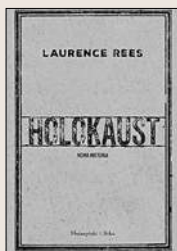
setek rozmów, które autor przeprowadził ze świadkami historii.

Ujęcie takie daje nam uniikalną szansę zobaczyć, w jak tragiczny sposób decyzje podejmowane przez biurokratów w odległym Berlinie wpłynęły na życie milionów ludzi.

Rees opisuje wstrząsającą scenę, która rozegrała się na rampie obozu w Auschwitz podczas przyjęcia kolejnego transportu. Więźniowie z Sonderkommando poradzili młodej Żydówce, żeby wysłała swoje dziecko do komory gazowej. Był to bowiem jedyny sposób, aby przeszła pozytywnie selekcję. Kobiety z dziećmi były automatycznie wysyłane na śmierć.

„Jak w ogóle mogło dojść na świecie do takiej sytuacji? – pyta Rees. – Jak normy zwykłej przyzwoitości i moralności mogły zostać tak niewyobraźalnie odwrócone, że jedyną szansą młodej matki na przeżycie więcej niż jednego dnia było odebranie i zamordowanie jej dziecka? Ogólniej rzecz ujmując, z jakich powodów naziści postanowili zgładzić całą grupę ludzi? Dlaczego dusili gazem, rozstrzeliwali, morzyli głodem, katowali na śmierć miliony mężczyzn, kobiet i dzieci – zabijając w każdy możliwy sposób?”

Odpowiedzi na te pytania znajduje państwo w książce „Holokaust”. ©©



★★★★★
LAURENCE REES
„HOLOKAUST.
NOVA HISTORIA”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Młodość wirtuoza

Na początku XX stulecia Eskimosi nazwali „Paderewski” wyjątkowo smaczną odmianę ziemniaków. I chociaż żaden z mieszkańców mroźnej Północy zapewne nigdy nie słyszał na żywo wirtuoza, to nazwisko pianisty było dla nich symbolem doskonałości. Natomiast Georges Clemenceau

Paderewski marzył jednak o karierze pianisty koncertowego i jeszcze w trakcie nauki wybrał się z kolegami (skrzypkiem i wiolonczelistą) na pierwsze tournée. Wędrowkę po kresowych miasteczkach zakończyli w policyjnym areszcie – posądzeni o propagandę antyrządową. Zwolnieni po interwencji ojca Ignacego, nie zmienili jednak planów. Rok później wybrali się (tym razem w duecie) jeszcze dalej na wschód – do guberni rosyjskich. Tournée ponownie zakończyło się klęską, tym razem stary pan Paderewski musiał przysłać pieniądze, umożliwiając powrót synowi do Warszawy.

**Jeden z pedagogów
sugerował mu nawet
zajęcie się grą
na puzonie**

(premier Francji), podczas konferencji paryskiej, głośno ubolewał, że Paderewski zajął się polityką. Uważał, że to wyjątkowa degradacja dla artysty, wirtuoza o światowej sławie. Dla Paderewskiego odrodzenie Polski po latach niewoli miało większe znaczenie niż własne osiągnięcia artystyczne.

Ignacy Jan Paderewski urodził się 18 listopada 1860 r. w Kuryłowie na Podolu. Pochodził z niezamożnej rodziny szlacheckiej, matka zmarła kilka miesięcy po jego urodzeniu, ojciec utrzymywał rodzinę (Ignacy miał jeszcze siostrę), pracował jako administrator w jednym z miejscowych majątków. Przyszły pianista w wieku 11 lat rozpoczął naukę w warszawskim Instytucie Muzycznym, jednak podczas studiów bardzo różnie oceniano jego talent. Jeden z pedagogów sugerował mu nawet zajęcie się grą na puzonie!!!

Po zakończeniu nauki Ignacy pozostał w instytucie jako nauczyciel w niższej klasie fortepianu. Zajęcie nie przynosiło oszałamiających dochodów, dorabiał, udzielając prywatnych lekcji, grywał na różnych wieczorkach, czasami w dość prymitywnych warunkach. Po latach wspominał, że w pewnym uzdrowisku znalazł fortepian o tak zużytych mechanizmach, iż młoteczek nie wracały na swoje miejsce po uderzeniu w klawisze. Sytuację uratował jeden z widzów – podczas koncertu stanął za instrumentem i prętem spychał młoteczek w dół. Po występie Paderewski usłyszał opinię, że „ten, który grał z tyłu pianina [...] był lepszy [...]”. To był prawdziwy artysta!“. Nikt wówczas nie przypuszczał, że „ten gorszy artysta” za 10 lat będzie zapełniał największe sale koncertowe świata. ©©

XXVII TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM, ARKADY KUBICKIEGO



1918-2018

Patronat Narodowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

niepodległa

POLSKA
STULECIE ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Projekt realizowany
w ramach obchodów stulecia
odzyskania niepodległości

29 LISTOPADA – 2 GRUDNIA 2018 R. GODZ. 10:00-18:00

WSTĘP WOLNY

**TARGI KSIĄŻKI
HISTORYCZNEJ**



www.historiaikultura.pl

Ponad 200 wystawców z całej Polski • Największa oferta książek historycznych • IX Salon Książki Muzealnej
Zajęcia dla młodzieży i dzieci • Konferencje i spotkania z autorami

Organizatorzy:



Patroni honorowi:



Partnerzy:

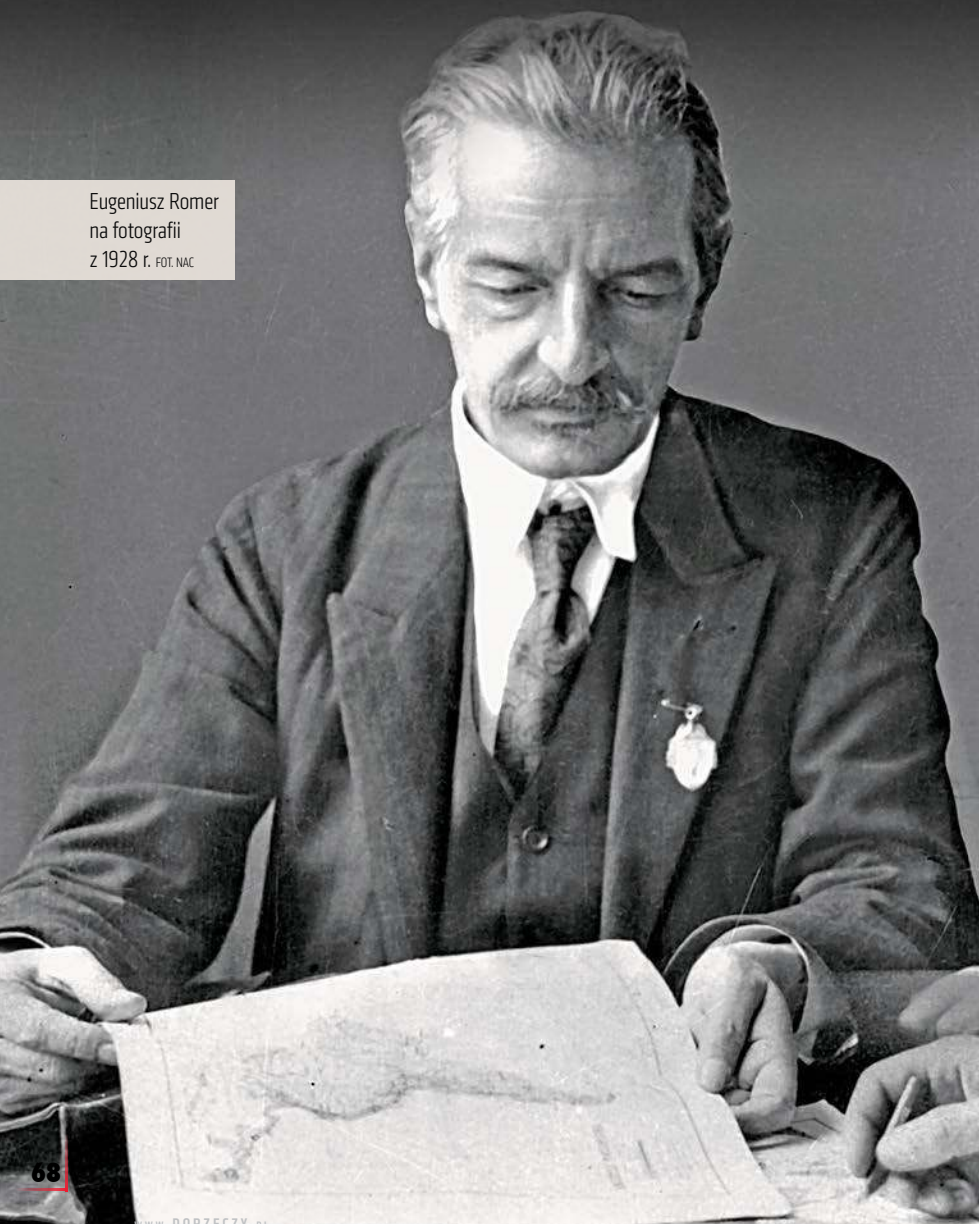


Patroni medialni:



Mapy niepodległości

Eugeniusz Romer
na fotografii
z 1928 r. FOT. NAC



Adam Zubeck

Stworzenie tych map w czasie, gdy Polska była dla wielu pojęciem abstrakcyjnym, było – jak określił to amerykański ekspert – „najlepszym z dobrych uczynków, które zrobiono dla sprawy polskiej”

Tego dnia spokojny zwykle prof. Albrecht Penck wpadł we wściekłość. Jak ten lwowski geograf miał czelność coś takiego opracować i wydać?! To skandal i zdrada! Profesor bezzwłocznie złożył zawiadomienie do władz wojskowych, wnioskując o konfiskatę publikacji i aresztowanie autora pod zarzutem zdrady stanu.

Autorem „skandalu” był Eugeniusz Romer, jego student z czasów wiedeńskich sprzed niespełna 10 lat. Profesor Penck był zaś jednym z najwybitniejszych europejskich geografów początków XX w. Do jego katedry na uniwersytecie w Wiedniu, a potem w Berlinie (Penck był Niemcem) ciągnęły z całej Europy pielgrzymki geografów i kandydatów na geografów. A przyczyna irytacji profesora nosiła nazwę „Geograficzno-statystyczny atlas Polski”. Należy jeszcze dodać, że był to rok 1916.

BOMBA PROFESORA ROMERA

Co to za mapy! Jaka Polska! Jacy Polacy! Co to za jakieś plamy i linie na mapie pogranicza niemiecko-rosyjskiego?! Romer po dwóch rozprawach sądowych został oczyszczony z zarzutów. Wstawili się za nim komendant Wojskowego Instytutu Geograficznego w Wiedniu gen. A. Hübl, a także arcyksiążę Stefan Habsburg, uznając atlas za dzieło naukowe. A jednak okazało się, że rację miał prof. Penck, widząc w atlasie bombę podłożoną pod obowiązujący od stu lat porządek europejski. Bomba została zdetonowana przez Romera trzy lata później, podczas konferencji pokojowej w Wersalu. Atlas i jego twórca stali się doniosłymi atutami w grze o powrót Polski na mapę Europy.

Nawiasem mówiąc, „wybuchowy charakter” dzieła Romera został też zauważony przez Amerykanów. Robert H.

Lord, ekspert prezydenta Wilsona, wielki sojusznik sprawy polskiej, tak pisał o atlasie: „jest prawdopodobnie najlepszym kluczem do zrozumienia problemu polskiego... Zawiera tyle dynamitu, że rządy centralnych imperiów długo starały się, aby nie wydostał się on za granicę”.

Czym była bomba Eugeniusza Romera? Jak doszło do jej skonstruowania? To zaledwie 32 luźne kartki w niewielkim formacie (35 x 32 cm) z ponad 50 mapami i mapkami oraz obszernymi informacjami tekstowymi. Jednak już sam tytuł publikacji mógł być uznany za prowokację. Polski nie było, starano się używać sformułowania „ziemie polskie”, „ziemie dawnej Polski”. A tu – „Geograficzno-statystyczny atlas Polski”. Nie miał też wątpliwości Romer, że w swoim atlasie musi objąć Rzeczpospolitą w granicach z 1772 r. We wstępie stawia Romer pytania: „Jakie ślady pozostały po dawnym, wielkim państwie, które runęło w gruzy pięć ćwierci wieku temu? Czy i jakie piętno wyryło na społeczeństwie, niegdyś lepiej spojonem, życie pod trzema rządami? Jakie są narodowe, społeczne i gospodarcze podstawy kwestyi polskiej?”.

DLACZEGO JESZCZE NIE ZGINĘŁA?

Romer już w wydanej w 1904 r. „Geografii ziem polskich” sformułował tezę: „Polska jest to kraina przedstawiająca geograficzną całość i w tym tkwi przyczyna, że mimo politycznego rozbitcia jeszcze nie zginęła. Pojęcie Polski jest silniejsze od chwilowego zbiegu faktów historycznych i przeobrażeń politycznych”. W 1916 r. wystarczyły mu te 32 kartki, żeby udowodnić to w sposób przejrzysty, konkretny i jednoznaczny.

Nie ma w atlasie map „neutralnych”. Z każdej mapy i każdego komentarza (w trzech językach: polskim, francuskim i niemieckim) krzyczy polskość. Nie oznacza to jednak, że Romer opracował zestaw map propagandowych. Był zbyt wytrawnym uczonym i zbyt roztropnym patriotą, żeby nie wiedzieć, że każda błędna lub naciągana informacja zdyskwalifikuje jego dzieło i zostanie wykorzystana do zdyskredytowania idei, której miało służyć. Korzystał z oficjalnych danych statystycznych, gromadzonych przez służby państw zaborczych, mając świadomość, że były często w sposób oczywisty fałszowane, zwłaszcza w odniesieniu do Polaków. Unikał danych pochodzących ze źródeł

prywatnych, a także z wszelkiego rodzaju szacunków.

Jest oczywiście, że w takim atlasie musiały się znaleźć: mapa historyczna, mapy ludnościowe, narodowościowe, ale Romer, prezentując polski punkt widzenia, poszedł dalej. Atlas zawiera mapy dotyczące rolnictwa, występowania bogactw kopalnych, przemysłu, komunikacji, a także ilustrujące rozwój spółek kredytowych i stanu oszczędności ludowej. Bez wątpienia kluczowe było znaczenie map wyznaniowych i kultury duchowej (oświata, wydawnictwa). Warto dodać, że mapy obejmowały także cały Śląsk. Atlas o tak szeroko zakrojonej treści nigdy wcześniej ziemie polskie nie miały, a na świecie tylko nieliczne kraje dysponowały podobnymi opracowaniami.

Nawet komentarz do mapy pokazującej ukształtowanie terenu (Hypsometria) poprzez analizę ukształtowania dorzeczy w Europie udowadnia, że asymetria tych dorzeczy (małe skrzydła zachodnie a rozległe wschodnie) przemawia za powrotem Polski do granic historycznych. „Wzajemny związek wszystkich ziem polskich ze sobą dokonuje się za pośrednictwem wielkiego węzłowego wód i dróg naturalnych w dorzeczu średniej Wisły. W tem węzłowsku nie tylko znajduje się klucz do rozwiązania historyi terytorialnej Polski, ale też niemal wszystkie zjawiska z dziedziny historyi kultury ziem polskich dadzą się sprowadzić do tego nadwiślańskiego węzła, który wpływy odbierał i wywierał”. Za pomocą mapy udowadniał też Romer, że istnieje coś takiego jak klimat polski. Przeciwstawiał się koncepcji przejściowości obszaru ziem polskich innego wielkiego polskiego geografę, Wacława Nałkowskiego. Romer widział te ziemie jako pomost między Wschodem a Zachodem. Nawiasem mówiąc, ta koncepcja indywidualnego „klimatu polskiego” została przyjęta przez wybitnego francuskiego klimatologa, Emmanuela de Martonne’a („Traité de géographie physique”, 1909), który w swoim podziale klimatów świata uwzględnił taki typ klimatu.

Mapy językowe i wyznaniowe miały jednoznaczną wymowę. Co jednak chciał Romer udowodnić mapami gospodarczymi? Przede wszystkim prawo Polski do granic przedrozbiorowych. Ukazywał dokonywany polskimi rękami pochód nowoczesności i rozwoju na wschód. Odrzucał kryteria ściśle etnograficzne. Takimi mapami były mapy „Komunikacja”, „Gałę-

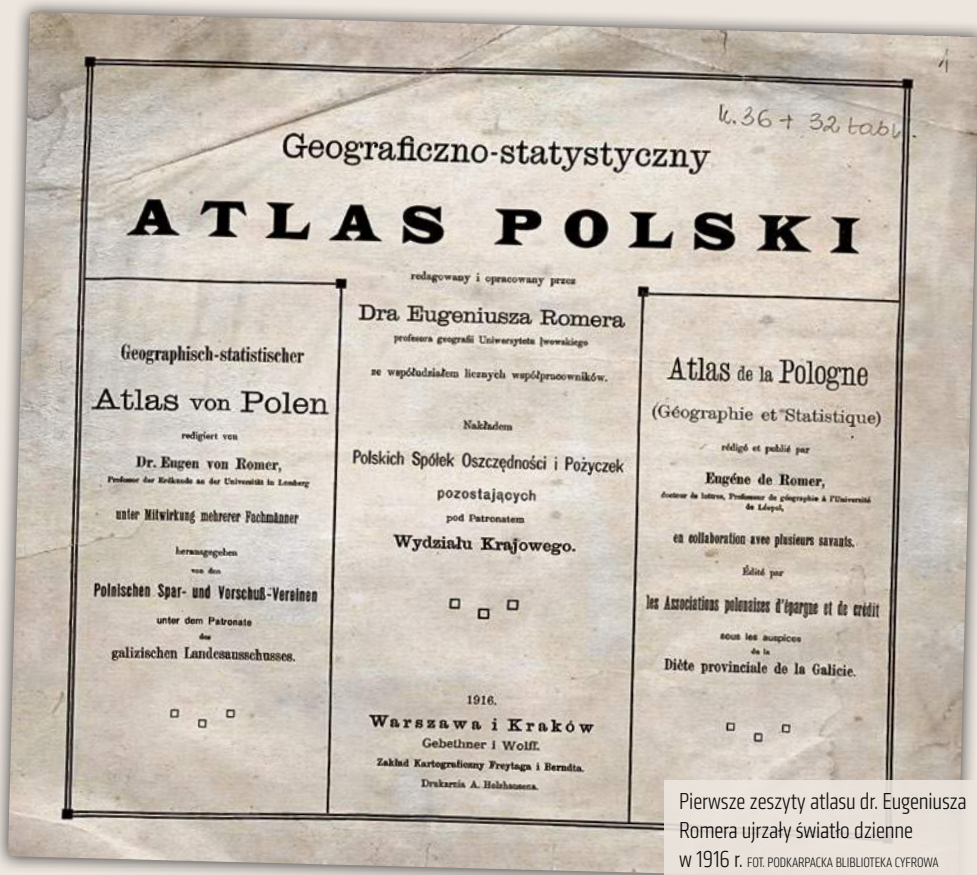
zie przemysłu”, „Ludność przemysłowa”, „Uprawa roli i rozmieszczenie upraw”. Na podstawie takich map jak „Oświata i mapy ludnościowe” udowadniał fałszerstwa statystyk niemieckich odnoszących się do Wielkopolski, Śląska i Pomorza.

Mapy Romera pokazywały, jak przez dwie bramy, jak to określał: bramę przemysko-lwowską i na północy bramę augustowsko-grodzieńską, rozprzestrzeniał się żywioł polski, przeobrażając świat Rusinów i Litwinów aż do Kurlandii, czyli dzisiejszej Łotwy. Podobnych argumentów miała dostarczać mapa zatytułowana „Oszczędność ludowa”, pokazująca przewagę kooperatywy polskiej nad niepolską, zwłaszcza w zaborze pruskim. Jak dziś wiemy, nie docenił wówczas Romer, podobnie jak większość ówczesnych działaczy politycznych, budzących się na polskich Kresach nacjonalizmów i szowinizmów. Mało kto wówczas wyobrażał sobie jednak przyszłą Polskę pozbawioną ziem wschodnich.

NIEPOWTARZALNA OKAZJA

Tymczasem w świecie w ogóle mało kto wyobrażał sobie Polskę. Wyrosły pokolenia, dla których pojęcie to było zupełnie egzotyczne. Jak to się stało? Kto wpadł na pomysł, żeby przypomnieć o Polsce w sposób maksymalnie wszechstronny, a jednocześnie powszechnie zrozumiały? Jest rzeczą zadziwiającą, że niemal w tym samym momencie, kiedy Paderewski w Waszyngtonie poszukiwał pilnie kontaktu z prezydentem Wilsonem, a Dmowski inicjował swoje działania w Paryżu, do drzwi mieszkania państwa Romerów w Wiedniu zapukał pewien tajemniczy człowiek. Trzeba bowiem powiedzieć, że Romer był genialnym wykonawcą pomysłu, którego ojcem chrzestnym był ktoś inny.

Tą osobą był dr Franciszek Stefczyk (1861–1924). Tak, ten znany współcześnie za sprawą Kasy Stefczyka. To postać niezwykle zasłużona dla rozruszania gospodarki chłopskiej na terenie Galicji. Szczególnie jego idea zakładania na wsi spółdzielczych kas oszczędnościowo-pożyczkowych przyczyniła się do pokonania tradycyjnej „biedy galicyjskiej”. Gdy zimą 1915 r. pojawił się na progu wiedeńskiego mieszkania Romerów, był dyrektorem Krajowej Centralnej Kasy dla Spółek Rolniczych, a instytucja ta dysponowała specjalnym funduszem przeznaczonym na patriotyczne i kulturalne potrzeby narodu polskiego.



Pierwsze zeszyty atlasu dr. Eugeniusza Romera ujrzały światło dzienne w 1916 r. Fot. PODKARPACKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Stefczyk dobrze wiedział, do kogo przychodzi. Romer, profesor od 1910 r., twórca Instytutu Geograficznego na Uniwersytecie Franciszkańskim (taką nazwę nosiła wówczas uczelnia znana później jako Uniwersytet Jana Kazimierza) we Lwowie, geograf o ugruntowanej pozycji międzynarodowej, ceniony zwłaszcza jako autor nowoczesnych map, był znany ze swoich patriotycznych poglądów i działań. Podobnie jak Stefczyk i co światlejsi patrioci nie miał Romer wątpliwości, że wojna, w której uczestniczą wszyscy trzej zaborcy, stwarza Polakom niepowtarzalną okazję do wybitcia się na niepodległość. I Stefczyk, i Romer byli przekonani, że wojnę zakończy konferencja pokojowa, która ustali nowy ład europejski. „Co świat wie o Polsce? Skąd politycy mogą czerpać wiadomości, co to jest Polska, gdzie mieszkają Polacy, ilu ich jest, jak gospodarzą, czym są? Kto przeciwstawi się informacjom o Polakach, o Polsce, fabrykowanym przez państwa zaborcze, a zwłaszcza przez sławną a kłamliwą naukę niemiecką?”. Po wyjściu Stefczyka Romer wiedział już, co ma robić.

NAJLEPSZY Z DOBRYCH UCZYŃKÓW

Po wybuchu I wojny światowej Romer w obliczu zagrożenia inwazją rosyjską

na Lwów ewakuował swoją rodzinę najpierw do Krakowa, potem do Wiednia. Pozbawiony możliwości kontynuowania swojej naukowej i dydaktycznej aktywności nie bardzo potrafił sobie znaleźć miejsce. Zabijał czas, analizując statystyki strat wojennych i wyciągając na ich podstawie wnioski na temat rzeczywistego, a nie propagandowego stanu rzeczy na frontach. Rozmowa ze Stefczykiem zmieniła wszystko. Tak wspominał ten moment jego syn: „Po wizycie dra Stefczyka tryb życia Ojca uległ radykalnej zmianie. Ojciec najwyraźniej odżył, znikły wszelkie ślady przygnębienia. Wypadki wojenne nieomal przestały go interesować, a losy wojny pozornie stały mu się obojętne. Nowe zadanie w pełni pochłaniało jego myśli i energię. Wcześniej się budził i wstawał. Często jeszcze przed śniadaniem zastawialiśmy go w kuchni przy pracy. Zaraz po śniadaniu zwykł zniknąć z domu. Wracał na obiad. Potem pracował już w domu... Na kuchennym stole zaczęły się pojawiać różne druki, atlasy, tomy i tomiska. Wyraźnie pamiętam tomy statystyk pruskich, wyróżniające się błękitnymi płóciennymi okładkami”. Jednym z natychmiastowych objawów zaabsorbowania profesora była troska o zabezpieczenie sobie... zapasu tytoniu

do fajki. Tak oto rodził się „Geograficzno-statystyczny atlas Polski”.

Romer bez trudu pozyskał doskonałych współtwórców. Jednym z nich był np. młody doktor – Władysław Szafer, autor mapy flory polskiej (37 lat później, jako rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, nada Romerowi godność profesora honorowego). Nie minął rok, a większość map była już na etapie czystorysów, ale gdy na początku 1916 r. pierwsze zeszyty atlasu ujrzały światło dzienne, zaczęły się kłopoty. Profesor Albrecht Penck powiadomił niemiecki sztab generalny o popełnieniu zdrady stanu przez polskiego geografa. Dla Romera nie była to nowość, również wydany przez niego w 1904 r. szkolny atlas geograficzny został obłożony zakazem rozpowszechniania na terenie Niemiec. Tym razem skończyło się zakazem wywozu atlasu za granicę. Zakaz oczywiście udało się ominąć i dwa egzemplarze trafiły na Zachód.

Wielkie było zdumienie Romera, gdy na konferencji pokojowej w Wersalu Amerykanie pojawili się ze swoimi odbitkami jego map... ręcznie pokolorowanymi. Jeden z najwybitniejszych uczonych amerykańskich, członek komisji kongresowej, wyraził się o atlasie Romera, że „jest to najlepszy z dobrych uczynków, które zrobiono dla sprawy polskiej”.

Organizacyjnie Romer był związany z Biurem Geograficznym przy Polskiej Delegacji Pokojowej w Paryżu. Mimo że współpraca z Dmowskim, szefem polskiej delegacji, nie układała się najlepiej, Romer w pewnym momencie otrzymał propozycję wejścia w skład polskiej delegacji. Nie przyjął jej, chcąc pozostać wierny swojej postawie – eksperta, nie polityka. Był przekonany, że w tej roli lepiej przysłużyć się sprawie. Był postacią znaną i cenioną w świecie naukowym, a autorytet, jaki w tym czasie zdobył, sprawił, że niezbędna była także jego wiedza podczas konstruowania aspektów terytorialnych traktatu ryskiego, kończącego dwa lata później wojnę polsko-bolszewicką.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z następujących opracowań:
J. Czyżewski, „Życie i dzieło Eugeniusza Romera”, PWN, Warszawa 1960.
Edmund Romer, „Geograf trzech epok”, Czytelnik, Warszawa 1985.
Eugeniusz Romer, „Pamiętnik paryski 1918–1919”, Ossolineum 1989.
ks. Stefan Misiniec, „Eugeniusz Romer”, Petrus, Kraków 2014.



CIEMNA STRONA ROZRYWKI

Kanadyjskie i amerykańskie media wstrząśnięte. Piszą, że w polskim show „Twoja twarz brzmi znajomo”, w którym ludzie udają gwiazdy sceny, muzyk przebrał się za ciemnoskórego piosenkarza z Kanady – Drake’a. Że się przebrał, to fajnie, ale... on także przyciemnił sobie karnację. Połajanki zza wielkiej wody wsparł Bartosz Węglarczyk z Onetu, któremu szybko na Twitterze pokazano, że ten sam portal niedawno pisał z zachwytem nad występem aktorki, która w tym samym show Polsatu upodobniła się do ciemnoskórej Beyoncé.

FOT. MACIEJ ZAWADA/TWÓJ TWARZ BRZMI ZNAJOMO/TWITTER

PRZYCZEPA VERHOFSTADTA

Guy Verhofstadt uruchomił akcję billboardową wymierzoną w premiera Węgier. Lider europejskich liberałów pokazał dziennikarzom billboard z Orbánem, podartą flagą i napisem: „Najpierw wziął nasze pieniądze, a teraz chce zniszczyć Europę”. Przekonywał, że premier Węgier bierze pieniądze z UE, a jednocześnie nie podziela unijnych wartości. Billboard będzie wożony na samochodowej przyczepie po Brukseli. Niektórych zaczęło nurtować pytanie: Dlaczego nie było dotąd billboardu greckiego albo choćby włoskiego?

SATANIŚCI SIĘ OBRAZILI

Lucien Greaves, współzałożyciel satanistycznej organizacji The Satanic Temple, poinformował w Internecie, że niebawem pozwie twórców serialu Netflix „Chilling Adventures of Sabrina”. Serial o nastolatce, która trochę jest wiedźmą, wykorzystał bowiem

wizerunek bóstwa Baphomet bez zgody organizacji. No i – jak uważa Greaves – w ogóle film pokazuje satanistów w złym świetle..

DROGIE SELFIE

Do Międzynarodowego Centrum Sztuki w rosyjskim Jekaterynburgu przyjechała wycieczka kobiet. Dwie panie z Czela- bińska tak były zaaferowane zrobieniem sobie selfie z dziełami sztuki, że przewróciły ściankę, na której wisiał miedzioryt Goi oraz obraz Salvadora Dalego. Upadek uszkodził ramę miedziorytu, zniszczona została też rama i sam obraz Dalego.

PIES POSTRZELIŁ MYŚLIWEGO

Zwykle jest odwrotnie – to Sonny Gilligan z USA naciska spust, a w zwierzęta wbija się pocisk. Tym razem myśliwy, który zawsze na polowanie zabiera swoje psy, sam wrócił z ołowiem w plecach. Zostawił broń na siedzeniu samochodu i jego pies Charlie wsunął łapę w spust pistoletu. © © **Łukasz Zboralski**



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Faszyzmometr

Intelektualiści włoskiej lewicy nie potrafią pojąć, dlaczego naród się od nich odwrócił. Przekonani o swej wyższości intelektualnej i moralnej, nie szukają winy w sobie ani – broń Boże! – w dogmatach wyznawanej wiary. Mędrzy włoskiej lewicy, zupełnie tak jak komuniści w NRD po rewolcie 1953 r., nie potrafią ukryć głębokiego rozczarowania narodem, który okazał się tak niewdzięczny i głupi, że pobiładził w swoich wyborach.

Oczywiście wszystkim są winne moce piekielne i faszyści, którzy namieszcili Włochom w głowach. Diagnoza jest prosta: naród pod wpływem demagogów uległ fatalnemu szatańskiemu urokowi.

Włoska lewica doszła do przekonania, że gdzieś tam, w najciemniejszych zakamarkach ludzkiej duszy, drzemie straszny demon faszyzmu i właśnie się obudził.

Wobec tego zagrożenia postępową pisarkę Michela Murgia na łamach tygodnika „L'Espresso” stworzyła faszyzmometr – miernik „stopnia sfaszyszowania”. Trzeba zaznaczyć, z którymi z 65 różnych podanych twierdzeń badany się zgadza. Im więcej skreśli, tym więcej w człowieku faszyzmu. Proste jak świat marksyści. Oto kilka z tych, na podstawie których zdaniem Murgii można rozpoznać u kogoś galopujący faszyzm: „We Włoszech jest za dużo parlamentarzystów” (jest ich blisko tysiąc, a połowę wię-

cej niż w USA – przyp. P.K.); „Wśród proszących o azyl w Italii większość to migranci ekonomiczni” (według danych MSW stanowią 80 proc.); „Muzułmanie w swoich krajach nie pozwalają nam robić tego, co oni robią u nas”; „Trudniej pogodzić się z gwałtem, jeśli dokonał go ktoś, kto prosi o azyl w naszym kraju”; „Filozofia gender godzi w tradycyjną rodzinę”; „Musimy bronić naszych chrześcijańskich korzeni” etc. Słowem – pani Murgia, tak jak jej współwyznawcy, odeszła od zmysłów.

Postępowy publicysta „Corriere della Sera” Massimo Gramellini się przebadał i jęknął na łamach: „O Boże! Jestem protofaszystą”. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Męczeństwo Asi Bibi trwa



Tomasz P. Terlikowski

Sąd Najwyższy Pakistanu uniewinnił Asię Bibi i pozwolił jej wyjechać z kraju. Nie oznacza to jednak ani tego, że kobieta rzeczywiście opuści kraj, ani tym bardziej końca jej męki

To miał być wielki dzień. Sąd Najwyższy Pakistanu ułaskawił Asię Bibi – kobietę, która od 2010 r. przebywała w celi śmierci, skazana za rzekome bluźnierstwo. „Tolerancja jest podstawową zasadą islamu” – napisał w orzeczeniu sędzia Saqib Nasir, który przewodniczył rozprawie. Jednocześnie sąd uznał, że kobieta – przetrzymywana w nieznanym miejscu, by uniknąć zamordowania jej przed rozprawą lub w jej trakcie – powinna opuścić Pakistan. – Jestem bardzo szczęśliwy. Moje dzieci są szczęśliwe. Dziękujemy Bogu. Jesteśmy wdzięczni sędziom za sprawiedliwość. Wiemy, że ona jest niewinna – mówił zaraz po ogłoszeniu wyroku mąż Bibi Ashiq Masih. A obrońca kobiety Saiful Mulook dodawał, że „to wielki dzień dla Pakistanu”. Z entuzjazmem wyrok przyjęły organizacje praw człowieka, chrześcijanie na całym świecie odetchnęli z ulgą.

TOLERANCJA WEDŁUG KORANU

Problem polega tylko na tym, że natchmiasz się okazało, iż ten wyrok jest jak „tolerancja” rzekomo zapisana w Koranie. Tolerancja czy miłosierdzie występują z nazwy w świętej księdze muzułmanów, ale poza słowami, poza deklaracjami konia

z rzędem temu, kto je realnie zobaczy. Dlatego już w trakcie ogłaszania wyroku zaczęły się gigantyczne protesty i demolowanie ulic przez muzułmanów, którzy domagali się zamordowania Bibi, radykalni imamowie zapowiedzieli, że niezależnie od wyroku kobieta i tak zginie, jeśli nie z rąk władz Pakistanu, to zgładzona gdzieś w świecie przez wyznawców proroka Mahometa.

Groźby i protesty, czego można się było spodziewać, doprowadziły do zmiany (prawdopodobnie od początku planowanej) stanowiska w sprawie skazanej i uniewinnionej chrześcijanki. Wyrok, choć obowiązuje, nie zostanie wykonany, aż do momentu rozpatrzenia rewizji wyroku przez Sąd Najwyższy. Taki jest efekt ugody, którą zawarły władze Pakistanu z islamistami, domagającymi się egzekucji, a obecnie chcącymi rewizji ułaskawiającego wyroku. Początkowo wydawało się, że Bibi nie opuści nawet więzienia, bowiem przez prawie tydzień od wyroku nie pozwolono jej opuścić więzienia. Jednak w miniony czwartek rodzina poinformowała, że kobieta została wypuszczona z więzienia. Czy oznacza to, że wydostanie się z kraju? Tego wciąż nie wiadomo. Jeśli nie, to trzeba

mieć świadomość, że jest ona obecnie o wiele bardziej zagrożona śmiercią z rąk rozjuszonego tłumu, niż gdy przebywała w więzieniu (a i tam nie była bezpieczna, bo przecież zamordować mogły ją współwięźniarki albo „przypadkowo” poinformowany o miejscu jej przebywania tłum muzułmanów).

Bezpieczni nie są także sędziowie, którzy wydali wyrok. Już teraz jeden z liderów Tehreek-e-Labaik, radykalnej islamistycznej partii Pakistanu, wezwał do zamordowania trzech sędziów, którzy uczestniczyli w ułaskawieniu kobiety. – Oni trzej powinni zostać zabici. Zabić powinni ich albo ich ochroniarze, albo kierowca, albo kucharz – mówił współtwórca partii Muhammad Afzal Qadri. – Każdy, kto będzie miał do nich dostęp, powinien ich zabić przed wieczorem – dodał. Do ucieczki z Pakistanu nakłoniono także adwokata kobiety, cytowanego już Saifula Mulooka. Jego ewakuacja została zorganizowana przez personel ONZ, a sam prawnik został na siłę wsadzony do samolotu. – Miałbym się o wiele lepiej, gdybym był w tym samym miejscu co ona. Jednak wszyscy tłumaczyli, że jestem pierwszy na celowniku – dodał. – Podkreślałem, że nie wyjadę



Z lewej: demonstracja muzułmanów domagających się śmierci Asi Bibi.
Z prawej: Asia z córką na rodzinnej fotografii sprzed ok. 10 lat. FOT. EPA/PAP

Kobieta odmówiła i wypowiedziała zdania, które stały się podstawą skazania jej na śmierć. „Wyznam moją religię i wierzę w Jezusa Chrystusa, który umarł na krzyżu, aby zbawić ludzkość. A cóż uczynił twój prorok Mahomet, aby zbawić ludzkość?” – mówiła. W zdaniu tym nie było nic, czego nie powinien wyznawać każdy chrześcijanin. To jedna z podstawowych prawd wiary. Jednak nie dla jej sąsiadek, które natychmiast chciały ją zamordować. Asi udało się uciec z miejsca zdarzenia, ale kilka dni później została aresztowana, a rok później skazana na śmierć.

Powód? Rzekome bluźnierstwo. „Ktokolwiek słowem, ustnie lub pisemnie bądź przez działanie lub jakiekolwiek aluzje czy insynuacje, bezpośrednio bądź nie, sprofanuje święte imię Proroka Mahometa, będzie skazany na karę śmierci lub dożywotnie więzienie” – głosi art. 295c pakistańskiego kodeksu karnego. Kłopot polega tylko na tym, że nie jest jasne, i to dla nikogo, czy słowa Bibi to rzeczywiście obraza proroka. Muzułmanie nie twierdzą przecież, że ich prorok zbawił świat. Opinia Asi Bibi jest więc, nawet z ich punktu widzenia, prawdziwa (jeśli pominąć wiarę w śmierć Jezusa na krzyżu, w co wyznawcy islamu nie wierzą, uznając, że Jezus uciekł, a śmierć poniósł za niego ktoś inny). Od momentu wydania wyroku (później potwierdzały go kolejne instancje, aż wreszcie Sąd Najwyższy przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia) kobieta przebywała w dramatycznych warunkach. Cela, w której była więziona, nie ma okien, zlewu, WC ani nawet jakiegokolwiek wentylacji, a jej szerokość wynosi tyle, ile wyciągnięte ramiona Asi Bibi.

AZYL TERAZ!

Wyrok ułaskawiający kobietę przyszedł po dziewięciu latach. Jednak, jak to już zostało pokazane, nic nie wskazuje na to, by dało się go wykonać, ponieważ nawet umiarkowani politycy pakistańscy (a są tacy) nie zdecydują się narażać radykalnym islamistom i wypuścić Bibi z kraju. Jej mąż już teraz apeluje do władz Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Kanady o przyznanie jej i jej rodzinie azylu politycznego, a także zapewnienie im bezpieczeństwa. – Obecna sytuacja jest dla nas bardzo niebezpieczna. Ukrzymamy się tu, to tam, często zmieniamy miejsce pobytu [...]. Moja żona już wiele wycierpiała. Spędziła 10 lat w więzieniu. Moje córki umierają z tęsknoty za nią, ale rewizja de-

cyzji sądu przedłuży jej cierpienia – mówił Ashiq Masih.

Niestety, na razie zarówno USA, jak i Wielka Brytania milczą. I to mimo że na władze tych krajów naciskają poważni politycy. Były prokurator generalny Dominic Grieve wezwał premiera i sekretarza spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii do natychmiastowego uznania prawa Asi Bibi i jej rodziny do azylu na Wyspach. – Wydaje mi się całkiem jasne, że ich przyszłość w Pakistanie jest niemożliwa ze względu na groźby, które wobec nich sformułowano – mówił Grieve. – To kwalifikuje ich do azylu i mam nadzieję, że rząd Wielkiej Brytanii zaoferuje im go – dodał. Identyczny apel skierował do premier Theresy May konserwatywny deputowany Desmond Swayne. – Nie ma w tej sprawie problemu z azylem i dlatego sądzę, że nawet biorąc pod uwagę emocje ludzi wierzących, należy taki azyl zaoferować – mówił deputowany.

O wiele szybszy (ale też trzeba mieć świadomość, że z wielu powodów mniej skuteczny) był minister spraw wewnętrznych Włoch Matteo Salvini, który zapewnił, że Włochy pomogą Asi Bibi i jej bliskim wyjechać z Pakistanu. – Chcę, by ta kobieta i jej dzieci, których życie jest zagrożone, mogli mieć bezpieczną przyszłość w naszym lub innym zachodnim kraju. Zrobię więc wszystko, co tylko w ludzkiej mocy, by im to zapewnić – mówił Salvini.

Czy jednak jego i polityków wielu innych krajów (w tym nawet Kanady) starania okażą się skuteczne, pozostaje kwestią wątpliwą. Tak się bowiem składa, że niewielu jest w Pakistanie polityków, którzy chcą ryzykować własne życie dla szerszej nieznannej wieśniaczki. A jeśli może ich coś do tego skłonić, to rzeczywiście potężny nacisk państw, z którymi Pakistan musi się liczyć. Najważniejszym z nich są, rzecz jasna, Stany Zjednoczone. Pytanie jednak, czy nawet Donald Trump będzie gotowy na tyle mocno naciskać na kraj, który jest istotny dla równowagi geopolitycznej, by uratować życie chrześcijanki.

Niezależnie jednak od tego, jak zachowają się politycy, zwykli chrześcijanie, a także wszyscy ludzie dobrej woli mają obowiązek modlić się w sprawie Asi Bibi i... wywierać nacisk na rządy swoich krajów, by te wspierały prawo do życia pakistańskiej chrześcijanki. Takie działania powinna podjąć także Polska. 100-lecie niepodległości jest bardzo dobrą okazją ku temu. Wolność, chrześcijaństwo, otwartość to te wartości, które w 100-lecie powinniśmy świętować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Przybylski

Republikanie tracą bezwzględna władzę w Waszyngtonie. Dzięki prezydentowi nie doszło jednak do „niebieskiego tsunami”. Partia Demokratyczna odbiła tylko Izbę Reprezentantów. Zwycięstwo w wyborach ogłosiły więc obie strony

Rekordowa frekwencja oraz „niebieskie tsunami”. Te dwa zwroty są kluczem do zrozumienia tegorocznych wyborów środka kadencji. Dlaczego frekwencja? Otóż przeważnie partia, z której wywodzi się urzędujący prezydent, wypada w nich źle lub bardzo źle. Są one zazwyczaj mniej popularne wśród Amerykanów, którzy chętniej chodzą głosować, kiedy co cztery lata wybierają gospodarza Białego Domu. W wyborach środka kadencji stawka jest nieco mniejsza: w zeszły wtorek Amerykanie wybrali na dwuletnią kadencję liczącą 435 kongresmenów Izbę Reprezentantów, mniej więcej jedną trzecią Senatu, czyli 35 senatorów, na aż 6-letnie kadencje, a także 36 gubernatorów oraz przedstawicieli do legislatur stanowych i lokalnych.

Drugim powodem, dla którego rządzący zazwyczaj przegrywają w wyborach środka kadencji, jest spoczywanie na laurach zwycięzców. I nie chodzi wcale o polityków. Po prostu zazwyczaj duża część wyborców, którzy popierają rządzących, jest na tyle zadowolona z kierunku, w którym zmierza ich Ameryka, że w dniu wyborów nie chce im się wychodzić z domu. Mobilizują się za to zwolennicy partii opozycyjnej. Po dwóch latach rządów tak popularnego wśród Amerykanów o lewicowych poglądach Baracka Obamy Partia Demokratyczna pożegnała się z większością w Senacie, a w Izbie Reprezentantów republikanie zdobyli największą przewagę od roku 1928.

Po wyborach środka kadencji pełną kontrolę nad Kongresem tracili też Barack Obama (dwukrotnie w latach 2010 i 2014) czy George W. Bush (w roku 2006), którzy podobnie jak Trump zaczęli swoje rządy z partyjną większością w obu izbach.

POJEDYNEK NA WIECE

W ostatnich miesiącach Donald Trump robił więc wszystko, aby przeko-



Trump obronił

nać swoich sympatyków, aby we wtorek 6 listopada zeszli z kanapy i oddali swój głos. W ostatnich dniach przed wyborami prezydent odwiedzał nawet dwa wiece dziennie – na każdym czekało na niego po kilkanaście tysięcy rozentuzjzmowanych uczestników.

Do swoich zwolenników apelowali również liderzy Partii Demokratycznej – m.in. były prezydent Barack Obama oraz były wiceprezydent Joe Biden. Lewicowi politycy mieli bowiem nadzieję na „niebieskie tsunami”, czyli odzyskanie kontroli przez Partię Demokratycz-

ną (kolorem niebieskim oznacza się stany, w których zwyciężyli demokraci, a czerwonym te, w których triumfowali republikanie) zarówno nad Izbą Reprezentantów, jak i nad senatem. Gdyby się to udało, to liderzy demokratów mogliby mówić o „końcu trumpizmu”, a także liczyć na to, iż Donalda Trumpa szybko zaczęną krytykować liderzy Partii Republikańskiej.

Ubiegłotygodniowe wybory zamieniły się więc w wielkie głosowanie nad rządami Donalda Trumpa. Przedstawiciele obu partii przekonywali zaś



Prezydent Donald Trump nakłonił do udziału w wyborach wielu swoich sympatyków. FOT. GETTY IMAGES

senat

swoich zwolenników, że to najbardziej przełomowe głosowanie od początku XXI w. Frekwencja była rekordowa. Jeszcze przed 6 listopada w tych stanach, w których można oddać głos przed oficjalnym rozpoczęciem głosowania, z prawa tego skorzystało ok. 35 mln Amerykanów, czyli o ponad 7 mln więcej niż w roku 2014. Ogółem szacuje się, że w tych wyborach zagłosowało 114 mln osób, czyli o ponad 30 mln więcej niż w roku 2014.

To były również rekordowo drogie wybory. Na reklamy, ulotki i naklejki na

zderzaki kandydaci wydali setki milionów dolarów.

SOCJALIŚCI I MIGRANCY

Donald Trump i politycy Partii Republikańskiej mogli skupić się głównie na sukcesach ekonomicznych. – Amerykańska gospodarka jest w najlepszym stanie w historii naszego kraju – co i rusz w ostatnich tygodniach podkreślał prezydent USA. I chociaż tradycyjnie nieco koloryzował, bo bywały okresy, gdy Ameryka radziła sobie jeszcze lepiej, to zdecydowanie trzeba przyznać, że wdrożone

przez administrację Donalda Trumpa cięcia podatków czy ograniczenie biurokracji dały amerykańskiej gospodarce istotny impuls. Imponujący jest zarówno wzrost gospodarczy, który w drugim kwartale przyspieszył do 4,2 proc. PKB, jak i stopa bezrobocia, która we wrześniu wynosiła zaledwie 3,7 proc. Za rządów Trumpa do rekordowych poziomów poszybowały również indeksy giełdowe, a zwłaszcza indeks 30 największych amerykańskich przedsiębiorstw (DJIA).

– Te wybory zdecydują, czy dalej będziemy budować wyjątkowy dobrobyt, który stworzyliśmy, czy pozwolimy, by radykalni demokraci wielkim młotem zburzyli naszą gospodarkę i naszą przyszłość – ostrzegał amerykański prezydent, wskazując na ryzyko „socjalistycznych” pomysłów demokratów.

W stronę Stanów Zjednoczonych wyruszyła jednak kilkutysięczna karawana migrantów z Ameryki Łacińskiej. I to właśnie podejście do kwestii nielegalnej migracji i „inwazji” obcokrajowców stało się jedną z najważniejszych kwestii w tych wyborach. „Jeśli chcecie chronić imigrantów kryminalistów – głosujcie na demokratów. Jeśli chcecie bronić praworządnych Amerykanów – głosujcie na republikanów” – zachęcał na Twitterze, gdzie śledzi go ponad 55 mln sympatyków.

Donald Trump i jego dawny doradca Steve Bannon już kilka lat temu odkryli, że nic tak nie mobilizuje wyborców Partii Republikańskiej jak kwestia migracji.

Trump przez ostatnie tygodnie mówił zatem głównie o konieczności wzmocnienia granicy z Meksykiem, a także o zmianie przepisów dotyczących możliwości ubiegania się o azyl oraz zniesienia „prawa ziemi”, a więc zasady, zgodnie z którą dzieci urodzone na terytorium Stanów Zjednoczonych automatycznie nabywają amerykańskie obywatelstwo.

Demokraci, walcząc o głosy, unikali bezpośredniej konfrontacji z republikanami. I skupiali się na tematach bliższych lewicowym wyborcom: opiece zdrowotnej i rosnących nierównościach społecznych. Zwolennicy Baracka Obamy mieli nadzieję, że dzięki temu przyciągną do siebie urażonych przedstawicieli mniejszości narodowych oraz młodszych wyborców.

Oczywiście sympatyków demokratów do pójścia do urn zmobilizował również Donald Trump, który ma w Ameryce nie tylko miliony wiernych

■ zwolenników, lecz także rzeszę nieprzejednanych wrogów.

Z POMOCĄ PREZYDENTA

Donald Trump, tak dzielnie walcząc o stanowiska dla polityków Partii Republikańskiej, miał nadzieję nie tylko na to, że lojalnie odwdzięczą mu się oni podczas kampanii prezydenckiej w roku 2020. Prezydent przede wszystkim walczył o ochronę przed impeachmentem.

Przejęcie obu izb w Kongresie dałoby bowiem Partii Demokratycznej możliwość nie tylko zablokowania większości inicjatyw prezydenta, lecz także – przynajmniej teoretycznie – dałoby im szansę na wszczęcie procedury usunięcia prezydenta przed zakończeniem kadencji. W takim przypadku to właśnie senat zamienia się w sąd nad urzędującą głową państwa, w przypadku postawienia go w stan oskarżenia przez Izbę Reprezentantów.

rekordowe 38,1 mln dol., czyli trzy razy tyle co Cruz, to ostatecznie kandydat republikanów zdobył 50,9 proc. głosów, a demokrata 48,3 proc. Taki wynik sprawia, że O'Rourke i tak w roku 2020 może być jednym z czołowych kandydatów Partii Demokratycznej w boju o Biały Dom.

Równie wielkie emocje budził pojedynek republikanina Mike'a Brauna, który zdołał odebrać Indianę demokratycznemu senatorowi Joe Donnelly'emu. Braun wygrał głównie dzięki prezydentowi Trumpowi, który jeszcze dzień przed wyborami pojawił się na jego wiecu.

Demokraci odebrali jednak republikanom kontrolę w Izbie Reprezentantów i pierwszy raz od ośmiu lat będą w niej mieli większość: 223 do 197. O historycznym sukcesie mogą mówić jednak kobiety – w nowej izbie niższej Kongresu zasiądą 92 panie, czyli najwięcej w historii Stanów Zjednoczonych. Do

poziomie senatu w sprawie wszystkich przecieków tajnych dokumentów i wielu innych sprawach. Ten kij ma dwa końce – ostrzegł na Twitterze amerykański prezydent.

Demokraci przed wyborami prezydenckimi w roku 2020 będą też mogli wszczęć procedurę impeachmentu prezydenta, choć samo usunięcie ze stanowiska w przypadku, gdy w senacie większość mają republikanie, jest bardzo mało prawdopodobne.

Mimo to Donald Trump tuż po wyborach przystąpił do konkretnych działań. W środę na prośbę prezydenta do dymisji podał się prokurator generalny Jeff Sessions, wcześniej wielokrotnie krytykowany m.in. za odmowę rezygnacji ze śledztwa ws. rosyjskiej ingerencji w wybory w USA. Tego typu personalne przetasowania mogą opóźnić dochodzenia w sprawach dotyczących gospodarza Białego Domu. Nowy prokurator generalny będzie potrzebował czasu, aby przejąć nadzór nad śledztwem w sprawie kontaktów zaufanych ludzi Trumpa z przedstawicielami Kremla. Może to również opóźnić prace specjalnego prokuratora Roberta Muellera, którego raport mógłby być negatywny dla ludzi związanych z Białym Domem.

Dużą bolączką dla Trumpa będzie również możliwość torpedowania praktycznie każdego z projektów forsowanych przez Biały Dom. Wprawdzie liderzy demokratów zapowiadają, że chcą zakończenia podziałów i współpracy, ale wśród pięknych słów można też usłyszeć zapowiedzi blokowania reform, np. tych dotyczących ochrony zdrowia. – Chodzi o zatrzymanie ataku Partii Republikańskiej i [lidera większości w senacie] Mitcha McConnella na Medicare i Medicaid, na Ustawę o dostępnej opiece medycznej oraz na opiekę zdrowotną 130 mln Amerykanów cierpiących na choroby istniejące przed początkiem ubezpieczenia – ogłosiła liderka Partii Demokratycznej Nancy Pelosi. Demokraci nie ukrywają również, że będą się starali zablokować prezydencki plan dokończenia budowy muru na granicy z Meksykiem. Lewicowi politycy będą też zapewne próbowali ograniczać prawo dostępu do broni palnej. Mogą się też sprzeciwić wydatkom na budowę Fortu Trump w Polsce.

To, jak przez najbliższe dwa lata z rządami w tak trudnych warunkach poradzi sobie Donald Trump, będzie miało kolosalny wpływ na przyszłość prezydenta i jego szanse w najbliższych wyborach prezydenckich.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przejęcie Izby Reprezentantów da demokratom możliwość torpedowania praktycznie każdego z kluczowych projektów Trumpa

Wyższa izba parlamentu ma również wiele istotnych z punktu widzenia Białego Domu kompetencji: to senatorzy zatwierdzają nominowanych przez prezydenta sędziów Sądu Najwyższego, członków rządu, ambasadorów oraz wysokich urzędników. To senatorzy zatwierdzają też zawarte przez prezydenta traktaty. Donald Trump skupił się więc na ochronie republikańskiej większości w Senacie. I zwyciężył. Republikanie będą mieli w wyższej izbie 51 miejsc, a demokraci jedynie 46.

Niezwykle ważne dla przyszłości polityki w USA była wygrana republikanów w Teksasie i w Indianie. W tym pierwszym stanie cała Ameryka z zapartym tchem obserwowała pojedynek o miejsce w senacie między znanym konserwatystą Tedem Cruzem – który podczas poprzedniej kampanii prezydenckiej walczył o nominację z Donaldem Trumpem – a demokratycznym kongresmenem Robertem Francisem „Beto” O'Rourke. Charyzmatyczny O'Rourke ogłosił wielką zbiórkę pieniędzy, zapowiadając, że pierwszy raz od kilkudziesięciu lat pokona w tym tradycyjnie konserwatywnym stanie kandydata Partii Republikańskiej. Lecz chociaż zebrał na swoją kampanię

historii przejdzie też 29-letnia demokratka Alexandria Ocasio-Cortez, najmłodsza kobieta wybrana do amerykańskiego parlamentu.

STAWKA WIĘKSZA NIŻ RZĄD

Przejęcie kontroli przez demokratów nad niższą izbą Kongresu utrudni Trumpowi rządzenie Ameryką. Przedstawiciele opozycji będą bowiem mogli blokować prezydenckie projekty i zyskają większą kontrolę nad amerykańskim budżetem. Będą też mogli powoływać komisje śledcze, co w świetle śledztwa dotyczącego kontaktów sztabu Trumpa z Rosjanami podczas kampanii prezydenckiej w roku 2016 może oznaczać dla prezydenta kolejne problemy. Demokraci zapowiadają również kontrolę finansów Donalda Trumpa i doprowadzenie do ujawnienia jego zeznań podatkowych, a także sprawienie zarzutów o konflikt interesów czy oskarżeń o wykorzystywanie stanowiska do prowadzenia prywatnego biznesu.

– Jeżeli demokraci myślą, że będą marnować pieniądze podatników na prowadzenie śledztwa przeciwko nam na poziomie Izby Reprezentantów, to my również będziemy zmuszeni, aby rozważyć wszczęcie dochodzenia przeciwko nim na

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA ONE

Nieżył czas pracy na baterii, moduł NFC, czysty Android bez zbędnych nakładek oraz gwarancja regularnych aktualizacji systemu co najmniej do roku 2020 – to największe zalety nowego produktu Motoroli. Model One plasuje się niemal dokładnie na granicy między telefonami budżetowymi a smartfonami ze średniej półki.

Testowany gadżet może się podobać. Telefon Motoroli mocno przypomina bowiem sporo droższego iPhone'a XR. Również ekran o wielkości 5,9 cala dla wielu mógłby być idealny. Niestety, Motorola przyszczędziła i ma on rozdzielczość wynoszącą zaledwie 720 x 1440 pikseli. To największa wada tego modelu, w tej cenie każdy smartfon powinien bowiem mieć już wyświetlacz Full HD. Zresztą główni konkurenci testowanego telefonu, tacy jak Nokia 7.1 czy Honor 8X, mogą się pochwalić bardziej szczegółowymi wyświetlaczami. Niższa rozdzielczość nie jest bardzo widoczna w codziennym użytkowaniu, ale będzie mocno przeszkadzać np. tym, którzy na ekranie smartfona często czytają różne artykuły.

Z drugiej strony jak na smartfona za nieco ponad 1 tys. zł Motorola One ma stosunkowo niezłe podzespoły: dobry, choć już nieco leciwy ośmiordzeniowy

procesor Qualcomm Snapdragon 625, 4 GB RAM oraz 64 GB wbudowanej pamięci, którą za pomocą karty pamięci można rozszerzyć o dodatkowe 256 GB. Miłośników smartfonowej fotografii ucieszy też wiadomość, że po kupnie Motorola One otrzymują na dwa lata bezpłatną, nieograniczoną pamięć na swoje dzieła w Zdjęciach Google. Smartfon wyposażony w dwa „inteligentne” tylne

aparaty o rozdzielczości 13 Mpix oraz 2 Mpix robi całkiem niezłe zdjęcia. W tej kategorii cenowej można jednak znaleźć konkurentów, którzy pozwalają uwieczniać fotografie lepszej jakości.

Dodatkowe plusy Motoroli One należą się za możliwość używania dwóch kart SIM jednocześnie, a także za moduł NFC – umożliwiający dokonywanie płatności zbliżeniowych smartfonem – oraz za baterię o pojemności 3000 mAh. Umieszczony na tylnej stronie obudowy czułyknik linii papilarnych pozwala zaś szybko odblokować telefon, choć mógłby reagować nieco szybciej.

Niewątpliwą zaletą jest też czysty Android Oreo 8.1. Innymi słowy: ten model telefonu idealnie nadaje się dla tych, którzy nie lubią mieć preinstalowanych zbędnych aplikacji. Motorola

One będzie też jednym z pierwszych smartfonów na rynku, które otrzymają aktualizację do Androida 9.0, a następnie 10.0.

Jeśli ktoś szuka w miarę taniego smartfona, który do 2020 r. będzie szybko otrzymywał wszystkie łatwy systemowe, to ten model Motoroli może się okazać dobrym wyborem.

Cena: 1098 zł. ©©

Jacek Przybylski



ULTRACIENKA KLAWIATURA

Gadżet specjalnie dla miłośników lekkich,

przenośnych klawiatur,

które można

sparować z tabletem

lub smartfonem. Keytron to bez-

przewodowa klawiatura mechaniczna

z niskoprofilowymi przełącznikami o ultra-

plaskiej konstrukcji (18 mm). Można ją podłączyć

(również przewodowo) do trzech urządzeń równocześnie. Działa zarówno z iOS/macOS, jak i Windows/Android, wystarczy skorzystać ze specjalnych przełączników „systemowych” umieszczonych z boku urządzenia.

Klawiatura posiada klucz do funkcji Siri znanej z MacBooka, czyli po prostu e-inteligentnego osobistego asystenta. Może łączyć się z komputerem bezprzewodowo przez Bluetooth przez 8–40 godzin (wersja RGB różni się w zależności od jasności i sposobu użytkowania), jak również przewodowo – przez USB typu C. Keytron posiada aluminiowy tył i panel przedni, waży ok. 805 g.

Urządzenie można zamawiać na Kickstarterze. W najprostszej wersji kosztuje ok. 300 zł, a termin dostawy zaplanowano na grudzień.



MUZYKA PEŁNA BARW

Czy dźwięki mają kolory? Wolicie jesienią słuchać bluesa, nostalgicznych kawałków lub ciężkiego metalu, latem zaś tanecznego disco, ewentualnie popu? Dobieracie oświetlenie w pokoju do rodzaju muzyki, której słuchacie; kominek i świece do sentymentalnych pościelówek, mrok do ostrego rocka i stroboskopowe światło do paskudnego „umpa-umpa”? Producenci SoundWave też najwyraźniej wyszli z założenia, że muzyka jest kolorowa, i przygotowali głośnik, który emitując odtwarzane dźwięki, dodaje do nich pokaz światła. Gadżet całkiem sympatyczny dla osoby mocno sentymentalnej, którą jesień i zima napędzają nostalgicznymi wspomnieniami. SoundWave dobiera cztery rodzaje światła: udaje płonący kominek, utrzymuje pomieszczenie w półmroku lub wprost przeciwnie – świeci jaskrawo albo też emituje ciepły, pulsujący blask świecy.

Gadżet wykonano z aluminium lotniczego, jego powłoka jest precyzyjnie frezowana CNC, a każdy otwór jest tak rozmieszczony, by zapobiec zakłóceniom pomiędzy 90-decybelowymi falami dźwiękowymi emitowanymi przez głośnik. No i najważniejsze – jego moc to 10 W. Minus – bardzo subiektywny: po włączeniu urządzenia, emitując światło, przypomina nieco palący się znicz. Jeśli komuś to nie przeszkadza, to może zamówić go na Kickstarterze w cenie ok. 450 zł. Dostawa w lipcu przyszłego roku. ©© **Wojciech Wybranowski**



Ci czerwoni łajdacy będą wygnani z naszej ojczyzny. To będzie sprzątanie, jakiego Brazylia jeszcze nie widziała w swojej historii” – krzyczał na wiecu w São Paulo przed drugą turą wyborów prezydenckich w Brazylii.

„Czerwoni” to dla Jaira Bolsonaro oczywiście politycy Partii Pracujących (Partido dos Trabalhadores – PT), których rządy skończyły się gigantyczną aferą korupcyjną, najgłębszą recesją w historii Brazylii i rekordowo wysoką przestępczością – brazylijskie statystyki zabitych w wyniku przestępstw wyglądają jak dane ze strefy, w której toczona jest regularna wojna.

LULA Z WIĘZIENIA

Ta kampania wyborcza okazała się najbardziej brutalna w historii Brazylii. Walka polityczna była pełna agresji również w sensie dosłownym – z obu stron doszło do licznych ataków na tle politycznym. Emocje pod koniec kampanii były tak nakręcone, że obaj kandydaci apelowali do swoich wyborców, by ci nie uciekali się do przemocy.

Wbrew przewidywaniom politologów wyjątkowo ostry, nastawiony na konfrontację z lewicą przekaz 63-letniego Bolsonaro okazał się strzałem w dziesiątkę. Bezpartonowo walczący o prezydenturę kandydat prawicy przekonał do siebie w drugiej turze 55 proc. wyborców, przerywając tym samym złotą passę socjalistów z PT, która zaczęła się w 2003 r. wielkim zwycięstwem Luiza Inácio Luli da Silvy.

Lula odbywa właśnie w więzieniu karę 12 lat pozbawienia wolności za korupcję i pranie pieniędzy. Były prezydent do końca walczył o możliwość startu w wyborach (sondaże były dla niego bardzo zachęcające), ale we wrześniu sąd ostatecznie zakazał mu stawiania w szranki.

Namaszczony przez Lulę Fernando Haddad, który cały czas odwoływał się w kampanii do spuścizny po swoim mentorze, nie zrozumiał w porę, że Brazylijczycy naprawdę mają już dość tego, jak jest, i w tych wyborach interesowała ich obietnica radykalnej zmiany. Kandydaci PT nie pomogły ani hasło wyborcze: „Haddad to Lula”, ani odwiedziny u Luli w więzieniu.

– Z mojego punktu widzenia największym problemem jest korupcja, bo to ona jest przyczyną całego zła, które toczy Brazylię – mówi w rozmowie z „Do Rze-



Prawicowa samba



Piotr Włoczyk

W czasie kampanii wyborczej o mało nie zginął, ale ostatecznie zmiażdżył konkurencję i od 1 stycznia poprowadzi Brazylię radykalnie na prawo. Lewica – nie tylko brazylijska – przyjęła jego zwycięstwo z rozpaczą

czy” Sara Winter, działaczka pro-life z Rio de Janeiro, która zasłynęła z nawrócenia i zerwania z radykalnym ruchem feministycznym. – Korupcja sprawia, że nasza gospodarka jest w fatalnym stanie, a przestępczość stała się prawdziwą plagą. Wiem, że tylko Jair Bolsonaro daje nadzieję na prawdziwy przełom, bo znam tego człowieka osobiście i wiem, co za nim stoi.

Winter opowiada, że do 2015 r., gdy przeżyła przemianę, sama brała udział w protestach przeciw obecnemu prezydentowi elektowi (wówczas deputowanemu do brazylijskiego Kongresu).

– Uważałam go za faszystę, który nienawidzi kobiet, chce ograniczać wolność środowiska LGBT i w ogóle zmierza do wprowadzenia dyktatury. Chodziłam na te wszystkie „antyfaszystowskie” marsze i prezentowałam hasła, których do dziś

się wstydzę. Po tym, gdy zrozumiałam, że radykalna lewica to zło w czystej postaci, Bolsonaro odezwał się do mnie i powiedział: „Puszczamy wszystko w niepamięć. Spotkajmy się i porozmawiajmy o tym, jak naprawić nasz kraj”. To prawda, że jego recepty są często radykalne, ale myślę, że faszyzmu w jego działalności doszukać się mogą chyba tylko lewicowi radykałowie.

„TAK” DLA TORTUR

Bolsonaro, kapitan wojsk powietrzno-desantowych, najczęściej porównywany jest do Trumpa, chociaż na tle jego pomysłów amerykański prezydent wypada jak grzeszny chłopiec.

– Dyktatura wojskowa popełniła ten błąd, że tylko torturowała, a nie zabijała – powiedział Bolsonaro na temat rządów generałów w latach 1964–1985. – Rządy

Jair Bolsonaro z żoną
Michelle FOT. POOL/GETTY IMAGES



wojskowych dały Brazylii 20 lat porządku i postępu – zachwalał dyktaturę.

Dodawał przy tym, że jego zdaniem Pinochet zabił za mało lewicowców. W czasie kampanii wyborczej nieustannie przypominał jego słowa z 1993 r. wypowiedziane w Kongresie: „Jestem za dyktaturą. Nigdy nie rozwiążemy poważnych problemów trapiących nasz naród z tą nieodpowiedzialną demokracją”. Dzisiaj już jednak inaczej mówi o demokracji. – Mamy wszystko, by stać się wielkim narodem. Jako prezydent będę obrońcą konstytucji, demokracji i wolności – zapowiedział po ogłoszeniu wyników wyborów.

Chociaż wygrał zdecydowanie, to jego zwycięstwo długo wydawało się mało realistyczne. Zasiadający w Kongresie od siedmiu kadencji z ramienia różnych małych partii prawicowych Bolsonaro jeszcze na początku września miał poparcie w okolicach 20 proc. 6 września doszło do zdarzenia, które wyrzuciło całą brazylijską układankę polityczną – Bolsonaro został w czasie jednego ze spotkań wyborczych pchnięty nożem w brzuch. Lekarze z trudem uratowali mu życie. Na długie tygodnie został przykuty do łóżka i kampanię musiał przenieść wyłącznie do Internetu. Z tygodnia na tydzień jego

poparcie zaczęło rosnąć, aż w pierwszej turze sięgnęło 46 proc.

Bolsonaro szokuje właściwie w każdej ważnej sprawie. W 2011 r. powiedział w wywiadzie z „Playboyem”, że wolałby, aby jego syn zginął w wypadku, niż miałby się okazać homoseksualistą.

Prezydent elekt to nieprzejednany wróg środowisk homoseksualnych, ideologii gender (zapowiedział, że za jego rządów szkoły będą chronione przed takimi treściami), opowiada się także za całkowitym zakazaniem aborcji. Na tym tle Donald Trump okazuje się w kwestiach światopoglądowych politykiem dosyć umiarkowanym.

Były prezydent Brazylii Fernando Henrique Cardoso powiedział, że rządy Bolsonaro „pachną faszyzmem”, ale nie było to najcięższe oskarżenie pod adresem prezydenta elekta. W alarmowaniu przed grożącą Brazylii katastrofą wyróżnił się prestiżowy magazyn „Foreign Policy”, który użyczył swoich łamów prof. Federico Finchelsteinowi, przedstawianemu jako specjalista od faszyzmu i populizmu. Z tekstu prof. Finchelsteina dowiadujemy się, że polityka Bolsonaro wzorowana jest na... Goebbelsie. Na tym tle „The New York Times” wykazał się dalece idącą powściągliwością, stawiając Bolsonaro w jednym szeregu jedynie z Matteo Salvinim z włoskiej Ligi oraz z Viktorem Orbanem.

W związku z tym trudno się dziwić, że w akcję przeciw Bolsonaro włączyły się światowe gwiazdy. Roger Waters, współzałożyciel Pink Floyd, podczas koncertu w São Paulo w czasie kampanii wyborczej wykrzykiwał antybolsonarowe hasła, a także wyświetlił na scenie wielki napis: „Stawiaj opór neofaszyzmowi”. Okazało się jednak, że nie wszyscy fani Watersa podzielają diagnozę polityczną gwiazdy – część z nich klaskała, a część buczała.

MARTWI PRZESTĘPCY

Bolsonaro szczególnie naraża się lewicy swoimi niezwykle radykalnymi pomysłami na powstrzymanie rosnącej fali przestępczości. W zeszłym roku w Brazylii zamordowano rekordowe 64 tys. ludzi (w liczące pięć razy mniej mieszkańców Polsce w 2017 r. zabitych zostało 519 osób). Jak twierdzi prezydent elekt, „dobry przestępca to martwy przestępca”. Jego polityka w zakresie bezpieczeństwa przypomina nieco pomysły prezydenta Filipin Rodrigo Duterte. Bolsonaro zamierza pozwolić praworządnym oby-

watelom na uzbrojenie się, równocześnie intensyfikując udział wojska w zwalczaniu gangów (choć już dziś wojskowe patrole wchodzą do faweli) i radykalnie zwiększając kary za brutalne przestępstwa. Szczególnie głośno komentowana jest jego propozycja chemicznej kastracji gwałcicieli.

– Proszę mi wierzyć, że mnóstwo kobiet głosowało na Bolsonaro właśnie dlatego, że obiecał im ochronę. Nikt inny na bezpieczeństwo kobiet nie zwrócił takiej uwagi jak on – przekonuje Sara Winter.

Co ciekawe, większości Brazylijek nie odstraszyły od głosowania na kandydata prawicy nawet słowa, których żadna kobieta nie chciałaby usłyszeć pod swoim adresem. „Nie jesteś warta zgwałcenia” – powiedział Bolsonaro do lewicowej deputowanej Marii do Rosário, z którą od lat toczy zażarte spory. Widać, że dla wizji gruntownej przebudowy Brazylii wyborcy byli gotowi przymknąć oczy nawet na najbardziej oburzające wypowiedzi Bolsonaro.

Bolsonaro podkreśla wiarę w Boga (jest katolikiem), dzięki czemu zyskał olbrzymie poparcie brazylijskich środowisk chrześcijańskich. Jednak w kwestiach życia prywatnego widać tu duże podobieństwo do przywódcy USA – brazylijski prezydent elekt również ma na koncie trzy małżeństwa.

Prezydent elekt podkreśla, że reprezentuje politykę, która nie została zarażona bakcyliem korupcji, i zapowiada bezwzględna walkę z łapownictwem. W kwestiach gospodarczych jest liberałem – obiecuje uwolnienie gospodarki od biurokracji, a także zapowiada mocny rozwój brazylijskiego rolnictwa. Tę ostatnią obietnicę szczególnie ostro krytykują ekolodzy, ponieważ Bolsonaro zapowiada, że za jego rządów większe obszary Puszczy Amazońskiej będą wykorzystywane w celach gospodarczych. Resortem gospodarki będzie u Bolsonaro kierował Paulo Guedes, bankowiec i zdeklarowany liberał. Jeżeli wierzyć zapowiedziom prezydenta elekta, to zmniejszy o połowę liczbę ministerstw i sprywatyzuje wiele państwowych firm, jednak już ogłosił, że flagowy brazylijski koncern naftowy Petrobras pozostanie w rękach państwa. Widać, że pomysły Bolsonaro dobrze przyjmuje świat biznesu – jego zwycięstwo spowodowało 10-procentowąwyżkę cen akcji na brazylijskiej giełdzie.



Marek Budzisz

Niebawem rosyjska firma nawozowa może w znacznej mierze kontrolować rynek europejskiej żywności

Współczesne rolnictwo, szczególnie w takich krajach jak Polska, nawozami stoi. A ten, kto kontroluje rynek nawozów, w niemałym stopniu kontroluje rentowność rolnictwa, budżety gospodarstw domowych na wsi i bezpieczeństwo żywnościowe kraju. Może właśnie dlatego władze polskie natychmiast zareagowały, kiedy przed dwoma laty rosyjski potentat nawozowy Acron podjął próbę wrogiego przejęcia naszych Azotów. Wtedy ekspansję rosyjskiego kapitału udało się zatrzymać. Teraz sytuacja się powtarza. Do gry wkracza jednak firma, która na rosyjskim rynku wygrała z Acronem bez trudu. Chodzi o notowany na giełdach w Moskwie i Londynie koncern PhosAgro, który nie tylko jest największym rosyjskim i europejskim producentem nawozów, lecz także znany jest ze swej niezwykle twardej polityki wobec konkurencji. Na rodzimym rynku przez lata prowadził wojnę cenową polegającą na windowaniu cen surowców – bo posiada złoża, z których pozyskuje się fosfor – by konkurenci produkowali drożej.

Ekologiczny wytrych

Jak ujawnił niedawno „The New York Times”, działająca w Brukseli ekologiczna organizacja Bezpieczne Fosfaty to lobbystyczne ramię PhosAgro. Oficjalnie ekolodzy działają w dobrym celu. Domagają się chronienia europejskich konsumentów przed metalami ciężkimi, zwłaszcza kadmem, pojawiającymi się w nawozach rolniczych.

Brukselscy urzędnicy zaczęli się zastanawiać nad zaostrzeniem norm, choć naukowcy wciąż o tym dyskutują i nie są zgodni, jaki poziom kadmu w glebie należy uznać za zagrożenie dla konsumentów żywności.

Co z tym wspólnego ma rosyjska firma? Jest właścicielem kopalni na Półwyspie Kolskim, w której wydobywa się naturalnie czysty apatyt, z którego



pozyskuje się fosfor. Skały zawierające fosfor wydobywa się jeszcze w Maroku oraz w mniejszej ilości w Tunezji – ale mają większą zawartość metali ciężkich. Zaostrzenie unijnych regulacji w praktyce wykluczy zatem, a przynajmniej bardzo osłabi pozycję konkurentów PhosAgro na europejskim rynku. Każdy z nich musiałby kupować surowiec od Rosjan i przystać na ich warunki albo ponosić duże koszty importowania go z drugiego końca świata.

Nie byłoby w tym niczego zdrożnego, gdyby PhosAgro była zwyczajnym biznesowym przedsięwzięciem. Tymczasem jej historia oraz to, czym obecnie zajmują się jej akcjonariusze, pozwala sformułować tezę, że mamy do czynienia z firmą tysiącami nici powiązaną z Kremlen, która jest jednym z narzędzi politycznych, jakimi posługują się rosyjskie elity władzy.

Prywatyzacja

Głównym akcjonariuszem giganta wartego miliardy dolarów jest Andrei Guriew. Ten był instruktor judo, trener w gwardyjskim klubie, wcześniej żołnierz rosyjskich wojsk wewnętrznych, karierę biznesową zaczął jeszcze za czasów

komunistycznych, kiedy w jednej z moskiewskich organizacji Komsomołu był formalnym przełożonym Michaiła Chodorkowskiego. Guriew został najpierw specjalistą ochrony danych w tworzonej przez późniejszego właściciela Yukosu koncernie Menatep, a potem przeszedł do pracy w jego części odpowiadającej za inwestycje, choć w rosyjskich mediach znaleźć można informacje, że w istocie był ochroniarzem Chodorkowskiego.

W tym czasie założył pierwszy w Rosji fundusz charytatywny, którego celem miało być wspieranie ubożających po rozpadzie ZSRS pracowników resortów siłowych. Chodorkowski i jego biznesowa prawa ręka – Płaton Lebiediew – szybko zrozumieli, że w toku rosyjskiej prywatyzacji kuponowej epoki Gajdara za bezcen kupić można firmy o wielkim potencjale. Taką była zlokalizowana na Półwyspie Kolskim firma Apatit, dysponująca największymi rosyjskimi złożami surowców niezbędnych do produkcji nawozów. Władze zorganizowały przetarg, w którym udział wzięły wyłącznie firmy kontrolowane przez Chodorkowskiego. W efekcie kopalnię kupiono bardzo tanio, bo jeden z podmiotów uczestni-



FOT. BLOMBERG/CETTY IMAGES

dogadać się z wpływowymi przedstawicielami władzy i będąc „ludźmi z wnętrza firmy”, ułatwić zdobycie informacji niezbędnych do rozpracowania Yukosu oraz jego właściciela. Apatit zniknął z agendy śledztwa i nigdy nikomu nie postawiono w związku z jego prywatyzacją zarzutów.

PARASOL PUTINA?

W firmie pojawił się Władimir Litwinienko, rektor petersburskiego państwowego Instytutu Górniczego, o którym skonfliktowana z nim córka mówi, w licznych wywiadach dla Radio Svoboda, że jest nie tylko przyjacielem i promotorem doktoratu Władimira Putina, lecz także wręcz autorem dysertacji, którą rosyjska głowa państwa obroniła w kierowanej przez Litwinienkę placówce.

I to tego rodzaju koneksje pozwoliły ponoć Litwinience doprowadzić do sytuacji, że nad Guriewem i jego firmą rozpięty został parasol ochronny.

Sam Litwinienko, który ma dziś 19,35 proc. akcji firmy, kilkakrotnie kierował komitetem wyborczym Władimira Putina, kiedy ten kandydował na najwyższy rosyjski urząd. Prywatnie przyjaźni się ponoć z objętym amerykańskimi sankcjami Jewgienijem Prigożynem. Zdaniem jego córki to za pieniądze z firmy Guriewa Prigożyn miał finansować słynną fabrykę trolli Olgino oraz szkolenia dla co bardziej zaangażowanych aktywistów proputinowskiej młodzieżówki.

Guriew został jednym z głównych sponsorów rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Dopuszczono go też do elitarnego Klubu Przyjaciół Góry Athos – to nie tylko nieformalne stowarzyszenie,

dowadzą akces kraju do Unii Europejskiej i NATO, albo Konstantin Małofiejew, którego współpracownicy zorganizowali antymajdanowską rewoltę na wschodzie Ukrainy i stanęli na jej czele.

PATRIOTYCZNY KURS

Po aresztowaniu Chodorkowskiego polityka firmy Guriewa przeszła przemianę. Wielokrotnie oskarżana o to, że korzystając z pozycji monopolisty, sprzedaje apatyt w kraju po zawyżonych cenach, a idące w miliardy zyski transferuje za granicę, po 2004 r. zlikwidowała ulokowane w rajach podatkowych biura handlowe, obniżyła ceny dla krajowych producentów i zaczęła płacić w Rosji podatki. W wypowiedziach jej menedżerów zaczęły dzwieć patriotyczne tony. – Jesteśmy firmą zorientowaną państwowo – powiedział w wywiadzie dla rosyjskiego wydania magazynu „Forbes” Stanisław Pomytkin, jeden z dyrektorów koncernu. I państwo docenia starania właścicieli PhosAgro. W czasie niedawnej wizyty rosyjskiego prezydenta w Indiach strony porozumiały się co do zniesienia obowiązujących ceł na nawozy mineralne. PhosAgro może na tym zarobić nawet miliard dolarów, a Rosja do swej kolekcji narzędzi wspierających jej międzynarodową pozycję, jakimi są eksport broni oraz budowa elektrowni atomowych, może dodać kolejne – wejście na wrażliwy rynek bezpieczeństwa żywnościowego. Zresztą już przedstawiciele rosyjskiej elity mówią o tym, że eksport taniego rosyjskiego zboża, szczególnie na Bliski Wschód, jest jednym z narzędzi umacniania pozycji Moskwy w regionie. Jednak

czących w „prywatyzacji” zobowiązał się do idących w setki milionów dolarów inwestycji, których potem nigdy nie zrealizowano.

W sprywatyzowanym w ten sposób Apaticie kierownicze stanowiska zajęli ludzie Chodorkowskiego, m.in. Andrei Guriew. Zanim doszło do oskarżenia Chodorkowskiego w związku z Yukosem, rosyjskie organa śledcze na tapetę wzięły właśnie prywatyzację Apatitu. I to właśnie w związku z tą sprawą aresztowano prawą rękę Chodorkowskiego – Lebediewa. Między aresztowaniem Lebediewa (2 lipca) a Chodorkowskiego (25 października) ten ostatni sprzedał firmę jej menedżerom – Guriewowi oraz Igorowi Antoszinowi, którzy do dziś są jej właścicielami.

Najciekawsze jednak zaczęło się po aresztowaniu Chodorkowskiego. Wszyscy spodziewali się, że na pierwszy ogień pójdzie sprawa Apatitu, uznawana za najbardziej skandaliczną i najlepiej zbadaną przez organa śledcze. Jednak tak się nie stało. Jak mówi obrońca Chodorkowskiego Paweł Iliew (dziś na emigracji w Stanach Zjednoczonych), to nie był przypadek. Nowi właściciele Apatitu mogli

PhosAgro jest już na polskim rynku, uważanym za jeden z najważniejszych w UE. Przyczółki są więc zajęte

którego członkowie transferują ogromne pieniądze na rzecz słynnej wspólnoty mnichów (rosyjskie media szacują, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat transfery z Rosji na ten cel przekroczyły 200 mln dol.), lecz także zajmują się aktywnie polityką. Wymieńmy tylko tych najbardziej znanych, takich jak rosyjsko-grecki biznesmen Ivan Savvidis, oskarżany przez władze Macedonii o to, że finansował działalność nacjonalistycznych radykałów chcących storpe-

żeby dysponować tanim zbożem, trzeba mieć tanie nawozy, a to gwarantuje firma Guriewa (dziś oddał już jej stery w ręce syna).

PhosAgro jest już na polskim rynku, który zresztą uznaje się za jeden z najważniejszych w Unii. Jesienią ubiegłego roku otworzyła w Warszawie swe przedstawicielstwo. Przyczółki są już zajęte, teraz pozostaje czekać na wynik brukselskiego lobbingu.



Z Andrzejem Koniecznym,
dyrektorem generalnym Lasów Państwowych
rozmawia Łukasz Zboralski

Patriotyzm jest w lesie



FOT. MAREK WŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

ŁUKASZ ZBORALSKI: Lasy Państwowe otrzymały w tym roku nagrodę Strażnika Pamięci. Czy według pana obowiązkiem waszej instytucji jest także dbanie o pamięć i tożsamość narodową?

ANDRZEJ KONIECZNY: Zwrot, którego pan użył – pamięć i tożsamość – od razu przypomina o ostatniej książce św. Jana Pawła II. Dla każdego, kto utożsamia się z naszą kulturą, historią, obyczajowością i znajduje w Polsce swoje miejsce do życia, to ważna lektura formacyjna. Jak najbardziej uważam, że dbanie o nasze dziedzictwo i pamięć o nim jest obowiązkiem Lasów Państwowych. Ten obowiązek był i jest wypełniany w praktyce od początku istnienia naszej organizacji. Po pierwsze, dlatego że tacy są leśnicy. To ludzie mocno związani poprzez swoją pasję i zawód z ziemią, a przez to ze swoimi małymi ojczyznami, ale i z całym krajem. Patriotyzm, świadomość dziedzictwa narodowego i odpowiedzialności za jego pielęgnowanie mają we krwi. Po drugie, dlatego że takim postawom sprzyja kul-

tura organizacyjna LP, ale też je wspiera. Jeśli niedawno podczas Wszystkich Świętych i Zaduszek tysiące mogił rozsianych po lasach – od grobów powstańców styczniowych przez żołnierzy wszystkich narodowości poległych podczas I wojny światowej oraz ofiary ostatniej wojny i komunistycznego reżimu do grobów dawnych zarządców lasów na danym terenie – zostały wysprzątane i zapłonęły na nich znicze, to zadbali o to właśnie leśnicy. Zorganizowali dziesiątki najróżniejszych uroczystości związanych ze 100-leciem odzyskania przez Polskę niepodległości.

Lasy Państwowe jako instytucja brały udział w tworzeniu struktur niepodległego kraju. Czy do dziś leśnicy to propaństwowe zaplecze, czy trwają w takim etosie?

Są tu dwa aspekty – romantyczny i pozytywistyczny. Leśnicy od początku zaangażowani byli w walkę o niepodległość. Już w listopadzie 1918 r. przejmowali

z rąk wojsk zaborców gmachy, obiekty i dokumenty związane z zarządem nad lasami. Brali udział w walkach o granice odradzającej się Polski, wielokrotnie później z sowieckimi i niemieckimi sabotażystami. Powstało Przysposobienie Wojskowe Leśników, w ramach którego szkolono ich i wyposażano dla obrony kraju. Podczas II wojny światowej leśnicy zapłacili ogromną daninę krwi – na ziemiach okupowanych przez III Rzeszę życie straciło ok. 1650, Sowieci tuż po zajęciu polskich Kresów zabili ok. 3 tys. leśników, w tym pierwszego dyrektora naczelnego LP Adama Loreta, a wielu innych wywieźli na Syberię. Leśnicy zaangażowali się w pomoc ludności cywilnej oraz walkę zbrojną w okupowanym kraju.

Nie sposób jednak zapomnieć o aspekcie pozytywistycznym. Utworzone formalnie w roku 1924 Lasy Państwowe odegrały ogromną rolę w odbudowie i rozwoju odrodzonej Polski. Przychody ze sprzedaży drewna były jednymi

z głównych źródeł pieniędzy w budżetach rządów II RP. Propaństwowy etos leśników, który ukształtował się wtedy, ma dziś bardzo mocne fundamenty.

Lasy tak się nam w kraju ukształtowały, że z jednej strony są instytucją dbającą o dziedzictwo, przyrodę, a z drugiej firmą, która w sposób zrównoważony eksploatuje te zasoby. Nie wszyscy tę podwójną rolę chyba dziś dobrze rozumieją?

Od samego początku Lasy Państwowe prowadziły zrównoważoną gospodarkę leśną. Proszę sobie wyobrazić, że w czerwcu roku 1924 początkowo powołano do życia Lasy Państwowe jako czysto komercyjny podmiot, który miał się zająć głównie pozyskiwaniem i sprzedażą drewna. To po protestach leśników władze się ugięły – wyklarowano status LP jako podmiotu mającego właśnie dbać przede wszystkim o zachowanie lasów i powiększanie ich zasobów, a także samofinansującego się, bez korzystania z pieniędzy podatników. Tak jest do dziś.

Leśnicy to poczucie misji, służby publicznej dla lasów i dla ludzi zawsze mieli, nawet w mrocznych czasach gospodarki nakazowo-rozdziałowej PRL. Sam znam emerytowanego już leśniczego, który w latach komuny zamawiał i kupował na bazarze podrobione tabliczki „pomnik przyrody” i przybijał je na co okazałszych drzewach u siebie, by oszczędzić je przed wycinką narzucaną przez plany idące z góry. Ta wielofunkcyjna i zrównoważona gospodarka nie jest dla nas frazesem, to naprawdę działa. Lesistość Polski wzrosła z niecałych 21 proc. w 1945 r. do 30 proc. dziś, przybyło nam 2,5 mln ha lasów i dalej ich przybywa! Zasobność naszych lasów mierzona w metrach sześciennych drewna podwoiła się w tym samym czasie. Oczywiście pozyskujemy też drewno, nasze lasy dostarczają ponad 90 proc. tego surowca zużywanego w Polsce. Wycinamy mniej, niż przyrasta, to żelazna zasada, dlatego właśnie mimo wzrostu pozyskania zasoby stale rosną.

Myszę też, że wciąż nie doceniamy państwowo-twórczej roli lasów – tego, że są dziś miejscem, do którego każdy może wejść na spacer, odpocząć, zbierać grzyby, zobaczyć dzikie zwierzęta w naturze. W Europie Zachodniej jest to chyba dużo bardziej ograniczone?

Państwowe lasy są otwarte dla wszystkich obywateli. Dla nas, w Polsce, to oczywistość, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Warto jednak to docenić, bo nie wszędzie w Europie czy na świecie

zakres tego prawa jest tak szeroki, o czym czasem przypominają nam doniesienia mediów z różnych krajów, np. o karach dla osób przekraczających limity albo wręcz zakazach zbioru grzybów i innych darów lasu. To jednak nie tylko kwestia dostępu do lasów, lecz także ich stanu, przyrodniczego bogactwa, które w nich możemy znaleźć. Pod tym względem naprawdę mamy być z czego w Polsce dumni. W odróżnieniu od wielu państw Europy Zachodniej zachowaliśmy wszystkie najważniejsze rodzime gatunki związane z lasami. W wielu przypadkach odwróciłyśmy to, co wydawało się nieuniknione, odtwarzając na przykład, poczynając od lat 20. XX w., populację żubrów z kilkunastu dosłownie osobników do blisko 1,9 tys. obecnie. Bielików, będących poprzez godło symbolem Polski, mieliśmy po wojnie raptem kilkadziesiąt par, a dziś ich populacja oceniana jest na ok. 1,5 tys. par. Mammy tak niesamowite regiony jak lasy Podkarpacia, gdzie w dużej i stale rosnącej liczbie występuje cała plejada wspaniałych zwierząt – niedźwiedzi, wilków, rysiów, żbików, które w wielu innych krajach można zobaczyć najwyżej w zoo.

Patriotyzm, świadomość dziedzictwa narodowego i odpowiedzialność za jego pielęgnowanie leśnicy mają we krwi

To zbiorowy wysiłek i sukces wielu ludzi i pokoleń, ale zasługi leśników są tu nie do przecenienia.

A przez ostatnie dekady Lasy Państwowe są coraz bardziej otwarte na ludzi, widać coraz więcej inwestycji. To też przecież dbałość o pamięć i tożsamość – gdy tworzy się zaplecze dla dzieci, które mogą się bawić i poznawać ojczystą przyrodę. Zaplecze dla uczniów, nauczycieli, kontakt z pasjonatami. A jaka jest wizja przyszłości?

Zadaniem LP jest zapewnić Polakom możliwość korzystania z przywileju swobodnego dostępu do lasów w praktyce i dbać przy tym o bezpieczeństwo zarówno korzystających z lasu, jak i przyrody. Staramy się to robić, m.in. tworząc z własnych środków atrakcyjną infrastrukturę dla turystów. To m.in. tysiące kilometrów szlaków pieszych, rowerowych, do jazdy konnej, nordic

walkingu, wieże czy platformy widokowe w atrakcyjnych punktach, wiaty do odpoczynku, ponad 3 tys. leśnych parkingów i miejsc postoju, ponad 7 tys. obiektów edukacyjnych – od ścieżek przyrodniczych do nowoczesnych ośrodków, w których prowadzimy liczne warsztaty i zajęcia. Chcemy oderwać rodziny od komputerów i smartfonów, zachęcić je do wylogowania się na chwilę do życia, do aktywnego wypoczynku w lesie. Żeby to się udało, musimy oczywiście starać się nadążać za trendami i modami w zakresie rekreacji, turystyki, edukacji. Spotykamy się i współpracujemy z nauczycielami, harcerzami, miłośnikami survivalu, bushcraftu, gier terenowych, psich zaprzęgów itp. Oczekiwania wobec Lasów są najróżniejsze – żeby można było rozpalić ognisko, budować jakieś umocowania, biwakować w dowolnym miejscu, urządzić nie do końca formalne zawody, a pomysłów na sposoby korzystania z lasu będzie przybywać. Niektórych z nich nie sposób zapewnić, naruszałoby bowiem obowiązujące przepisy ustawy o lasach, ale rozmawiamy ze wszystkimi i szukamy rozwiązań. Przy tym wszystkim ważne jest dla nas, by tę antropopresję na lasy w pewien sposób kanalizować, by omijała miejsca cenne przyrodniczo, chronione.

Jak od tradycji mocno wyszliśmy w przyszłość, widać po tym, że za największym w Polsce zakupem samochodów elektrycznych stoją właśnie Lasy Państwowe.

Rzeczywiście zakupiliśmy 16 aut elektrycznych, robiąc pierwszy, mały krok w kierunku standardów wyznaczonych przez ustawę o elektromobilności. To niewielka liczba pojazdów, a fakt, że ten przetarg był jak dotąd największym tego rodzaju, świadczy jedynie o tym, że rynek pojazdów elektrycznych w Polsce dopiero raczkuje. Ten zakup to element znacznie szerszych działań prowadzonych przez nas w odpowiedzi na współczesne wyzwania, zwłaszcza konieczność dostosowania się do zmian klimatycznych i ograniczania niekorzystnych ich skutków. Chcemy być gotowi, na ile się da, na to, co przyniesie przyszłość. Któż bowiem powinien być liderem we wdrażaniu i promowaniu proekologicznych, korzystnych dla klimatu i naszego zdrowia, nowoczesnych rozwiązań, jak nie Lasy Państwowe – najbardziej zielone przedsiębiorstwo w Polsce?



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Idą
„chudsze” lata

Od iluż to już miesięcy, ba, co najmniej od roku albo i dwóch – słyszymy, że oto właśnie jesteśmy świadkami początku końca koniunktury i wchodzimy w okres dekonunktury, załamania gospodarczego o niejasnej skali? Bardzo dobra końcówka ubiegłego roku miała być wstępem do 2018 r., kiedy to wzrost pięcioprocentowy miał się zamienić na – w najlepszym razie – wzrost trzyprocentowy. Obstawiali to ważni eksperci ekonomiczni, znani dziennikarze gospodarczy, byli ministrowie finansów. A tymczasem... Cóż, wiele państw życzyłoby sobie takiego „załamania gospodarczego”, z tempem wzrostu sięgającym niemal 5 proc. PKB, które w 2018 r. „dotknęło” Polskę.

A teraz zbiera kolejna fala zapowiedzi mającego nadejść obniżenia tempa wzrostu gospodarczego, do której asumpt dały marne – lipcowy, sierpniowy i wrześniowy – odczyty PMI, wskaźnika wyprzedzającego koniunktury, zwiastujące spowolnienie. I znów, tak jak przed rokiem, z jednej strony trwa festiwal czarnowidzów, a ich czarnowidztwo nie ma końca. A z drugiej – wręcz przeciwnie. Jedni bardzo i mniej znani ekonomiści wróżą poważne osłabienie tempa wzrostu, inni bardzo i mniej znani ekonomiści odwrotnie – wskazują, że po ostatnim, podobnym spadku wskaźnika PMI – w październiku 2016 r. – mieliśmy dwa lata wymarzonej koniunktury.

Jak będzie, rzecz jasna, nie wiadomo, choć tym razem

więcej niż przed rokiem wskazuje na ziszczenie się wkrótce pesymistycznego scenariusza. Pewne jest natomiast jedno: spowolnienie nadejdzie i warto być na nie gotowym. Czy Polska jest gotowa? Poprzednia ekipa rządowa z Platformy i PSL – wiadomo – bez skrupułów podwoiła dług Polski z 0,5 bln do 1 bln zł. A czy obecna – z PiS, która z jednej strony – co się jej chwali – mocno zwiększa wpływy podatkowe, z drugiej aby nie nadmiernie, nazbyt lekką ręką wydaje pieniądze publiczne? I nie mam tu na myśli wyłącznie wydatków jednorazowych, lecz przede wszystkim zaciągnięte nowe stałe zobowiązania. Zobowiązania nie tylko na lata „tłuste”, lecz i „chude”. A w każdym razie – „chudsze” od „tłustych”. Czyli takie, które nadciągną prędzej niż później, a być może już nadciągają.

Co wtedy zrobią rządzący politycy? Wtedy, gdy z powodu obniżenia tempa wzrostu każdego „chudego” roku będzie brakować w budżecie państwa kilku, kilkunastu albo i kilkudziesięciu miliardów złotych? Och, jakże chciałbym się mylić, że nie uczynią tego, co do tej pory zawsze przy takiej okazji czynili, czyli że tym razem nie zwiększą tempa zadłużania Polski, a więc nas, naszych dzieci i wnuków! A potem nie sięgną po resztę oszczędności przyszłych emerytów w OFE lub w OFE-bis, czyli po to, co jeszcze na ich kontach zostało po kradzieży dokonanej w 2014 r. przez Platformę i PSL. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Emerytalne
puzzle

Nadciąga kryzys emerytalny. W skrócie – już niedługo liczba osób w wieku emerytalnym będzie tak duża, że albo trzeba będzie silnie podnieść składki ZUS lub podatki, żeby wypłacić emerytury w obiecaniej wysokości, albo składki zostaną bez zmian, ale emerytury będą znacznie niższe od obiecywanych. Albo trzeba będzie podnieść wiek emerytalny. To są tzw. standardowe metody rozwiązywania problemu, wpisuje się w nie zresztą rządowy pomysł PPK.

Tymczasem ułożenia emerytalnych puzzli trzeba szukać gdzie indziej – zamiast myśleć wzdłuż, trzeba pogłównie, że tak powiem, w poprzek. Emerytowi potrzebne są minimum cztery rzeczy: micha, na komorne, skuteczne leczenie i częste obcowanie z ludźmi, szczególnie z rodziną, jako lek na samotność. Kasa zapewnia pierwsze trzy i ułatwia czwarte, to myślenie wzdłuż. To teraz będzie w poprzek. Badania pokazują, że przy wdrożeniu autonomicznych współdzielonych pojazdów koszt przejazdu kilometra spadnie pięciokrotnie, a czas oczekiwania wyniesie maksimum dwie minuty. Dla emerytów może być zniżka i wtedy emeryt może jechać autonomiczną taksówką w cenie dzisiejszego biletu komunikacji miejskiej, ale z gwarantowanym miejscem siedzącym. To oznacza radykalny wzrost mobilności emerytów, w tym także tych upośledzonych ruchowo, i wzrost satysfakcji z życia, bo odwiedziny u syna/córki czy wypad do klubu brydżowego będą tanie jak barszcz.

Sztuczna inteligencja wkrótce umożliwi automatyzację diagnoz na odległość oraz operacje prowadzone przez roboty nadzorowane przez lekarzy. Dzisiaj chirurg ma 300 operacji rocznie, w przyszłości superchirurg będzie mógł nadzorować tysiąc operacji w różnych lokalizacjach jednocześnie. Dzięki czemu będzie zarabiał dwu-, trzykrotnie więcej, koszt operacji spadnie, a czas oczekiwania na specjalistę radykalnie się skróci. I emerytom będzie lepiej? Jasne, że będzie.

Sztuczna inteligencja pozwala na znaczący wzrost wydajności w rolnictwie, gdzie każda roślinka dostaje tyle wody, słońca i chemii, ile potrzebuje, we właściwym momencie. Podobnie z krówką, ze świnką i z kurczaczkiem. Co więcej, sztuczna inteligencja pozwala optymalizować dietę w ramach dostępnego budżetu, a dron dostarczy ją za darmo do domu. A emeryt lepiej jedzący będzie zdrowszy i bardziej zadowolony.

A co z komornym? Inteligentne domy zoptymalizują zużycie prądu, wody i gazu, a inteligentny termostat ustawi optymalną dla zdrowia temperaturę w domu. I ranchunki będą niższe.

Podsumowując, byłoby lepiej dla przyszłych emerytów, gdyby rząd zamiast w PPK zainwestował te same środki w rozwój sztucznej inteligencji w Polsce. Przy nadwyżce budżetowej może jednak wystarczyć na jedno i drugie. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

NASZ TEST: MITSUBISHI ECLIPSE CROSS

To jeden z tych modeli samochodów, który można pokochać lub znienawidzić. Ostra stylizacja i odważnie zarysowana linia japońskiego crossovera, nawiązująca do sportowych coupé, z pewnością przyciąga wzrok kierowców i przechodniów. Eclipse Cross to więc doskonały rywal popularnego Nissan Qashqai.

W KABINIE

Wnętrze jest równie oryginalne jak sylwetka zewnętrzna. Jakość użytych do wykończenia materiałów jest niezła. Znajdziemy też kilka nowoczesnych gadżetów, m.in. wyświetlacz przezierny (HUD), który pozwala sprawdzać prędkość, z jaką jedziemy, bez odrywania wzroku od drogi.

Multimedialny ekran można obsługiwać dotykowo lub za pomocą niewygodnego gładzika. Na szczęście menu jest bardzo intuicyjne. Brakuje jednak nawigacji, której w tym modelu nie da się zamontować nawet za dopłatą. Na szczęście po podłączeniu telefonu z systemem Android lub iOS na ekranie błyskawicznie pojawia się mapa ze smartfona.

Eclipse Cross mierzy 4,405 m długości i 1,805 m szerokości. Miejsca dla pasażerów z przodu i z tyłu jest więc wystarczająco dużo. Szkoda jednak, że bagażnik mieści tylko 374 l.

JAZDA

Ważący 1,5 t SUV z 1,5-litrowym benzynowym silnikiem o mocy 163 KM rozpędza się do pierwszej setki w niecałe 10 s. Prędkość maksymalna wynosi 200 km/godz., choć przy silnych jesiennych wiatrach lepiej tym autkiem nie przekraczać dozwolonej na autostradach prędkości. Jest jeszcze jeden powód, aby maksymalnie poruszać się 140 km/godz. – przy takich



prędkościach w kabinie panuje jeszcze przyjemna cisza.

Skrzynia CVT nie jest tak głośna jak w dawnych modelach Mitsubishi. Przy delikatnej jeździe sprawdza się doskonale. Niestety, wciśnięcie do dechy pedału gazu sprawia, że w kabinie wyraźnie słychać już dźwięk silnika.

Samochód – zwłaszcza z napędem na cztery koła – prowadzi się pewnie. Nie jest to jed-

nak model dla miłośników emocji wynikających z dynamicznej jazdy. Na ostrych zakrętach auto dość mocno się przechyla. Eclipse Cross dobrze radzi sobie za to z tłumieniem dziur, wybojów i innych nierówności. I bardzo dobrze sprawdza się w cięższych warunkach pogodowych. Wystarczy nacisnąć przycisk obok lewarka zmiany biegów, aby przełączyć ustawienie zawieszenia z „Auto” na „Snow” (śnieg) lub „Gravel” (żwir).

Podczas testu japoński SUV spalał średnio w cyklu mieszanym ok. 9 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Mitsubishi Eclipse Cross zdobył komplet pięciu gwiazdek. W kategorii ochrony dorosłych pasażerów uzyskał aż 97 proc. punktów, za ochronę dzieci – 78 proc., a za ochronę pieszych – 80 proc. punktów. Japoński SUV wyposażony jest m.in. w system ograniczający skutki kolizji czołowych oraz asystenta pasa ruchu i ostrzegającego przed pojazdami znajdującymi się w martwej strefie lusterek. Podczas manewrowania na parkingach przydaje się też asystent monitorujący ruch poprzeczny z tyłu auta, zwłaszcza że widoczność do tyłu jest słaba.

CENA

Najtańsze Mitsubishi Eclipse Cross z benzynowym silnikiem o pojemności 1,5 l, manualną skrzynią biegów oraz napędem na jedną oś kosztuje 89,9 tys. zł. Za najtańszy wariant z napędem na cztery koła i automatyczną skrzynią trzeba zapłacić 130,9 tys. zł. Japończyk w najdroższej wersji wyposażenia kosztuje 144,9 tys. zł.

KONKURENCJA

Ford Kuga, Hyundai Tucson, Nissan Qashqai, VW Tiguan, Mazda CX5. ©

Jacek Przybylski





FOT. ANGELA PHAM/REX/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

W biznesie modowym słowo „nadwaga” do niedawna nie istniało. Jesteś chudy albo nie ma cię wcale. Na chudych ubranie wygląda lepiej i lepiej się sprzedaje. W ten sposób system działał przez lata 80., 90., aż do pierwszych lat nowego millennium.

Jednak w pewnym momencie sprawy zaczęły się komplikować.

Pierwszy silny wstrząs środowisko mody i reklamy przeżyło, gdy w listopadzie 2006 r. brazylijska modelka Ana Carolina Reston zmarła wskutek zaburzeń pracy nerek spowodowanych bulimią i anoreksją. To był kamień, który uruchomił lawinę. Sprawy szkieletów na wybiegach

żowali do pokazów chudzielce. Jak długo można jednak ignorować głosy opinii publicznej? Atak medialny przypuszczono ze wszystkich stron. Feministki, portale społecznościowe. „Normalni ludzie nie mają do mody wstępu” – mówiono. „To dyskryminacja. Dlaczego w magazynach nie widzimy kobiet o niedoskonałym wyglądzie, który przecież jest dominujący we współczesnym świecie?”. Pod wpływem tych głosów sytuacja zaczęła się zmieniać.

WIĘCEJ CIAŁA

W kampaniach reklamowych zaczęto zatrudniać grubsze modelki. Dwie korporacje zrzeszające luksusowe marki ubrań, dodatków i perfum – LVMH i Kering – obie-

Wielki problem z XL



Joanna Bojańczyk

Czy promując grubsze sylwetki, nie jesteśmy przypadkiem osławiani z otyłością po to, by w końcu uznać, że jest ona czymś fajnym?

nie dało się już dłużej zamiatać pod dywan. W przemyśle mody rozpoczęła się walka o przywrócenie normalności, dla modelek wprowadzono nieprzekraczalne minimum BMI. Jednak nie było łatwo. Establishment nie chciał się pogodzić ze zmianą. Nieliczni menedżerowie mieli odwagę przyznać otwarcie, że „pogrubienie” modelek byłoby dla branży ciosem finansowym. Przyciśnięci do muru przyznawali, że istotnie propagowany w mediach model damskiej sylwetki jest nierealistyczny i trzeba coś z tym zrobić. Po czym znowu anga-

cały, że nie będą już zatrudniać przesadnie chudych dziewczyn.

Nieoczekiwanie jednak celebrytkami stały się modelki plus size, które jeszcze parę lat temu na próżno próbowały przebić się do pierwszej linii branży. Teraz pojawiają się już nie jako „ciekawostki”, ale dowody na to, że moda je zaakceptowała. Ashley Graham, Jessica Leahy, Chloe Marshall, Precious Victoria Lee, Danika Brysha... Popularność zdobywa 26-letnia Paloma Elsesser, Angielka mieszkająca w Stanach. U nas status celebrytki zyskała Dominika Gwit, która ze swoich zmagañ z otyłością (wazyła ponad 100 kg) uczyniła drogę do „sławy”.

Pojawił się jednak inny problem. Otyłość (BMI powyżej 30) stała się zjawiskiem epidemicznym na całym świecie i prze-

mysł mody nie może już jej ignorować. Liderem w niechlubnym rankingu są Stany Zjednoczone. W Europie jest trochę lepiej, ale też nie ma się z czego cieszyć. Średnia europejska wynosi 22,3 proc. populacji ludzi z nadwagą.

Ci ludzie, zazwyczaj młodzi, a często zamożni (choć generalnie osoby otyłe reprezentują niski status społeczny) gdzieś muszą się ubrać.

I to dla nich trochę bocznymi drzwiami, bez rozgłosu, marki odzieżowe zaczęły wprowadzać tzw. plus size. H&M, KappAhl, New Look, Forever 21, Marks & Spencer. Polskie firmy Tatum, Solar, Quiosque, Monnari, Reserved także szyją niektóre wzory w rozmiarze 42 i 44.

Trend wyprzedziła włoska marka Marina Rinaldi, która od lat specjalizuje się w wysokiej jakości ubraniach dla kobiet o rozmiarze powyżej 44. Jedyna, która robiła to bez kamuflażu, za to skutecznie reklamując się hasłem: „Elegancja to nie kwestia rozmiaru”.

Rodzi się jednak pytanie: Czy promując otyłość, nie jesteśmy przypadkiem osławiani z nią po to, by w końcu uznać, że jest ona czymś do zaakceptowania, nawet fajnym? No bo skoro jest w telewizji, na okładkach... Następuje, jak nazwali to

angielscy badacze, „normalizacja” otyłości, która może doprowadzić do tego, że ludzie z nadwagą zaczynają lekceważyć, jeszcze bardziej pogarszając swój stan zdrowia. A nie ma wątpliwości, że otyłość jest chorobą. To prawda, że pokazywanie tęższych kobiet zdjęło stygmat z tych, które mają kilka kilogramów za dużo, ale przekaz ten można odbierać inaczej.

– Widząc ogromny potencjał na rynku większych rozmiarów, handel przyczynia się do normalizacji zjawiska otyłości – przestrzega dr Raya Muttarak, profesor Uniwersytetu Wschodniej Anglii. Zbadała ona grupę 23 460 ludzi z nadwagą oraz otyłością i doszła do wniosku, że procent tych, którzy swoją wagę lekceważą, między rokiem 1997 a 2015 wzrósł z 48,4 proc. do 57,9 proc. u mężczyzn i z 24,5 proc. do 30,6 proc. u kobiet.

DUŻO ZA TYLE SAMO?

Byłoby logiczne, żeby ubrania dla większych kosztowały więcej, bo potrzeba na nie więcej materiału. Jednak producenci obawiają się narzucić tzw. podatek od otyłości, podobnie jak linie lotnicze bronią się przed wprowadzeniem dodatkowych opłat dla otyłych pasażerów. W Polsce ten problem jeszcze nie jest tak ostry. Mamy do

czynienia bardziej z nadwagą niż z monstrualną otyłością. Nasze 44, 46, 48 nie mogą się porównywać z amerykańskimi, wielkimi jak namiot koszulami, spodniami. W Stanach widok bardzo grubych ludzi jest powszechny, podobnie powszechnie dostępne są gigantyczne ubrania dla nich. Jednak jest to generalnie domena tańszych sieci typu Walmart, Target, Kmart. W popularnym domu towarowym Target porównywałam ceny ogromnych koszul – XXXL kosztowała 2 dol. więcej niż small. Wyższa półka takich rozmiarów nie chce prowadzić, zakładając, że ludzie o wyższym statusie materialnym są szczupli.

Szczupłość jest ideałem cywilizacyjnym, a otyłość epidemią społeczną. Oba zjawiska generują wiele innych: obsesję diet i zdrowego żywienia, choroby takie jak bulimia i anoreksja. Problem wydaje się nierozwiązywalny w czasach taniego, powszechnie dostępnego jedzenia i nic nie wskazuje na to, żeby to się zmieniło.

Bogaci są szczupli, otyłość to znak niskiego statusu społecznego. Modelki są chude, ludzie coraz grubszy. Oto paradoks naszej cywilizacji, która zwariowała jednocześnie na punkcie jedzenia, tycia i odchudzania. I nie wiadomo, co jest jej większym problemem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
i MIESIĘCZNIKA HISTORIA „DO RZECZY”

W PREZENCIE
KOSZULKA PATRIOTYCZNA
„POLSKI ORZEŁ” + EWYDANIE

Cena: 289 zł
Oszczędność: 394 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

+
e-wydanie

NALEŻY PODAĆ
ROZMIAR KOSZULKI

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



ŁUKASZ SZUMOWSKI
MINISTER ZDROWIA

Zdrowie priorytetem

W exposé premier Mateusz Morawiecki mówił, że zdrowie jest priorytetem rządu, bo nie ma godnego życia bez sprawnej opieki zdrowotnej

Traktowanie zdrowia jako priorytetu zaowocowało ustawą o wzroście nakładów na służbę zdrowia do poziomu 6 proc. PKB do 2024 r. Warto o tym mówić i warto to podkreślić, gdyż sytuacja, w której nakłady na ochronę zdrowia rosną, jest unikatowa. Ministerstwo Zdrowia i rząd podejmują wielkie wyzwanie zwiększenia nakładów do 6 proc. PKB w rekordowym czasie, co pozwala na wprowadzenie wielu zmian. Trwa również debata „Wspólnie dla zdrowia” będąca miejscem dialogu, który służy wypracowaniu systemu mającego zrównoważyć potrzeby społeczne z możliwościami finansowymi i gospodarczymi państwa oraz zaangażowaniem kapitału społecznego.

Celem Ministerstwa Zdrowia jest dbanie o zdrowie i bezpieczeństwo pacjentów. Z tego względu bardzo ważne są przygotowanie i wdrożenie programów pilotażowych dotyczących leczenia chorób układu krążenia

oraz nowotworów. Takim programem jest pilotaż trombektomii mechanicznej w leczeniu udaru niedokrwinnego. W grudniu bieżącego roku ruszy także pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej. Głównym jej celem jest wdrożenie nowej organizacji opieki onkologicznej, jakości tej opieki i efektów klinicznych. Nowa organizacja opieki ma poprawić wyniki leczenia onkologicznego. Kolejnym programem będzie pilotaż kompleksowej opieki nad pacjentami z niewydolnością serca (KONS). Celem KONS jest zapewnienie kompleksowej opieki pacjentowi, nadzór nad przebiegiem choroby, zmniejszenie liczby hospitalizacji i śmiertelności pacjentów.

Intensywnie pracujemy również nad informatyzacją ochrony zdrowia. W obecnych czasach – ogromnego postępu technologicznego – te rozwiązania stają się podstawą opieki nad pacjentem. Wdrożyliśmy e-receptę: to pozytywna zmiana zarówno

z perspektywy lekarzy, farmaceutów, jak i pacjentów. Postępująca informatyzacja systemu zdrowia jest równoznaczna nie tylko ze zwiększeniem wygody pacjenta i oszczędnością jego czasu, lecz także przede wszystkim z poprawą bezpieczeństwa obywateli i gwarancją ich lepszej ochrony. W związku z tym stopniowo będziemy wprowadzać e-recepty, e-skierowania, e-dokumentację medyczną, która będzie częścią Internetowego Konta Pacjenta.

Kongres 590 jest również doskonałym miejscem do szerokich dyskusji nad zagadnieniami z sektora ochrony zdrowia, które mogą przyczynić się do pozytywnych zmian. Jest to również miejsce idealne, by podkreślić, że sektor ochrony zdrowia to coraz ważniejsza i mocno rozwijająca się gałąź gospodarki.

Z poważaniem

Kongres 590 jest skierowany głównie do polskich przedsiębiorców i właścicieli marek. Nazwa pochodzi od prefiksu kodu kreskowego, którym oznaczane są towary produkowane lub dystrybuowane przez polskie firmy. #Wybieram590 to nowy projekt realizowany przez organizatorów Kongresu 590. Czyli: Wybieram produkty polskie. Trudno wyobrazić sobie rozwój gospodarczy Polski bez zdrowego społeczeństwa. Stąd dodatek specjalny: „Do Rzeczy o zdrowiu” z okazji Kongresu 590.

Polskie leki = dobre leki?

Można wybierać polską odzież, polska żywność jest ceniona na całym świecie. A polskie leki? Czy jako pacjenci możemy mieć do nich zaufanie?

Jak pokazują badania, najczęściej sięgamy po polski produkt z przekonania o jego wysokiej jakości (tak mówi 57 proc. respondentów w badaniu CBOS „Patriotyzm gospodarczy”). Jako pacjenci chcemy korzystać przede wszystkim z leków skutecznych. Czy mają szansę być produkowane w Polsce? Czy państwo powinno wspierać krajowy przemysł farmaceutyczny? Czy ma on szansę konkurować z globalnymi firmami?



JEST GWARANCJA
ROMAN TOPÓR-MĄDRY, prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych

Leki polskich producentów mogą śmiało konkurować z produktami globalnych firm. Wszystkie cząsteczki trafiające na rynek farmaceutyczny są wnikliwie przebadane, ustalone zostały ich skuteczność i bezpieczeństwo. Same procesy prowadzenia badań nad lekami, podobnie jak procesy wytwarzania produktów leczniczych, są regulowane branżowymi standardami. Standardy te dają gwarancję, że lek, który nabywamy w aptece, nie będzie się różnił jakością, skutecznością czy bezpieczeństwem, niezależnie od kraju produkcji. Polskie leki wprowadzane na rynek muszą spełniać identyczne wymogi prawne i jakościowe jak leki produkowane za granicą.

Warto natomiast wspomnieć, że Polska ma długą tradycję rozwoju farmacji (pierwsze katedry farmacji powstały na przełomie XVIII i XIX w. w Krakowie, Warszawie i Wilnie). Świątując setną rocznicę odzyskania niepodległości, pamiętajmy, że od lat 20. XX w. przemysł farmaceutyczny dynamicznie się rozwijał i w 1939 r. było blisko 40 za-

kładów farmaceutycznych. Obecnie sektor produkujący leki w Polsce stosuje najnowsze technologie, a polscy wytwórcy przywiązują dużą wagę do przestrzegania wytycznych związanych z dobrymi praktykami w branży farmaceutycznej.



LEKI MUSZĄ SŁUŻYĆ PACJENTOM

KRZYSZTOF OSTROWSKI, poseł, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Praw Pacjentów

Polski przemysł

farmaceutyczny odgrywa znaczącą rolę w zapewnieniu bezpieczeństwa lekowego w naszym kraju. Zgodnie z polskim prawem leki wytwarzane przez rodzime firmy farmaceutyczne podlegają takim samym procedurom kontroli jakości oraz weryfikacji skuteczności i bezpieczeństwa jak leki zagranicznych koncernów. Z mojej perspektywy – przewodniczącego zespołu zajmującego się sprawami pacjentów – jest to otwarcie drogi do poprawy leczenia wielu chorób. Konkurencja w tym obszarze sprzyja dwóm podstawowym celom, które przyświecają każdemu państwu: z jednej strony zapewnienia pacjentom dostępu do leczenia o wysokiej jakości, z drugiej zaś optymalizacji kosztów. Oczywiście trzeba zdawać sobie sprawę, że cele te wymagają najpierw stworzenia przyjaznego otoczenia, w tym przypadku zapewnienia rozwiązań, które ułatwią rozwój tej gałęzi przemysłu.

Musimy jednak pamiętać, że ten rozwój powinien ściśle korelować z potrzebami zdrowotnymi polskich pacjentów. Przez wiele lat mieliśmy w Polsce do czynienia z finansowaniem budowy nowych szpitali, które rozbudowywały się bez analizy potrzeb zdrowotnych. W efek-

cie mamy dużo pustych łóżek i szpitali, które nie mogą się zbilansować. Zatem w mojej opinii podstawową przesłanką do prowadzonych badań rozwojowych i wytwarzanych produktów leczniczych powinno być zapewnienie nowoczesnych terapii lekowych tym grupom pacjentów, którzy w najbliższych latach będą stanowić największe wyzwanie dla systemu opieki zdrowotnej.



NIE ZMARNUJMY POTENCJAŁU!

KRZYSZTOF KOPEC, prezes zarządu Polskiego Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego

Wszystkie leki dopuszczone na rynek UE muszą być bezpieczne i skuteczne, tak więc leki produkowane w Polsce są bezpieczne i skuteczne. Ich wartość dodana wynika z tego, że kupując lek krajowy, przyczyniamy się do rozwoju polskiej gospodarki. Przemysł farmaceutyczny jest bowiem branżą, która podnosi poziom jej innowacyjności i daje zatrudnienie wysoko wykwalifikowanym pracownikom. Posiadanie przemysłu farmaceutycznego gwarantuje też bezpieczeństwo lekowe Polakom. Dlatego polityka refundacyjna, która jest przecież kupowaniem leków, powinna brać to pod uwagę.

Można oczywiście kupować najtaniej od producentów azjatyckich, ale to pozorne oszczędności. Trzeba kupować mądrze. Preferując dostawców krajowych, zwiększamy kapitał inwestycyjny rodzimych firm. Przyczyniamy się do wzrostu gospodarczego kraju. Warto więc, negocjując ceny leków, brać pod uwagę aktywność inwestycyjną ich producentów w Polsce. Mamy własny przemysł farmaceutyczny na najwyższym europejskim poziomie. Nie zmarnujmy tego!



Z Barbarą Misiewicz-Jagielak,
dyrektorką ds. relacji zewnętrznych w Polpharmie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Ścigamy się z najlepszymi



FOT. ARCHIWUM BARBARY MISIEWICZ-JAGIELAK

KATARZYNA PINKOSZ: Czy polski przemysł farmaceutyczny jest innowacyjny?

BARBARA MISIEWICZ-JAGIELAK: Według OECD przemysł farmaceutyczny to jedna z najbardziej innowacyjnych gałęzi gospodarki. Widać to również w raporcie GUS, który wskazuje, że największy odsetek przedsiębiorstw przemysłowych wprowadzających innowacje jest w dziale „Produkcja podstawowych substancji farmaceutycznych oraz leków i pozostałych wyrobów farmaceutycznych”. W Polsce jednak wciąż wielu osobom się wydaje, że pod pojęciem innowacji trzeba rozumieć zupełnie nową molekułę. Tymczasem w farmacji innowacja dotyczy również nowych postaci leku. Bardzo często, gdy kończy się patent leku oryginalnego, zaczyna się wyścig kilku firm farmaceutycznych, by stworzyć odpowiedniej klasy lek zastępczy.

Branża generyczna to sektor bardzo zróżnicowany. Mamy tu do czynienia zarówno z prostymi generykami będącymi kopią leku referencyjnego, jak i produktami „difficult to make”. Są to np. zaawansowane leki sterylne, podawane dożylnie. W ich produkcji specjalizują się tylko niektóre firmy generyczne. Jeszcze inną grupą są tzw. leki z wartością dodaną, np. gdy modyfikacji ulega sposób uwalniania substancji czynnej z tabletki, lub też leki złożone, kiedy dwie substancje czynne łączy się w jednej tabletkce. Wszystkie te rozwiązania mogą być przykładem innowacji, które przynoszą realną wartość dla pacjenta.

Nie wystarczy dwa leki po prostu skleić w jednej tabletkce?

Nie, technologia produkcji takiego leku jest bardzo złożona, gdyż np. jed-

na substancja uwalnia się w żołądku, druga w jelicie. Bardzo innowacyjne są też leki biologiczne biorównoważne, w przypadku których substancja czynna jest produkowana z użyciem organizmów żywych. Polska mogłaby się specjalizować w produkcji leków biologicznych biorównoważnych, które powstały po wygaśnięciu ochrony patentowej.

Leki, które produkuje Polpharma, to nie są proste kopie, to wysokie technologie. W fabryce w Duchnicach, której budowa zakończy się w 2020 r. (to będzie nasza siódma fabryka w Polsce), będą produkowane leki biologiczne na cały świat.

Wiele mówi się o tym, że polski przemysł farmaceutyczny miałby się stać kołem zamachowym gospodarki. Jakiego wsparcia ze strony państwa potrzebują producenci?

Cieszą nas Strategia Odpowiedzialnego Rozwoju oraz to, że rząd zwraca uwagę na rozwój gospodarki i stawia na sektory innowacyjne, gdzie są duże wydatki na badania oraz rozwój. Natomiast problemem są regulacje cenowe dotyczące leków refundowanych. Z punktu widzenia ministra zdrowia chodzi o to, by kupić jak najtaniej jak najwięcej skutecznych leków. Jednak „jak najtaniej” to znaczy „poza Europą”, co oznaczałoby, że farmacja polska upadnie, ponieważ leki w Polsce produkuje się dużo drożej niż w Azji. Dlatego pytaliśmy, czy rząd chce, żebyśmy produkowali w Polsce.

A rzeczywiście chce?

Tak. Dlatego potrzebne są współpraca i opracowanie strategii dla farmacji. Wydaje się, że jesteśmy coraz bliżej jej stworzenia. Coraz więcej mówi się o RTR – Refundacyjnym Trybie Rozwojowym.

Refundacyjny Tryb Rozwojowy miał zapewnić uwzględnianie przy decyzjach o refundacji leków to, czy firma inwestuje w Polsce, produkuje tu i zatrudnia ludzi. To zaczyna być uwzględniane?

Teoretycznie już obecnie powinno to być brane pod uwagę. Na podstawie naszych sprawozdań dołączyliśmy do wniosków refundacyjnych twarde dane: ile wydajemy na badania i rozwój, ile na inwestycje. Nasze fabryki, poza Warszawą, znajdują się w rejonach, gdzie często jesteśmy największym pracodawcą. Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii podjęło się doprecyzowania, w jakim stopniu dane tego typu powinny być uwzględniane. Niestety, wszystko to trwa i negatywnie odbija się na polskich firmach. Gdy w 2011 r. musieliśmy obniżyć ceny leków w wyniku negocjacji z Ministerstwem Zdrowia, w konsekwencji musieliśmy gwałtownie zmniejszyć nasze inwestycje.

Dlaczego państwu nie opłaca się kupować leków najtaniej?

Dopłata NFZ wynosi tyle samo dla leku importowanego, ile dla produkowanego w Polsce, jednak efekt gospodarczy jest diametralnie różny. Jeśli państwo będzie skupiać się jedynie na najniższej cenie, to będziemy wspierać obce gospodarki, głównie krajów pozaeuropejskich. Koszt produkcji leku w Polsce jest wyższy niż np. w Azji. Bywa też tak, że polskie firmy konkurują z wielkimi globalnymi graczami, ko-

rzystającymi z efektu skali lub licznych przywilejów podatkowych w swoich krajach macierzystych. Polskie firmy bardzo się rozwinęły. Dwadzieścia lat temu nikt nie marzył o biotechnologii, o nowoczesnych fabrykach. Jednak dziś trzeba mieć środki, by zainwestować, rozwinąć produkcję leków następnych. Konieczne jest zatrudnienie technologów, wyszkolenie ludzi, zakup nowych linii produkcyjnych.

Z raportu Digital Economy Lab (DELab) wynika, że wszystkie bogate kraje bardzo wspierają własny przemysł farmaceutyczny. To konieczne, jeśli chce się mieć innowacyjną gospodarkę.

Co powinno być uwzględnione w tzw. RTR? W zależności od tego, co każda z firm robi w Polsce, uważa, że to jest najważniejsze: badania kliniczne, fabryka, IT...

Zauważyłam, że wiele osób często używa pojęcia „innowacyjność”. Jaki jednak wpływ na innowacyjność polskiej gospodarki ma to, że w Polsce sprzedaje się lek innowacyjny? Jeżeli jest on przełomowy – jednak to zdarza się rzadko – to może mieć wpływ na zdrowie obywateli. „Innowacyjność w farmacji” nie jest celem, tylko drogą do bardziej skutecznych i bezpiecznych terapii. Oczywiście są producenci globalni, którzy również w Polsce produkują leki. Oni też mają wpływ na polską gospodarkę. Trudno jednak mówić, żeby firma, która w Polsce prowadziła tylko badania kliniczne, miała wpływ na innowacyjność polskiej gospodarki.

Czyli co powinno być brane pod uwagę?

DELab określił, że dla gospodarki mają znaczenie: wpływ na PKB, wpływ na rynek pracy, wydatki na prace badawczo-rozwojowe, badania kliniczne wszystkich faz – gdy lek będzie produkowany w Polsce.

Na gospodarkę mają też wpływ czempioni narodowi. Polpharma jest na szóstym miejscu w rankingu czempionów gospodarczych i na trzecim w kategorii innowacyjności. Czempioni przecierają np. szlaki za granicą innym firmom polskim. Wokół nas mogą powstawać nisze dla innowacji.

Kiedys myślano, że leki produkowane za granicą są lepiej oczyszczone, bezpieczniejsze. Jak pani przekona, że polskie leki są dziś tak samo dobre i skuteczne jak produkowane przez zagraniczne firmy?

Do produkcji naszych leków wykorzystujemy najnowszą technologię. Żeby lek został zarejestrowany, musi przejść wszystkie badania – w UE jest to ściśle przestrzegane. Produkcja w Polsce jest dodatkowo sprawdzana przez polski nadzór farmaceutyczny. Widziałam wiele fabryk leków w Europie i mogę powiedzieć, że nasze zakłady są naprawdę na bardzo wysokim poziomie.

Pacjent powinien więc się cieszyć, kupując w aptece polski lek?

Powinniśmy być z tego dumni, podobnie jak jesteśmy dumni z naszych sportowców. Polską farmacją można chwalić się na świecie. Ścigamy się z najlepszymi. Ponadto powinniśmy myśleć o bezpieczeństwie lekowym, za którego brak zapłaciły Rosja i Grecja. Jak największej leków powinno być produkowanych

Lider rynku farmaceutycznego

Co ósme opakowanie leku w polskich aptekach i co trzecie w szpitalach pochodzi z Polpharmy. Polpharma to największy polski producent leków, ma siedem zakładów produkcyjnych (w tym pięć w Polsce), siedem nowoczesnych ośrodków badań i rozwoju (cztery w Polsce).

w kraju. A w Polsce w pewnym momencie był odwrót – uważało się, że wszystko można kupić w Chinach. Ważne jest także to, że z każdej złotówki, którą pacjent wyda na lek wyprodukowany w Polsce, aż 78 gr wesprze PKB Polski.

Warto mieć krajowy przemysł farmaceutyczny?

Jest niezbędny: ze względu na gospodarkę, bezpieczeństwo lekowe, dumę narodową. A także dlatego, że dziś młodzi polscy naukowcy wracają do kraju, bo mają tu gdzie pracować. Jestem z nich dumna. Ci młodzi ludzie mają poczucie misji. Wiedzą, że to nie jest po prostu fabryka, że tu produkuje się ważne leki stosowane w chorobach onkologicznych, autoimmunologicznych, kardiologicznych, które ratują życie i zdrowie. Często dopiero, gdy ktoś zobaczy nasze zakłady produkcyjne, mówi: „To jest coś naprawdę wyjątkowego, nie można tego zniszczyć”.



FOT. ADRIAN STOK

Leki teoretycznie dostępne



Katarzyna Pinkosz

Od maja jest już w Polsce refundowana część najnowszych nowoczesnych terapii w raku płuca. Niestety, przedłużająca się diagnostyka lub jej brak często odbierają chorym szanse na leczenie i przedłużenie życia

Rak płuca to w tej chwili nowotwór numer jeden w Polsce, jeśli chodzi o śmiertelność zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Co roku w Polsce jest diagnozowany u 20–22 tys. osób, a umiera z jego powodu ok. 19 tys. osób. Tak złe wyniki są spowodowane tym, że zwykle rozpoznaje się ten nowotwór, kiedy jest już mocno zaawansowany, z przerzutami. Tylko u ok. 20 proc. osób diagnozuje się go we wczesnym stadium, gdy jest szansa na całkowite wyleczenie (dzięki operacji chirurgicznej

oraz zastosowaniu leczenia skojarzonego: chemioterapii i radioterapii).

Jeszcze kilka lat temu właściwie nie było możliwości leczenia zaawansowanego raka płuca, poza zastosowaniem chemioterapii, która dawała szansę na wydłużenie życia maksymalnie o kilka miesięcy. Dzisiaj sytuacja diametralnie się zmieniła: pojawiły się nowe leki, które w przypadku części chorych okazały się rewolucją, gdyż dają szansę na wydłużenie życia nawet o kilka lat i więcej. – Obecnie dla pewnych grup chorych możemy tak dobrać lecze-

nie, że rak płuca staje się u nich chorobą przewlekłą – potwierdza prof. Dariusz M. Kowalski, prezes Polskiej Grupy Raka Płuca i kierownik Oddziału Zachowawczego Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytutu w Warszawie.

Do niedawna o większości z tych nowoczesnych terapii chorzy w Polsce mogli tylko pomarzyć – nie były refundowane. W tym roku sytuacja bardzo się zmieniła, gdyż kilka nowych leków (pembrolizumab, niwolumab, nintedanib) pojawiło się na listach refundacyjnych. Chorzy mogą je otrzymać, jeśli zakwalifikują się do tzw. programów lekowych. Onkolodzy chwalili zmiany, chociaż podkreślali, że nie są to jeszcze wszystkie leki rekomendowane i stosowane w innych krajach (brakuje m.in. immunoterapii dla chorych z rakiem gruczołowym).

Niestety, okazuje się, że w wielu miejscach Polski dostęp nawet do tych leków,

które są refundowane, jest mocno utrudniony, a często tylko... teoretyczny. Powód – problemy z diagnostyką i brak pieniędzy na prowadzenie programów lekowych.

TRAFIĆ W GUZA

Sposób leczenia raka płuca zależy dziś już nie tylko od zaawansowania, lecz także od typu, podtypu, profilu molekularnego nowotworu. Dla części chorych z określonym podtypem i cechami genetycznymi nowotworu są już leki o wysokim stopniu skuteczności. Nie działają one jednak równie skutecznie u wszystkich chorych, dlatego zanim się je poda, konieczna jest kompleksowa diagnostyka: sprawdzenie, na jaki podtyp raka płuca choruje pacjent i czy ma tzw. czynniki predykcyjne, kwalifikujące do leczenia.

Możliwości wykonania kompletu badań diagnostycznych u chorych na zaawansowanego raka płuca onkolodzy oceniają jako dalece niewystarczające. Diagnostyka trwa za długo, a w wielu przypadkach jest wykonywana tylko częściowo. – Czasami przychodzi do nas pacjent, który jest już diagnozowany od dwóch–trzech miesięcy. To jest niedopuszczalne, bo przecież w tym czasie nowotwór rośnie – mówi prof. Paweł Krawczyk z Katedry i Kliniki Pneumologii, Onkologii i Alergologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Prawidłowy proces diagnostyczny w zaawansowanym raku płuca jest skomplikowany. Najpierw powinno się sprawdzić, czy chory ma mutację w genie EGFR (występuje ona u ok. 10–15 proc. pacjentów). Jeśli tak, to jest możliwość zastosowania leku celowanego. Przynosi to bardzo dobry efekt u ponad 70 proc. pacjentów, a niektórzy z nich są efektywnie leczeni w ten sposób już od kilku lat – rak u nich nie postępuje. Jeśli chory nie ma mutacji w genie EGFR, to należy sprawdzić, czy nie występuje u niego tzw. rearanżacja w genie ALK (ma ją ok. 5 proc. chorych).

Te badania to podstawa. Niestety, nie zawsze są wykonywane. Powód: skomplikowany system rozliczeń szpitala z NFZ. – Szpital może rozliczyć w ramach NFZ tylko jedno badanie złożone, np. rearanżacji w genie ALK. Jeśli jednak wcześniej rozliczył badanie proste mutacji w genie EGFR, to już za to drugie badanie nie dostanie pieniędzy – tłumaczy prof. Krawczyk.

Jeszcze większy problem pojawia się, gdy u chorego nie zostanie wykryta żadna

z tych dwóch nieprawidłowości genetycznych (a tak jest u ponad 80 proc. chorych). Wówczas pacjent powinien mieć wykonane badanie ekspresji cząsteczki PD-L1, które sprawdza, czy w jego przypadku warto zastosować nowoczesne leki z zakresu immunoterapii (efekty ich stosowania u części chorych są znakomite). Nie we wszystkich szpitalach jednak chorym takie badanie w ogóle jest proponowane. Powodem znów jest trudność odzyskania za nie pieniędzy od NFZ. – O ile w dużych centrach onkologicznych, takich jak Centrum Onkologii w Warszawie, pacjenci mają wykonywane te badania, o tyle w mniejszych ośrodkach – nie. Mniejsze szpitale często nie mają możliwości stosowania nowoczesnych terapii w ramach programów lekowych, dlatego często nie zlecają wykonywania badań genetycznych ani patomorfologicznych – wyjaśnia prof. Krawczyk. Bywa, że w takim przypadku chory dostaje chemioterapię, mimo że nie jest to dla niego optymalny sposób leczenia.

Problemem jest też czas. Całą diagnostykę powinno się wykonywać jak najszybciej, w sposób kompleksowy – dzięki temu chory mógłby jak najszybciej dostać leki. Niestety, zwykle najpierw wykonuje się pierwsze badanie, czeka na wynik, potem drugie, znów czeka na wynik, następnie trzecie... Przez ten czas rak się rozwija. – Optymalnie wszystkie biomarkery powinny być oceniane w jednym laboratorium, w ścisłej współpracy z patomorfologiem posiadającym doświadczenie w diagnostyce raka płuca – mówi prof. Joanna Chorostowska-Wynimko, kierująca Zakładem Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie.

Problemem jest też często jakość przeprowadzonej diagnostyki. Ponieważ szpitale dostają zbyt małe pieniądze z NFZ, szukają najtańszych laboratoriów. – Jeśli ośrodek podpisuje umowy z najtańszym laboratorium na rynku, to może się okazać, że jakość badań jest niewystarczająca i mamy wyniki fałszywie ujemne – podkreśla prof. Paweł Krawczyk, zapewniając, że zna przypadki, gdy wyniki nadesłane z laboratoriów były nieprawidłowe.

Na oszczędzaniu na diagnostyce tracą pacjenci, gdyż nie mają szans na optymalne leczenie. Tracimy też wszyscy, jeśli leki są wydawane nie tym pacjentom, którzy najbardziej na terapii by skorzystali. – Aktualna organizacja, a właściwie

dezorganizacja ścieżki diagnostycznej na etapie badań patomorfologicznych i molekularnych jest nieefektywna i bardzo kosztowna. Zwracamy też uwagę na brak kompleksowości i całkowity brak nadzoru nad jakością. Wraz z nieuchronnym udostępnieniem kolejnych leków, które wymagają oznaczenia kolejnych markerów, istnieje ryzyko dalszego wydłużenia procesu diagnostycznego – ostrzega prof. Chorostowska-Wynimko.

NIE MA ZA CO LECZYĆ

Onkolodzy mówią też, że w ślad za decyzją o refundacji nowych leków w raku płuca szpitale nie dostały dodatkowych pieniędzy z NFZ, dlatego wiele z nich ogranicza stosowanie innowacyjnych terapii. – W dużych centrach onkologicznych programy są prowadzone, ale w wielu mniejszych nie. Są szpitale, gdzie pacjenci mogą nie otrzymać optymalnego leczenia. Jeśli zdiagnozujemy chorego, to często musimy potem dla niego znaleźć szpital, w którym zostanie leczenie – mówi prof. Krawczyk.

Jeśli pacjent jest przebojowy albo ma pomocną rodzinę, to być może trafi do ośrodka, który prowadzi leczenie nowoczesnymi lekami. Nie każdy chory ma jednak takie cechy.

Zdaniem prof. Krawczyka konieczne jest systemowe rozwiązanie finansowania diagnostyki czynników predykcyjnych, tak by rzeczywiście każdy szpital mógł zlecić wykonanie badań u każdego chorego i otrzymać za to pieniądze od NFZ. – Niektóre ośrodki powinny mieć możliwość prowadzenia pełnej diagnostyki i leczenia, inne – mieć ścieżkę dostępu do laboratoriów oraz szpitali, które prowadzą programy lekowe, tak by pacjenta szybko zdiagnozować i zakwalifikować do leczenia. Nie może być sytuacji, że chory sam musi szukać dla siebie ośrodka.

Zamiast więc leczyć chorych skutecznymi terapiami, lekarze często stają przed dylematem etycznym. Co robić: narażać pacjenta na oczekiwanie, próbować diagnozować oraz szukać szpitala, który poprowadzi leczenie? Czy leczyć tak jak 10 lat temu, czyli stosować chemioterapię? – Europa idzie do przodu w tempie kosmicznym, w październiku 2018 r. pojawiły się zalecenia European Society for Medical Oncology (ESMO). Wciąż pojawiają się nowe leki, nowe możliwości terapii. Te zalecenia i nasze możliwości w Polsce dzieli już przepaść – ocenia prof. Krawczyk.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

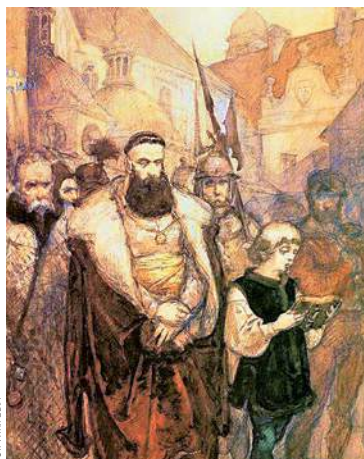
Tnę z prawa na lewo

Wznoszę katowski miecz, tępo zakończony, ścięty płasko i przewiercony na końcu. Tnę z prawa na lewo, płasko, a jednak ostatecznie – nieco skośnie. Niby gładko, lecz niewprawiony, tracę równowagę tym samym ciosem, zacinając lewe ramię skazańca i odcinając kawałek pleców wysoko nad łopatką i obojczykiem...”

Tak 26 maja 1584 r., o świcie, kończy życie Samuel Zborowski, niekoronowany król polskich banitów i buntowników. Skazany na wygnanie za nieumyślne zabójstwo kasztelana Wapowskiego przy boku króla Henryka Walezego w Krakowie. Niestety, bohater przedstawiony w książce Jarosława Marka Rymkiewicza to postać fikcyjna i literacka niemająca nic wspólnego z prawdziwym Zborowskim.

Samuel, awansowany przez autora na romantycznego buntownika, w rzeczywistości był ponurym i brutalnym magnatem, przywodzącym na myśl najgorsze postacie z „Gry o tron” – Ramsaya Boltona czy Gregora Clegane’a. Dlaczego? Ano dlatego, że wszystkie źródła opisujące jego poświęcenie w obliczu śmierci i kreujące go na ofiarę króla oraz kanclerza, powstały po egzekucji i są propagandą jego brata Krzysztofa wymierzoną w stronnictwo Zamoyskiego.

Zborowski był człowiekiem na każdym kroku manifestującym rodową dumę i pochodzenie, gardzącym szlachcią i nadużywającym przemocy. Ograniczonym brutalnym, a nie romantycznym buntownikiem. Potwierdza to fakt, że nie pozostały po nim żadne źródła pokazujące jego szersze horyzonty, takie jak pisma, mowy, rozkazy czy listy. Tymczasem sarmatyzm doprowadził do pojawienia się postaci awanturników i warcholów, którzy wymykają się jasnym



FOT. WIKIPEDIA

podziałom na linii dobra i zła. Stanisław Stadnicki, Jan Szczepny Herburt czy Samuel Łaszczyś łamali prawo, dokonywali zajazdów, ale jednocześnie pozostawiali po sobie pamiątki wybujałej fantazji, które łagodzą ich wizerunek. Sprawiają, że dziś są raczej barwnymi szlachetkami niż zimnymi psychopatami. Stadnicki pisał mowy i listy, wiersze i paszkwile, którymi obrzucał przeciwników. Herburt pozostawił literackie pomniki swej fantazji, mowy rokoszowe i autobiografię. Łaszczyś – anegdoty i facecje, a także sławę zagończyka spłacającego na polu walki własne winy.

Po Zborowskim nie pozostało nic. Nie mamy jego mów, nawet zwykłych listów. Nie można też zasłaniać się tym, że zaginęły zniszczone lub spalone. Wszak dobre rękopisy i wiersze nie płoną. Gdyby istniały, to, biorąc pod uwagę sławę, jaką zyskał po śmierci, byłyby, tak jak w przypadku Stadnickiego, Łaszczyśa, Herburta i innych warcholów, masowo powielane, przepisywane w szlacheckich silva rerum, przytaczane w mowach, w przykładach, w księgach i dotrwałyby do XX w. Tymczasem ich po prostu nie ma. Zborowski nie umiał ładnie pisać ani mówić, był

z niego tępy, brutalny i ograniczony feudał, ale żaden buntownik.

Sława jego oprawców świadczy przeciwko niemu. W egzekucji uczestniczyli ludzie, których nazwiska znane są do dziś. O Batorym wspominać nie trzeba. O kanclerzu Janie Zamoyskim, który bynajmniej krystalicznie czysty nie był, w zasadzie też. Zostawił Zamość, miasto doskonałe renesansowe, akademię, szkołę polityczną, zwycięstwo pod Byczyną. Stanisław Żółkiewski zdobył Moskwę, wygrywając w dwa tysiące husarii bitwę pod Kłuszynem, zginął pod Mohylewem, dając świadectwo, że w obliczu klęski powierzonego mu wojska nie opuści. Karierę zrobił nawet Wojtaszek Długoraj, lutnista, który zdradził swego pana, i choć musiał uchodzić, był potem znanym artystą w Lipsku i Wittenberdze. Jest także faktem, że egzekucja Zborowskiego zahamowała magnacką oligarchię na przynajmniej kilkanaście lat. Potrzeba jednak było kolejnego Samuela (najlepiej Sapiehy) sto lat później, za czasów Sobieskiego, aby powstrzymać rozkład Rzeczypospolitej.

Co pozostało po Zborowskim? Szalona głowa. A także echa pogrobowców – Słowackiego, Rymkiewicza i innych. Jednak Rymkiewicz w „Samuelu Zborowskim” nie sięga wyobraźnią prawdziwej epoki, a jedynie jej literackiego sztafażu. Nie wie, że „golone głowy” były tak naprawdę podgalane po bokach, żeby szyszaki i hełmy trzymały się lepiej na odrostach, znakiem rycerskich ludzi XVI i XVII w., o których pisałem dawno temu w „Do Rzeczy”. Nie dobywał szabli, nie siedział na koniu, z kopią podobną do tej, którą Zborowski zatknął z wezwaniem do walki o zdrowie króla. Myli czekany z nadziakami i obuszkami, ale przestańmy już się czepiać szczegółów. ©©

PROSTO, ALE WYKWINTNIE W KUCHNI KAROLINY KOWALEWSKIEJ

Gotowanie to pasja, którą odkryłam w sobie niedawno. Uwielbiam odświeżać tradycyjne przepisy, które od zawsze gościły w moim domu. Propozycja na dziś to podkarpacka wariacja na temat gołąbków, do których dodałam sos mojego autorstwa. Jestem pewna, że to proste danie sprawdzi się nawet na wykwintnym przyjęciu.

Gołąbki z ziemniakami i sosem żurkowo-borowikowym

Składniki:

- spora główka kapusty
- 700 dag ziemniaków
- 2 duże cebule
- 1 jajo
- pół szklanki śmietany
- pół szklanki bulionu (drobiowego, grzybowego lub warzywnego)
- majeranek, sól, pieprz
- smalec lub masło
- kawałek wędzonego boczku

Przygotowanie:

Z kapusty wykróić głób. Głóbkę kapusty zanurzyć na chwilę w garnku z wrzącą wodą. Zdjąć wierzchnie liście i ponownie włożyć do wody. Kolejno zdejmować liście i zanurzać. Ziemniaki obrać, umyć, zetrzeć na drobnej tarce i odcisnąć na sicie lub gazie. Cebulę posiekać w drobną kostkę, podsmażyć na smalcu lub maśle. Boczek pokroić w kostkę i podsmażyć. Starte ziemniaki połączyć w misce z cebulą, boczkiem oraz jajkiem. Wyrobić masę, doprawiając ją majerankiem, solą i pieprzem.

Ziemniaczany farsz układać na liściach kapusty i zawijać. Układać ciasno w garnku, podlać bulionem, który wcześniej trzeba wymieszać ze śmietaną. Dusić gołąbki w sosie przez godzinę.

Sos żurkowo-borowikowy:

- 3 ząbki czosnku
- 150–200 g borowików (świeżych lub mrożonych)
- 1 łyżeczka suszonego majeranku
- 2 szklanki bulionu (drobiowego, grzybowego lub warzywnego)
- 0,5 butelki gotowego żurku
- 500 ml śmietanki 30 procentowej
- sól, pieprz, olej i masło do smażenia

Posiekany czosnek przesmażamy na oleju z łyżką masła, dorzucamy grzyby i razem smażymy. Zalewamy gorącym wywarem i doprowadzamy do wrzenia. Dolewamy żurek (bez mąki) i śmietankę. Gotujemy, aż płyn się mocno zredukuje, wówczas dolewamy żurku z mąką i dalej redukujemy. Doprawiamy sos solą, pieprzem i majerankiem. Jeśli chcemy, aby sos był aksamitny i gładki, to blendujemy całość. ©©

Karolina Kowalewska jest uczestniczką programu „MasterChef”, blogerką i instagramerką kulinarną: [instagram.com/szpilkiwkuchni](https://www.instagram.com/szpilkiwkuchni).



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jedzcie flexi

Zapewne czytali państwo wiele o okrutnej niemoralnej masowej hodowli zwierząt, szczególnie kur i świń. Krowa jeszcze jako tako sobie radzi, bo nawet w wielkich gospodarstwach może trochę sobie pochodzić po pastwisku. Gęsi nie da się też łatwo poskromić, zostają bezbronne świnię i drób...

Też to czytałam i realizując poniekąd postulat, w domu zrezygnowaliśmy w ogóle z wędlin (wieprzowych), a mięso jadamy raz w tygodniu.

Wokół widzę, że nie my jedni. W naszym, takim niby-wieprzowolubnym społeczeństwie zmienia się nastawienie do jedzenia. Jest coraz więcej wegetariańskich restauracji, na targach zatręśnienie warzyw, a sądząc po zawrotnej karierze humusu, nawet ciecierzycy przestała wzbudzać obrzydzenie wśród rodaków...

Chodzi oczywiście nie tylko o to, żebyśmy byli zdrowsi i chudsi, jedząc mniej kotletów, lecz także o to, żeby ratować umęczoną planetę Ziemię. Ludzi przybywa w zawrotnym tempie, miejsca na uprawy nie przybywa. A już na ekologiczne uprawy, ulubione przez zamożnych obywateli, na pewno nie. Jak podaje Organizacja Żywności i Rolnictwa ONZ, było to odpowiedzialne za 14,5 proc. emisji gazów cieplarnianych. Wzrost temperatury o jeden stopień

oznacza spadek plonów o 6 proc. Dla upraw ryżu jest to spadek o 10 proc.

Międzyrządowy Panel do spraw Zmian Klimatu (IPCC) wydał ostrzeżenie, że nasza planeta znajduje się „daleko od drogi” utrzymania wzrostu temperatury poniżej 1,5 st. C. Jeśli utrzymamy obecne tempo rozwoju, to Ziemia ociepli się o 3 stopnie pod koniec stulecia. Jak

podaje czasopismo „Nature”, aby

wyżywić 10 mld ludzi, rolnictwo będzie musiało

produkować o 50 proc. żywności więcej w ciągu

30 lat. Jeśli nic się nie zmieni, to wpływ produkcji żywności na środowisko wzrośnie o 90 proc., a to oznacza, że Ziemia przestanie być miejscem do życia dla ludzi...

„Jedno rozwiązanie to za mało, żeby uniknąć przekroczenia granic” – powiedział Marco Springmann z uniwersytetu w Oksfordzie, autor studium poświęconego kompleksowemu spojrzeniu na produkcję żywności. Gdy jednak wdrożymy kilka, może uda się wyżywić wszystkich.

Co rzekłszy, badacz wezwał do niewyrzucania jedzenia, oszczędnego gospodarowania wodą i wreszcie przejścia na dietę flexitariańską – czyli taką, w której mięso jada się raz w tygodniu. Podążając za apelem, osobiście namawiam. Wypróbowałam, jest smacznie i taniej. ©©



FOT. ADOBESTOCK



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Mieszane uczucia

MARCIN MAKOWSKI: Matt, jesteś człowiekiem, który nie wypiera się swoich politycznych intuicji. Tym razem chyba cię jednak zawiodły; przewidywałeś zwycięstwo republikanów w Izbie Reprezentantów i w senacie podczas tegorocznych wyborów środka kadencji. Izba została jednak odbita przez demokratów

MATTHEW TYRMAND: Faktycznie, mam mieszane uczucia. Sądziłem, że Izba zostanie utrzymana, republikanie jednak przegrali niewielką liczbą głosów, tj. 197 do 223 kongresmanów. Z drugiej strony, zwiększyli oni stan posiadania w senacie do ok. 51–54 mandatów kontra 46 miejsc. Na szczegółowe wyniki jeszcze czekamy. Z perspektywy historycznej to bodaj najniższa strata za prezydentury obecnie urzędującego prezydenta, ponieważ w midterms tracili wszyscy: Obama, Bush, Clinton, i to nie po 30, ale np. 50 miejsc w Kongresie. Równocześnie po raz pierwszy od 100 lat partii, która wystawiła prezydenta, udało się zyskać dodatkowych senatorów. Co jest o tyle ważne, że przy minimalnej większości i kilku senatorach republikańskich, sprzeciwiających się Trumpowi choćby w kwestii zniesienia Obamacare, teraz ma on bezpieczną większość. Przy okazji odbijając senatorów z ważnych stanów, takich jak Floryda czy Indiana. Ci ludzie będą

lojalni wobec niego, ponieważ wielu z nich dostało się do Kongresu po raz pierwszy przy wyraźnym wsparciu i namaszczeniu Donalda Trumpa, który wspierał ich wiece wyborcze. Owszem, republikanie stracili również kilku gubernatorów, ale pamiętajmy, że zaczynali od bardzo wysokiego wyniku, który siłą rzeczy musiał zostać urealniony, szczególnie w wahających się stanach, gdzie tradycyjnie wygrywają demokraci.

Demokraci już teraz zapowiadają jednak, że po przejęciu Izby Reprezentantów rozpoczną dochodzenie przeciwko prezydentowi, badając m.in. jego decyzje finansowe i wpływ na Izbę. Trump odpowiada, że „dwie strony mogą grać w tę grę”, a on może zastosować tę samą taktykę w Senacie.

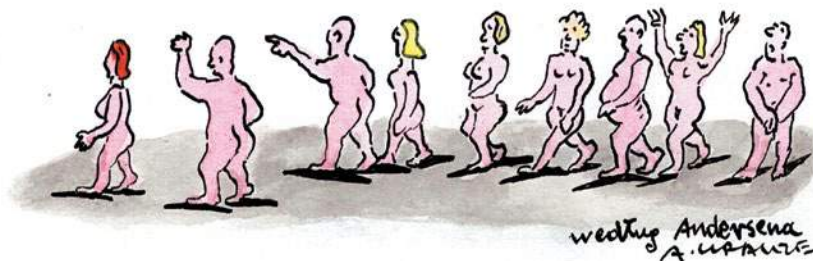
Przed nami bardzo interesujący czas, ponieważ Nancy Pelosi, która zapowiedziała dochodzenie (obecnie lider mniejszości w Izbie, a być może po wyborach spiker i lider większości), sama nie cieszy się wielkim powodzeniem wśród demokratów. Wielu z nich chciałoby widzieć na jej miejscu kogoś młodszego o mniej radykalnych poglądach. Dlatego mówienie dzisiaj o impeachmentie wobec prezydenta, bo przejęło się raptem 30 miejsc w jednej z dwóch izb

Kongresu, jest niepoważne ze strony demokratów. Faktycznie Trump jest gotowy na prowadzenie tej wojny i jeśli nagle połowa Białego Domu zostanie wezwana na przesłuchania, to to samo wydarzy się wobec liderów demokratycznych, a amunicja po jednej i po drugiej stronie zawsze się znajdzie. Sądzę jednak, że do takiego scenariusza nie dojdzie, bo Trump w tej chwili zaczyna łagodzić ton i szukać porozumienia z Pelosi. To „dealmaker” – załatwiacz, który tak jak w biznesie będzie się w stanie dogadać, aby realizować główne punkty swojego programu.

Czy to jeszcze możliwe, choćby w przypadku muru na granicy z Meksykiem albo stałej bazy wojsk amerykańskich w Polsce? Czy zmiana w Izbie Reprezentantów może wpłynąć na decyzje militarne na wschodzie Europy?

Z murem faktycznie będzie problem, bo nic nie wskazuje na to, aby mogły zostać przyznane środki na jego budowę. Paradoksalnie na dłuższą metę może to pomóc Trumpowi w reelekcji w 2020 r., ponieważ jeżeli obstrukcja demokratów będzie silna, może wystartować z hasłem przekazania władzy w ręce jednej partii, w celu realizacji kluczowych obietnic wyborczych. Natomiast jeśli chodzi o przyszłość Fortu Trump, Polska musi wziąć pod uwagę, że demokraci przejmą przewodnictwo w komitetach obronnościowych Kongresu, które decydują o wydatkach wojskowych oraz relokacji wojska. Na pewno nie ustawią się oni w kolejce, aby pomóc obecnemu prezydentowi realizować plan przesunięcia armii z Niemiec na wschód Polski. Na szczęście nawet wśród demokratów znajdują się jeszcze rozsądnie myślące osoby, które reprezentują nastawienie antyrosyjskich „jastrzębi”. ©©

NOWE SZATY OPOZYCJI



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

OKIEM JASTRZĘBIA

VAR z Nowogrodzkiej kontra nadlogika Króla Europy

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

Na początku to byłem entuzjastyczny, potem, jak już praktyka zżerała czas, spowalniając widowisko, to krytyczny byłem, a teraz uważam, że dobrze jest, przyzwyczaiłem się i zaakceptowałem. Wiadomo, czego się trzymać.

Tak, tak, mówię o VAR. O Video Assistant Referee, czyli takim wyjaśniacz, objaśniacz, weryfikacz boiskowym. Jak jest jakaś sytuacja na boisku, że nie do końca wiadomo, jak było, jak to rozumieć, to się korzysta z systemu VAR, który ma dostęp do całości sytuacji i przeprowadza szybką analizę, wydając decyzję-wyrok: „Było tak i tak, i ba-sta oraz kropeczka”. Wprowadzono

to i się przyjęło, sprawiedliwie jest i prawiej. Oczywiście nie mam twardych dowodów, że politycy się inspirować VAR-em, lecz takie mam asocjacje.

Jak np. coś się dzieje na scenie politycznej i jedni mówią tak, natomiast inni śmak, to chaos jest z nieporozumieniem. Od niedawna jest rodzaj VAR z Nowogrodzkiej. W sytuacjach, że kto wie, iż nie wiadomo, od pewnego czasu możemy liczyć na VAR prosto z Nowogrodzkiej. Bardzo to jest przydatne.

Na przykład jak wyszłyśmy odcinek 1428, ale tym razem kłószą obóz po prawej, to widownia tak nie wiedziała, czy faul, czy karny, czy czerwona kartka, różne były głosy na boisku i na widowni przede wszystkim. Mamy jednak VAR z Nowogrodzkiej, który od-słuchał powtórek, przeanalizował szczegółowo, po czym wystąpił z wyrokiem, który – proszę mi wybaczyć – po prostaku streszcze, najlepiej, jak umiem: „E tam, panie i panowie, to takie gadanie było tylko, nic się nie stało, gramy dalej”. Ja to tam odetchnąłem, wiadomo, prze-analizowane. Zresztą cały naród odetchnął, choć tam niektórzy mruczeli coś pod tymi swoimi dziurkami. VAR to potęga.

No i jeszcze jeden przykład, ostatni, świeży. Z tymi wyborami też naród był tak trochę nie do końca. Że tak nie do końca był jasny na tablicy świetlnej na stadionie wynik. No bo tak porobili, że za dużo było różnych wyników, a to się tak prosto nie dodawało i ten się cieszy i adwersarz tego też się cieszy, no więc kto wygrał, pytał naród? To poważna sprawa, więc poddano jej analizie VAR przy ul. Nowogrodz-

kiej. Następnie wydano komunikat: „Wygraliśmy w sumie, nawet niepotrzebnie tu dodajemy, że w sumie”. I wszystko jasne, i ja znów mogłem sobie spokojnie iść na siłownię bez tej głowy z niewiadomą w środku. Już mówiłem, że VAR to potęga, więc powtórzę.

Wart odnotowania jest też nowy środek wprowadzony na boisko walki politycznej przez Donalda Tuska w dniach ostatnich. Nadlogika. Ciężki kaliber. Co prawda, po potyczce Donalda z komisją dalej nie wiemy, kto wygrał, bo VAR jeszcze się nie wypowiedział, ale wiemy, że w zasadzie nic się nie zmieniło.

Król Europy znów zaprezentował wysokie umiejętności aktorskie, zapominając genialnie obszernej kwestii, w której rządzący biorą odpowiedzialność za państwo. Z przedstawienia przed komisją wynikało, że rządzący nie mogą brać odpowiedzialności za państwo czy pracę dzieci, bo nie zawsze gazety o tym drukują. Śmiało! Brawurowe!

Wróćmy jednak do nadlogiki, ten środek zrobi karierę. Donald Tusk powiedział po przesłuchaniu przez komisję o programie „500+”: „Polska w ruinie, a okazuje się, że Polskę stać było po moich rządach i premier Kopacz na wypłacanie takich świadczeń socjalnych”. Nadlogika Tuska jako trik polityczny polega na resetowaniu pamięci wyborców poprzez tworzenie nowej rzeczywistości. Śmiało! Brawurowe!

W tej starej były premier w roku 2014 mówił wyraźnie, że Polski nie stać na program „500+” i że go nie będzie. Teraz mówi, że program to jego zasługa. Geniusz ten Tusk, geniusz! Będę głosować. Ale nie wiem jeszcze, czy na niego. Dziękuję państwu za uwagę. ©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Wolnościowcy za dychę

BOGDAN ZDROJEWSKI: *Sąd unieważnił decyzję prezydenta Wrocławia dotyczącą marszu 11 listopada. Ostrość sporu jeszcze się powiększy. Prowadzenie ich na trzy dni przed świętem nikomu nie służy.*

Tak w ubiegły czwartek polityk PO skomentował decyzję sądu, który uchylił prewencyjny zakaz marszu wydany przez prezydenta Wrocławia. Organizatorzy mieli święte prawo się odwołać do sądu i było więcej niż pewne, że to zrobią, nie ich więc dotyczy uwaga Zdrojewskiego. Nie dotyczy też samej decyzji sądu, który tylko zwrócił obywatelom odebrane im nielegalną decyzją prawo do zgromadzeń. Jedyną osobą, do której mocne oskarżenie o zaostrzanie sporu w przeddzień Święta Niepodległości można odnieść, jest Dutkiewicz, który z decyzją o zakazie zwlekał na tyle długo, że sądowe rozstrzygnięcie musiało zapaść tak późno. Słowa Zdrojewskiego to także mocny cios w Hannę Gronkiewicz-Waltz, która swoją decyzję o prewencyjnym zakazaniu Marszu Niepodległości podjęła jeszcze później, i sądowe przepychanki w tej sprawie trwały do samego końca. W obu przypadkach odchodzący prezydenci ugrali

niewątpliwie jedno – zaostrzenie sporu wokół obu marszów.

Zdrojewski myli się jednak, twierdząc, że takie zaostrzenie sporu nikomu nie służy. Gdyby nikomu nie służyło, nie podjęto by decyzji, których oczywistym i jedynym efektem może być wyłącznie nakręcenie i tak już niespokojnej atmosfery, a w konsekwencji stworzenie sytuacji całkowicie niekontrolowalnej. Decyzje prezydentów były nie tylko nieskuteczne i nielegalne, ale przede wszystkim bardzo niebezpieczne. Tym bardziej smuci, że miały podłoże wyłącznie polityczne i nie chodziło w nich bynajmniej o powstrzymanie ewentualnych ekscesów, tylko raczej upewnienie się, że jakieś będą.

Mam nadzieję, że jest dla wszystkich oczywiste, że chcąc zrobić na złość PiS, prezydenci Wrocławia i Warszawy, przy entuzjastycznym poparciu swoich partyjnych kolegów, byli gotowi nie tylko pozbawić obywateli jednego z ich ważniejszych praw, lecz także narazić wszystkich na dużo większe niebezpieczeństwo, niż gdyby marsze odbyły się bez takiej interwencji.

Skutkiem ubocznym pożałowania godnej ofensywy Platformy była

możliwość przekonania się, jaki naprawdę stosunek do praw konstytucyjnych mają ci wszyscy, którym konstytucja nie schodzi z ust.

Wojciech Czuchnowski uznał na przykład, że marszów powinien zakazać rząd, choć próżno szukać przepisu, który mu daje takie prawo. Najwyraźniej dziennikarz „Gazety Wyborczej” wychodzi z założenia, że rząd mógł sobie takie prawo po prostu przyznać. Popierając decyzje o zakazach uważają, że naruszenia prawa mające miejsce na poprzednich demonstracjach usprawiedliwiają prewencyjne zakazanie przyszłych.

To bardzo zła wiadomość dla KOD i Obywateli RP, na których demonstracjach notorycznie dochodzi do publicznego znieważania prezydenta – a przypominać, że jest to przestępstwo, za które już surowo karano, także więzieniem. Czy to powinno wystarczyć do prewencyjnego zakazania im kolejnych demonstracji? Że sytuacje nieporównywalne? Owszem, ale jak się raz usprawiedliwi złamanie praw obywatelskich, to potem już z górki. I każda władza chętnie skorzysta, jak tylko będzie miała okazję i potrzebę. Przekonaliśmy się o tym niedawno w Lublinie. ©

PODSŁUCHANE

Tą samą trasą

Georgette? Cześć, muszę napisać kilka słów do Polaków w związku z tym ich świętem. To jest niepodległości, tak?

Tak, Donald.

OK. I o tym ich marszu bym wspomniał. Bo to będzie coś wyjątkowego.

Nie, czekaj, tego marszu nie będzie.

Ale jak to?

Prezydent Warszawy zabroniła.

To jakaś komunistka?

Coś w tym rodzaju.

Jak można ludziom zabronić demonstracji?! Mam wałnąć jakiegoś tweeta o tym?

Nie, bo to poszło do sądu i sąd pewnie zakaz obali.

A, no to fajnie. Tam oni coś z tymi sądami...

Tak, ale to nie dlatego.

Nieważne. Grunt, że marsz będą mieli.

Nie będą. To znaczy będą, ale nie ten.

Georgette, czy ty coś piłaś? Ja też lubię sobie łyskacza chlapanąć w cią-

gu dnia, ale jednak bez przesady, nie tak, żeby zacząć bredzić.

Wino piłam do obiadu, jeden kieliszek. Ale to bez związku. Zamiast tego marszu co zwykle ma być marsz prezydenta. Tą samą trasą.

Ale przecież prezydent też jest prawica, więc nie rozumiem. Jeden prawicowy marsz zastąpili drugim? Sąd im kazał? Czy ta komunistka z Warszawy?

Wiesz, ja też tego tak do końca nie rozumiem. Ale ja tu jestem dopiero dwa miesiące. ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wiecie, tak mi przyszło do głowy, że co byłoby, gdyby oni nie przegrali wyborów w 2007 i organizowali Euro 2012? To dopiero byłaby katastrofa!!!”

ADAM SZEJNFELD,

poseł PO do Parlamentu Europejskiego, na Twitterze

Nowa moja książka (ukazała się 29 października) — zbiór esejów dotyczących epoki Romantyzmu — ma w dolnym rogu frontowej okładki złoty pasek zawierający inserat: „Na 100-lecie odzyskania niepodległości”, a u góry tylnej okładki wyjaśnienie dotyczące powodów, dla których autor i edytor mają prawo wiązać zamierzającą dobrać Romantyzmu (1815–1863) z odzyskaniem suwerenności państwowej, które nastąpiło przecież dopiero roku 1918. Piszę tam expressis verbis: „Polski suwerennej nie byłoby bez Romantyzmu”, i perswaduję czemu: „Odzyskałszy niepodległość, bo Romantyzm (a ściślej: pokolenia ery Romantyzmu) skonstruował kontrniewelniczą mentalność narodu, jaka w następnych pokoleniach dała legionistów Komendanta, którzy dzięki sprzyjającej koniunkturze europejskiej (wojna między zaborcami) wyrzabili Rzeczypospolitą suwerenność. I stworzył coś jeszcze: z romantycznej młodzieży szlachty tamtych czasów, z młodych oficerów, biuralistów, prawników, z aspirujących wyżej rzemieślników, z artystów i żurnalistów, zbudował oświeconą klasę, którą później nazwano «inteligencją», a bez której sami legioniści nie wywalczyliby ojczyznę niepodległego bytu. Słowem: Romantyzm był ewidentnym fundamentem cudu, który czcimy dzisiaj rocznicami”. Tak więc ów inseratowy pasek na okładce nie jest tylko zabiegiem komercyjnym — jest usprawiedliwiony faktografią.

Ta faktografia budzi furję rozmaitych lewaków i endeków, bo wiadomo, że szczytową erupcją romantycznego patriotyzmu pradziadów były Insurekcje narodowowyzwoleńcze wymierzone przeciwko moskiewskiemu zaborcy. Od stu kilkudziesięciu lat (czyli od galicyjskich lojalistów, tzw. „stańczyków”) słyszymy jazgot piętnujący to polskie „liberum conspiro” jako samobójcze wykrzawianie się „ubiczno-idiotycznych Po-

Romantyzm

laków”, „kretyńskich fanatyków bohaterszczyzny”, „bezdennych durniów urządzających patriotyczne jatki oraz inne błazeństwa kończone zwykłe mniejszą czy większą ilością trupów”, „głupich i śmiesznych naszych przodków—frajerów efektownie umierających za ojczyznę”, „narwańców czyniących polską historię XIX wieku ciągiem bezsensownego umierania”. Zacytowałem tużinkowych peerelowskich propagandzistów (Małgorzatę Szpakowską, Annę Bratkowską, Ryszarda Turskiego i Zbigniewa Żalskiego), lecz w PRL-u również tuż wysługujące się komuchom (m. in. Wiesław Górnicki, Zygmunt Kałużyński, Krzysztof Teodor Toeplitz, Stanisław Stomma, Janusz Rószko) identycznie opluwały narodowe Powstania. W III RP robią to tyle samo zajadłe co regularnie endecy (Janusz Mikke, Adam Wielomski, Jakub Woźniak, Krzysztof Mazur, etc.). Zbigniew Mikołajko, określający się jako „filozof religii”, głosi, że „Pol-

Wacław Berent (1911): „Ważne dla narodu czyny dokonały się przez ducha Romantyzmu”

ska uległa wampiryzacji przez swą kulturę romantyczną, związaną z kultem naszych poległych bohaterów, grobów, z rozbudowaną martyrologią”. Odrzucam/neguję ten nihilistyczny werdykt:

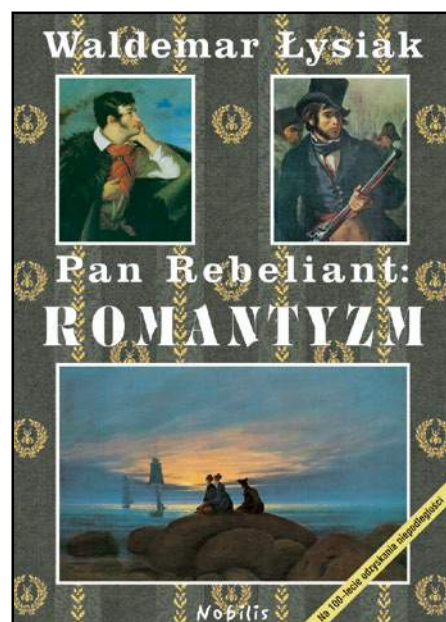
Mój sąd o narodowowyzwoleńczych polskich Insurekcjach kontrkacapskich ery Romantyzmu jest apologetyczny, sam bowiem fakt, że każde z tych Powstań kształtowało i umacniało antyniewolniczą tożsamość narodową, dowodzi, moim zdaniem, ich niezbędności dla końcowego (1918) wyzwolenia. Ergo: w całej naszej spuściźnie XIX wieku bunt są najcenniejszym klejnotem. Wystarczy chłodna ocena hierarchii historycznych zysków i strat, sążnienie w kategoriach większych niż ciężar pobojuwisk, bilansowanie miarą przekraczającą martyrologię jednego pokolenia. Dopiero stosując tę wyższą miarę — możemy uświadomić sobie nieodzowność wszystkich tamtych danin krwi i całopalnych ofiar. Były konieczne dla wyposażenia wielu generacji Polaków w poczucie godności. Bez niego nasza tożsamość narodowa byłaby śmieciem. Bez Powstań zostałyby nam tylko targowice, swary i smród haniebego poddaństwa, niezakłócanego żadnym gestem oporu. Każde z tych „samobójstw” przedłużało nam życie; każde było tym słowem „Nie!”, o którym starożytni Grecy powiadali, że „tylko człowiek, który umie mówić: nie!, jest naprawdę wolny”.

I druga kwestia, kartograficzna, ważniejsza wedle reguł pragmatyzmu. Dzięki Powstaniom tzw. „sprawa polska” vel „kwestia polska” — mimo braku polskiej pań-

wowości — była permanentnie obecna w polityce międzynarodowej, czyli w dyplomacji europejskiej i dyplomacji całego świata, nie schodziła z łamów gazet, z kart książek, z ust i umysłów, nasze bunty nie zezwalały, by ją zapomniano. To dzięki temu, gdy po I Wojnie Światowej mocarstwa reperowały nowymi granicami Stary Kontynent, „kwestia polska” od razu została primadoną wersalskich targów i ustaleń kartograficznych. Jerzy Narbutt wypunktował rzecz znakomicie, pisząc: „Naród, który nie posiada dostatecznej siły, by wywalczyć sobie wolność i zapewnić suwerenność państwową — musi jednak znaleźć w sobie dosyć siły, aby przynajmniej przypomnieć światu o swoim prawie do wolności. Taki był sens nieudanych powstań polskich w XIX wieku” (2003). Kilka lat później to samo wyraził akowicz z Powstania Warszawskiego, Stefan Żadróżyński, pisząc (publicznie) do gimnazjalistów: „Gdyby nie było powstań — nie byłoby Polski. Powstania były bardzo kosztowne i w ludziach, i w zabytkach, ale gdyby ich nie było, to nie byłoby nas — nie byłoby wolnej Polski” (2010). Kropka.

Lansując na łamach mojej książki „Pan Rebeliant: ROMANTYZM” sąd, iż bez Romantyzmu nie byłoby Polski suwerennej — nie pretenduję, broń Boże, do miana odkrywcy. Cały zastęp kulturoznawców, historyków i polityków (choćby Józef Piłsudski) głosił taką tezę już w minionym stuleciu, również za PRL-u (choćby prof. Maria Janion). Szczegóły politycznych implikacji Romantyzmu znajdziecie Państwo wewnątrz woluminu, wydanego bardzo starannie, a obarczonego ledwie jednym błędem dostrzeżonym po wydrukowaniu: redakcja techniczna zepsuła spis treści, wstawiając weń omyłkowo dwa razy ten sam rozdział (kosztem pominiętej nazwy innego rozdziału), czego korekta nie wylapała przed drukiem tomu, niestety. ©©

Waldemar Łysiak





Born to fly

Blue Angels to amerykańska specjalna edycja zegarków CITIZEN charakteryzująca się niezwykłą precyzją oraz gracją nawiązującą do umiejętności elitarnych eskadr zespołu akrobacyjnego Marynarki Stanów Zjednoczonych.

Zasilany światłem, synchronizowany radiowo, wyposażony w suwak logarytmiczny i inne funkcje nie tylko dla pilotów.

 **PROMASTER**



Eco-Drive.



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

citizen.pl